

Biblioteka  
U. M. K.  
Toruń

954013

WACŁAW SZYMANOWSKI

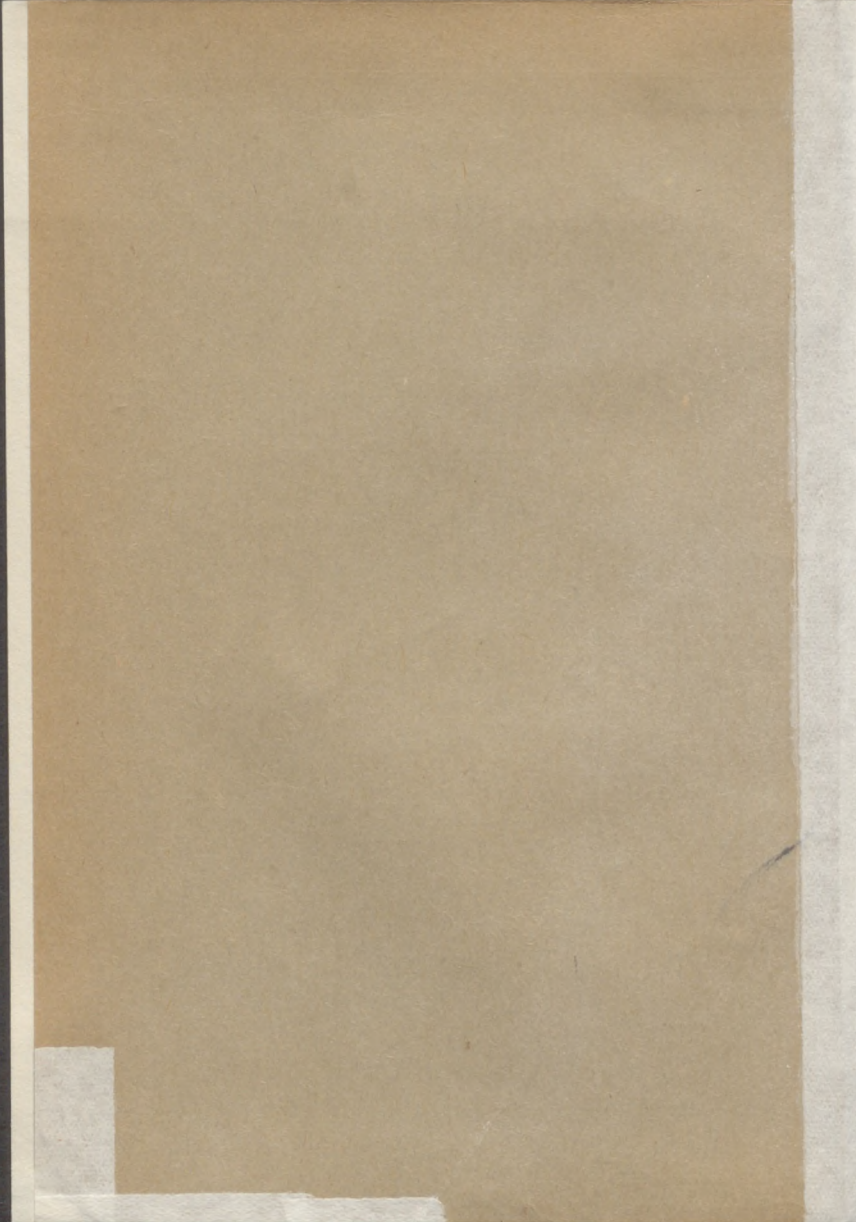
# POEZYJE I DRAMATA

TOM I

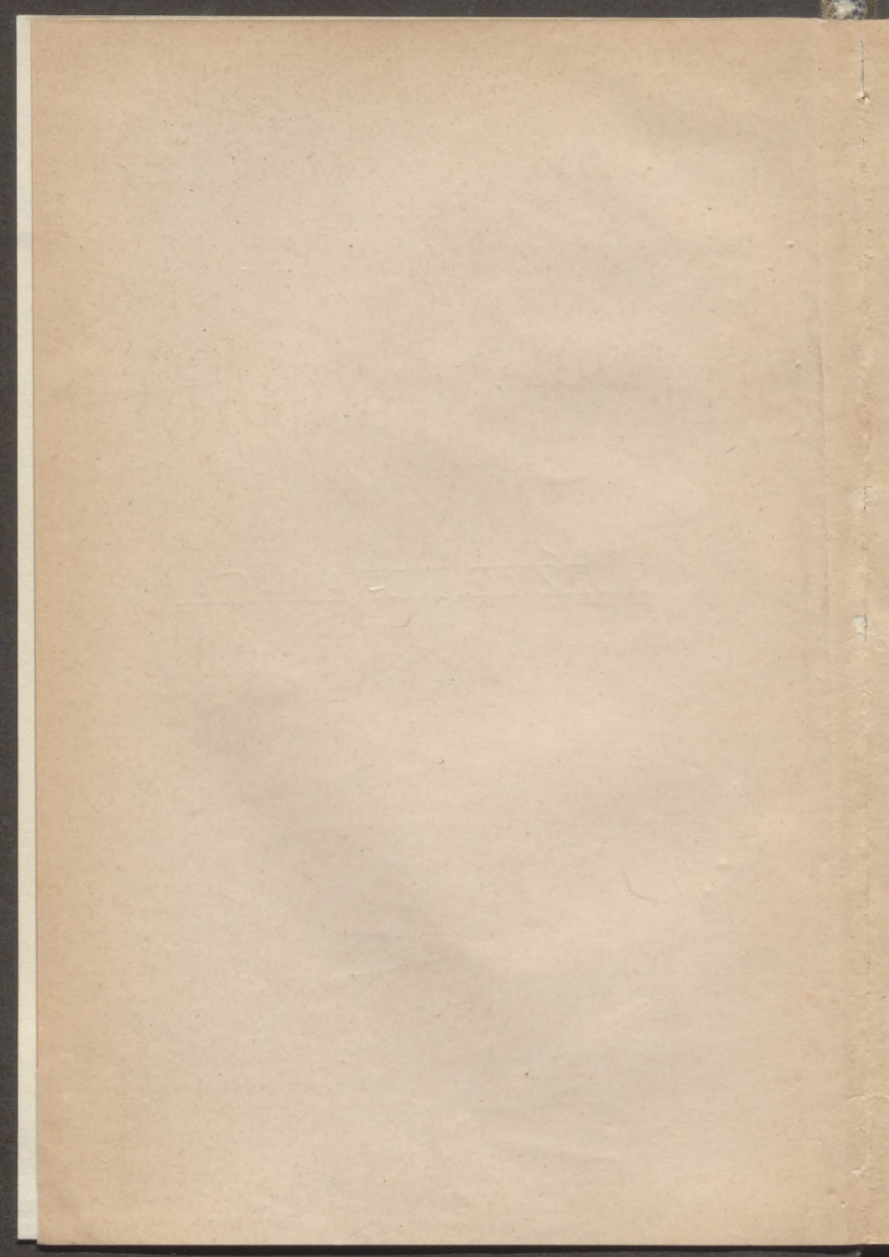


WARSZAWA  
NAKLAD GEBETHNERA I WOLFFA

1884.



POEZYE I DRAMATA.



254013

WACŁAW SZYMANOWSKI.

---

POEZYJE I DRAMATA.

---

TOM I.

2

---

WARSZAWA.

SKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA.

—  
1884.

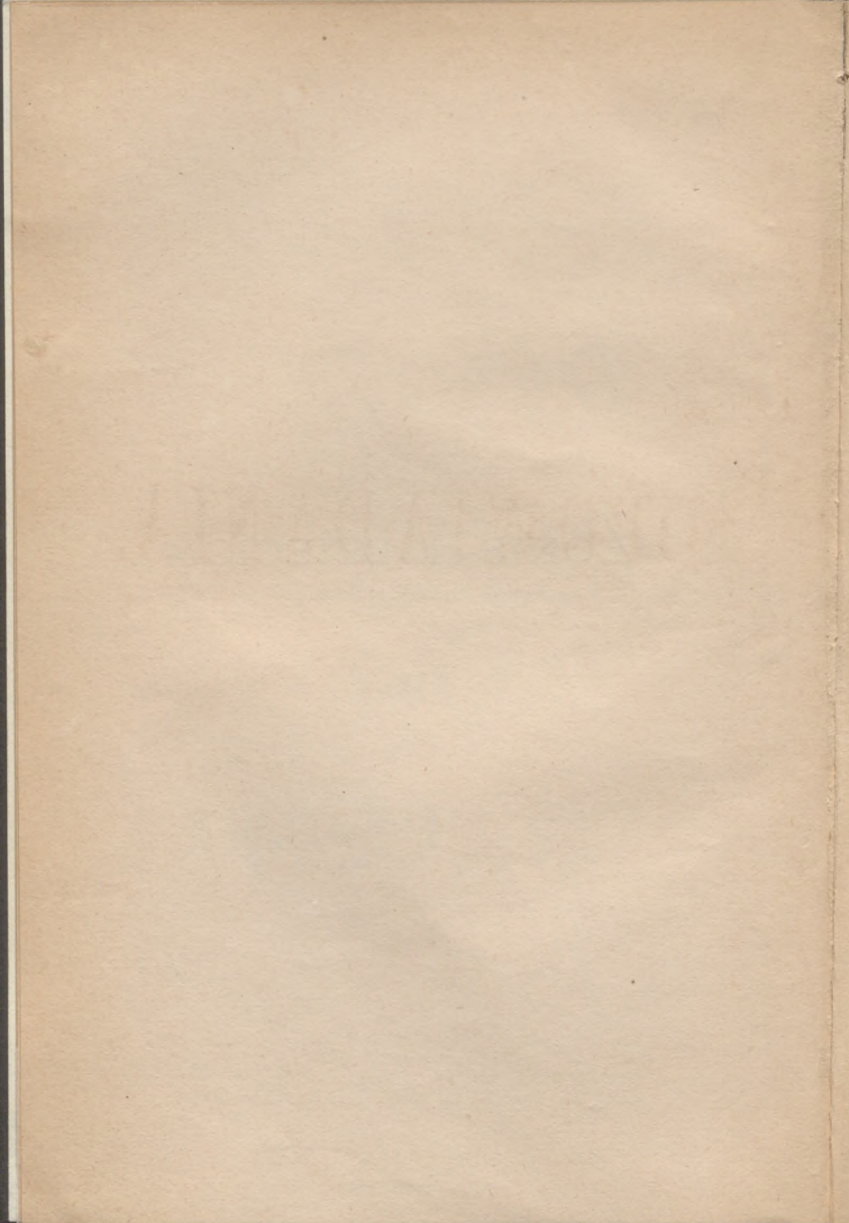
Дозволено Цензурою.  
Варшава 16 Нойбра 1883 года.

254013



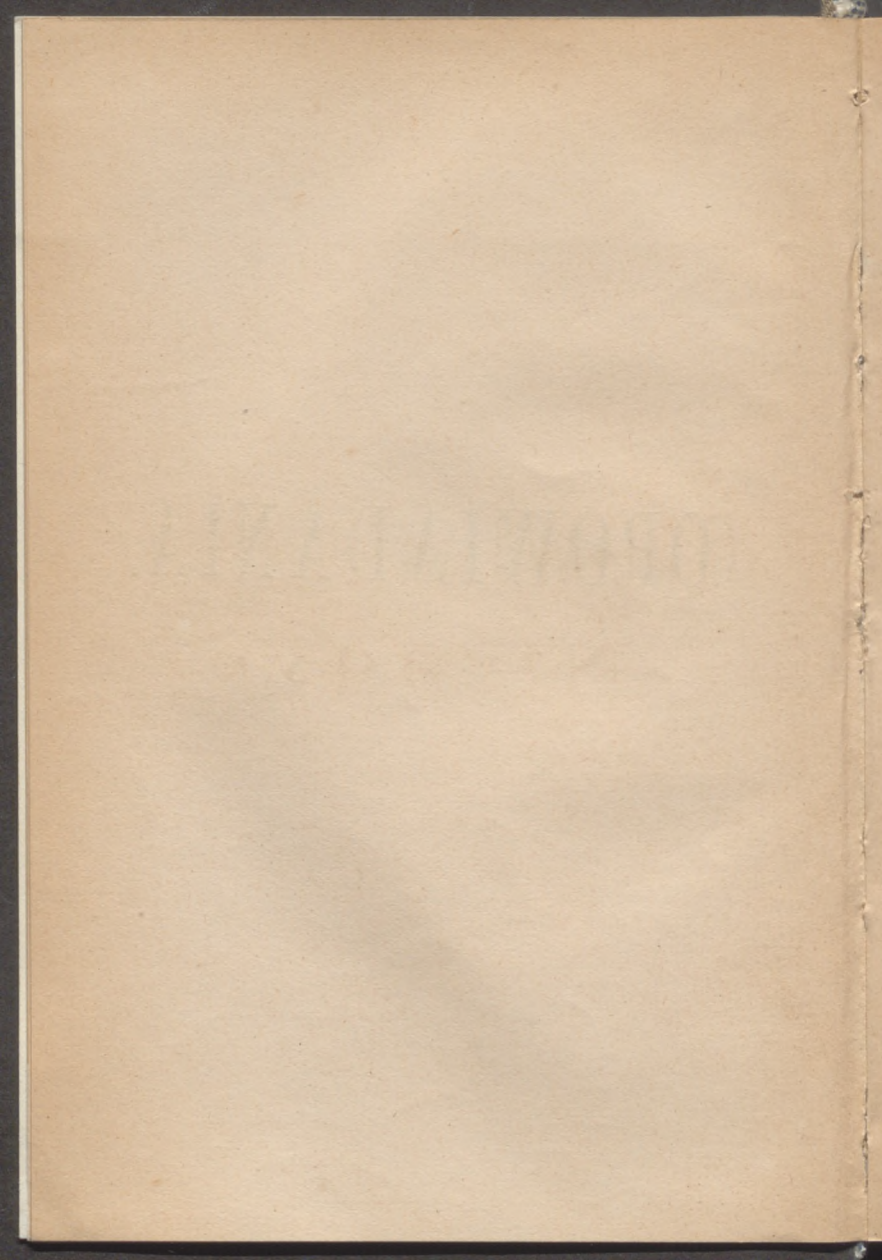
ŻONIE I DZIECIOM

AUTOR.



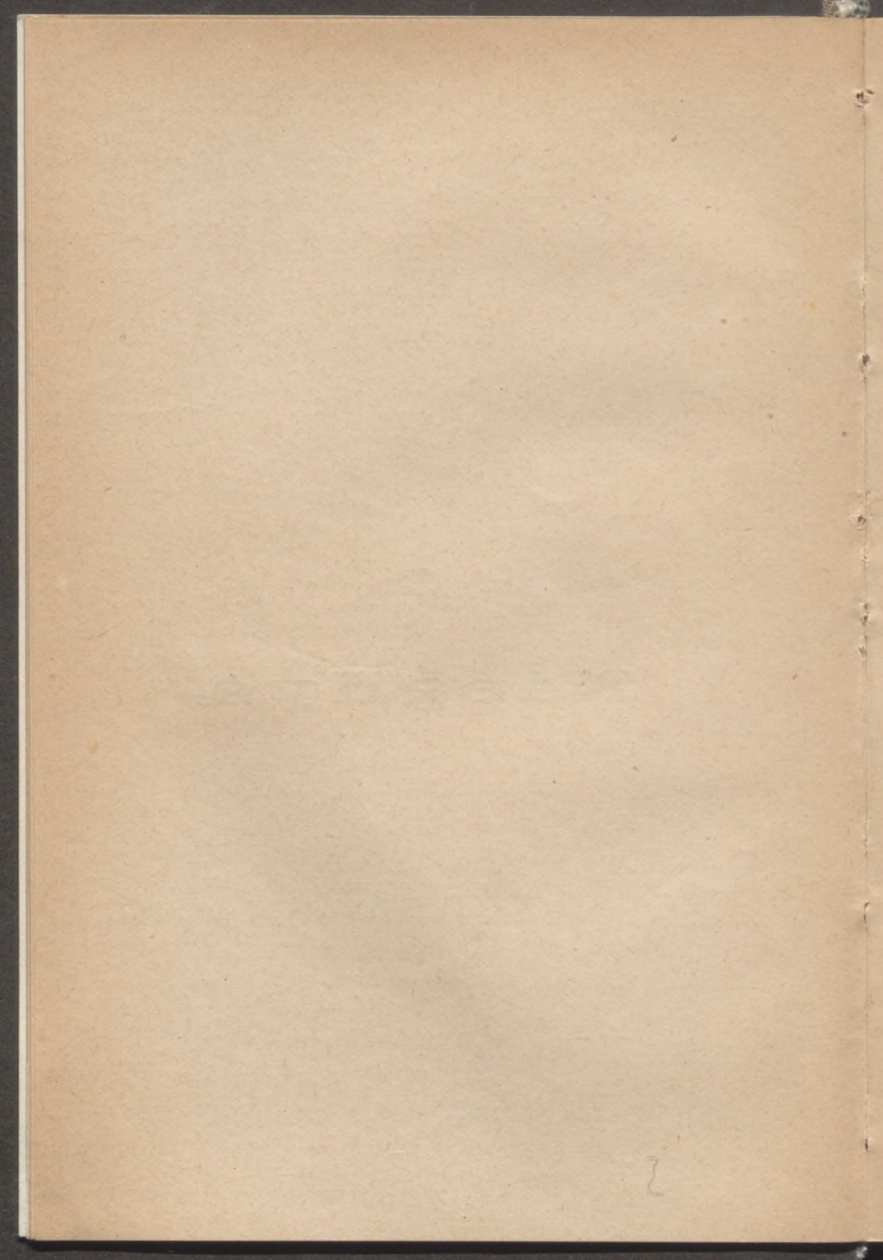


OPOWIADANIA.



I.

**Niegdyś.**



## P S Y C H E.

---

Przybrana w biel na skale stała,— a pod skałą  
Morze się o kamienne płyty roztrącało,  
I z szumem okrażało przylądek. Już w dali  
Wóz Heliosa się chował za nagich skał bryły;  
Jeszcze strome wierzchołki szkarłatem się lśniły  
A już cień padał w dole i mrok szedł po fali.  
Wokoło cisza...

Zdała, przez mgły obłok siny  
Widniały szare szczyty i woń biła krzepka;  
To Kreta, wyspa bogów i bogów kolebka:  
Tam woniały gortyńskie róże i jaśminy.

\* \* \*

Był to czas krwi i mordów, gdy Kronosa stopy  
Rozpacz i spustoszenie wśród ludzi wygniotły,  
Kiedy na niebie krwawe paliły się miotły,  
A ziemię krwawą pracą wstrząsały cyklopy.  
Gdy zwolna ustępował cień grozy ponury,  
A pod technieniem Tytanów waliły się góry.  
Kiedy wzmógłszy się w siły po śmiertelnej walce  
Zews ujął grom w ociekłe krwiąj ojcowską palce,

Przysłuchując się, niemą zemstą rozszalały,  
 Jękom Prometeusza, skutego do skały.  
 Na świat z puszeki Pandory sypały się nędze,  
 Żłobiąc przejścia swojego ślady niespożyte:  
 Dziki Ares panował w całej wszechpotędze  
 I szął pomiędzy ludzi siała Afrodyte.  
 Był to czas ślepój siły i ślepego gwałtu,  
 Gdy grom raził maluczkich przed mocarzy progiem,  
 Gdy duch szaty ziemskiego przyodziewał kształtu,  
 I maczugę wielkiego Alcyda czcił bogiem.  
 Czując, że strach i niemoc na ziemi się święcą,  
 Potwory się wzmagały z srogością zwierzęcą,  
 Pod stopami Gigantów jęczał ład, i całe  
 Wieki już na Syzyfa odwalały skałę.

I ludzkość słała w górę jęki i westchnienia,  
 Truchlejąc, że przemocy nikt berła nie wydrze,  
 Bo bóg był z krwi i ciała, a człek był z kamienia  
 I lby odcięte ciągle odrastały hydrze.  
 Ciężki szedł z góry, pod grozą bladła ziemia cała,  
 Krwawemi ofiarami licząc życia chwile,  
 Niewinność szła na pastwę gwałtowi, a siłę  
 Czystość na odkupienie pod stopy się słała.

. . . . .  
 . . . . . Stała z nachyloną głową,  
 Wsłuchana w ciszę mgły, światel i cieni,  
 Którój nie mącił żaden głos z przestrzeni.  
 A twarz jój była blada marmurowo;  
 Na wiatr rzucone jasnych włosów sploty  
 Wchłaniały w siebie słońca promień złoty  
 I rozrzucały światła snop wokoło,

Głowę jój wieńcząc promieńmi... jój czoło  
 Pod bujnym włosów perląc się pierścieniem,  
 Bez łez, bez śmiechu, bez wspomnień, bez żali,  
 Było podobne do téj gładkiej fali,  
 Którój wiatr żadném nie porusza tchnieniem.  
 I tylko w przestrzeń zapatrzone oko  
 Płonęło myślą, co we mgle się nurza;  
 Czuć, że pod ciemną źrenicy powłoką  
     Nurtuje burza.

. . . . .  
 Gdzie mgły rzedną w oddali  
 I morze się kryształy,  
 Płyną zwolna po fali

    Wonie.

W górę idzie dym płowy,  
 W cześć kolebce Zewsovej  
 Cały las migdałowy

    Płonie.

Lud zgromadzon ofiarnie  
 Do świątyni się garnie,  
 Gdzie w kwiec strojna i darnie

    Brama;

Czemuż tylko tu ona,  
 Od wszystkich opuszczona,  
 Drży na skale i kona

    Sama?

. . . . .  
 „O bogi! woła, bogi w płomienistój szacie!  
 Jakichże strasznych ofiar od ludzi żądacie?  
 Wiecznie dyszący zemstą, krwią nienasyчени,

Dla was się ziemia z kwiatów najpiękniejszych pleni,  
Stos ofiarny wśród ludzi znaczy wasze kroki;  
Czegoż żądacie po mnie?..."

Z zachodu obłoki

Ostatnią już jasnością błyskały czerwoną;  
Jakiś zamęt niezwykły wstrząsał morza łono,  
Jakby tam wrzała burza w niezmierzonej głębi...

Wtém coś się nagle w powietrzu zakłębi

I po nad skałą ścięsnioną gromadą  
Czarnych gołębi przeleciało stado.  
Szum skrzydeł lekkim szeleszczący echem,  
Morze szerokim wchłonęło oddechem.  
Lecz jakby w ślady za odlotem stada  
Szmer jakiś dziwny, przerywając ciszę,  
Zlekka po modrój fali się kołysze,  
Wzmaga się, słabnie, rośnie i upada.  
To głos — bo w ludzkie brzmienia się rozpiętrza,  
Ale głos dziwny, straszny, urywany,  
Co wzburza morze do samego wnętrza  
I granitowe skał roztrąca ściany.  
A idzie zdala, i gdy górą płynie,  
Chmury przed sobą silnym prądem porze,  
I wtór w bezdennéj porusza głębinie.  
Drżą przed nim lądy, obłoki i morze,  
I cała przestrzeń straszném echem wtórzy  
Słowom, co dźwięczą jakby grom wśród burzy.

— „Czekaj i drżyj! Przy tobie tutaj stanie  
Przemożny bóg, co tchnieniem wstrząsa ziemię,  
Zatoniesz w nim jak kropla w Oceanie,  
I jasność dasz na Prometeja plemię.“



Zmilkło i nagle od północnej strony  
 Okrzyk: „Z Dodony! z Dodony! z Dodony!“  
 Rozległ się w trzykroć i znowuż milczenie.

Widnokrąg zwolna zalegały cienie,  
 Helios się cofał za Ocean, jeszcze  
 Ostatni promień błysnął na gór szczycie,  
 Unosząc z sobą ciepło, światło, życie...  
 Chwila, a zmrok już, przez cienie złowieszcze  
 Szła noc i gwiazdy poważne a ciche  
 Jedna po drugiej rozbłyskały.

Psyche

Napróżno wzrokiem szukała w przestrzeni  
 Ostatnich wozu Heliosa promieni.  
 Wkoło milczenie i zlodowaciała  
 Pustynia śmierci.

I nagle zadrżała,

Bo to gasnące z ostatniemi słońca  
 Błyskami życie, z widnokregu końca  
 Zdało się jakby z dziwną jakąś siłą  
 Promieniać ku niej w nią samą wchodziło.  
 Przestrzeń się ćmiła w około, a ona  
 Czują się wewnątrz tak rozpromieniona,  
 Jakby w nią światłość złożyły niebiosy,  
 Którą Prometěj wykradł od Kronosa.  
 I czuła w sercu dziwne jakieś drżenie,  
 Myśl błyskawicą migiała w przestworzu:  
 Słyszała w ciszy, widziała przez cienie  
 I panowała otchłani i morzu.  
 A więc łabędzią pochyliwszy szyję  
 I marmurowe zwolna kłoniąc ciało:

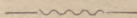
„O bogi! rzekła, co się ze mną stało?  
 Czuję, że jestem, że pragnę, że żyję,  
 Że już przedemną rozjaśnione drogi  
 I duszą ku wam wybiegam o bogi!“

Tak stała chwilę i w chwili ta siła,  
 Co ją podniosła i rozpromieniła,  
 Zaczęła słabnąć, życie władzą całą,  
 Jak gdyby w urnę, w serce się zbiegało,  
 I to pierwotne promienne widziadło  
 Ciemniało przed nią, i słabło, i bladło.  
 W okolo znowuż zalegały cienie,  
 Rosły, gęstniały i nad nią zawisły...  
 Wpół-senna mdląca, ale to omdlenie  
 Dziwną lubością napawało zmysły;  
 Płomienne tchnienie podnosiło łono,  
 Czuła się mozną, szczęśliwą, kochaną,  
 Skała jój była łąką kwieciem tkaną,  
 A mgły i morze puchową zasłoną,  
 I błogo było Heliosowój córce...

Nagle szum skrzydeł zaszeleścił w górze,

To bóg . . . . .

. . . . .



## KOŃ TROJAŃSKI.

---

...Tedy zbiwszy się w kupę na wybrzeżu stali,  
Kędy z tarcie jodłowych i dębowych bali,  
Sztucznie po-przez wygięte wykrzywionych boki,  
Stał ów koń, istny potwór, jak góra wysoki.  
I dziwili się wielce wszyscy, że tak nagle  
Z ponad głębiny morskiej znikły białe żagle,  
I że by najpilniejsze oko nie spostrzega  
Ani nawy, ni człeka, od brzegu do brzegu.  
Więc troszczyli się mocno, wielkie czyniąc dziwy,  
Co zacz ten straszny potwór i kędy Achiwy?

A nad płowym Skamandrem, gdzie zielony wzgórek  
Wzrósł, pięćdziesięciu synów ojciec i stu córek,  
Stał Pryam.

Król na sobie miał szatę godową,  
Co w białe splywa fałdy, złotym pasem spięta;  
Wiatr igrał srebrnym włosem ponad starca głową,  
A dzierżąc poły sukni jego, dwaj wnuczęta  
Nieśli w dar bogu, morskim co włada pomiotem,  
Dwie srebrne kruże winem napełnione złotém,  
Które pienistą falą sączyło się z kruży.

Przed królem zaś, w schylonój postawie, chłop duży  
 Stał, widno jakiś Danaj, bo z wzrostu i z cery  
 Wyglądał ono jakby barbarzyniec szczery.  
 Chiton na nim podarty i pomięty wielce,  
 Zaś chlen, co na parcianój zawieszał się szelce,  
 Zbrukany rzeczniém błotem i zmoczony srodze,  
 Spadał mu z krępych ramion niby stara chusta;  
 A choć mu do uśmiechu krzywiły się usta,  
 Jak zbój patrzył zpedelba na króla i wodze.

— „O! Trosy — wołał — Trosy! jam wasz, tutaj staje  
 Jako Dardańczyk, klątwę ciskam na Danaje,  
 Co rzuciwszy mnie w pastwę ofiarniczėj zgrai,  
 Krwią moją chcieli skupić powrót do Achai.  
 Jam Synon, Palameda druh, witezia, co go  
 Odyszej krwawy ongi zamordował srogo,  
 Bowiem odradzał wojnę i stawiał jój opór.  
 Toż ci Atrydzi zbóje, aby ztąd ujść cało,  
 Gdy rozgniewane bóztwo krwi ofiary chciało,  
 Mieli pod ofiarniczy dać mą głowę topór.  
 Lecz zerwałem opaski, i zakryty trzcina  
 Czekałem, aż ich nawy na morze wypłyną...  
 Ocalałem, a bodaj Posejdon trójzębi  
 Wrogów moich i waszych w mórz pochłonał głębi!”

Tu zamilkł i przed królem ugiąwszy kolano,  
 Prawi znów:

— „Jakem wyrzekł prawdę nieskalaną,  
 Klnę się na Styx, a świadkiem najwierniejszym oto  
 Ten koń, co go Danaje misterną robotą  
 Wystawili, drewnianą okuwszy powłoką,  
 Aby przebłągać w gniewie Pallas siwooką.

Odkąd Tytyd i Uliss, dwaj nędzni opoje,  
 Wyroczy wizerunek wykradli bogini,  
 Odtąd Atene wzięła pod opiekę Troję,  
 A w zamian na Achiwy straszłą pomstę czyni.  
 Więc nie chcąc w falach morskich przepadać na marno,  
 Achiwi tę budowę stawili ofiarną,  
 A Kalchas wznieść ją kazał nakształt stroméj góry,  
 By jéj grodu waszego nie objęły mury.  
 Bo ten, co nań zuchwałą zechce godzić dłonią,  
 Zginie pod gromem bogów powalony w pyłe;  
 Ci zaś, co uszanują dar święty i schronią,  
 Wzrosną nad wszystkie ludy w powadze i sile.”

Skończył, i chcąc szczerości swym słowom dać znamię,  
 Rzucił poza się kamień, na znak, że nie kłamie.

Zanim nad koniem wyrok ludu się dokona,  
 Z grodu, od Scejskiéj bramy, garstka zbrojnych bieży;  
 To Laokon, Pryamicz, kapłan Posejdona,  
 A z nim dwa jego syny i garstka młodzieży  
 Trojańskiéj.

I ofiarnik wielkim głosem woła:  
 — „Wstrzymajcie się, o starcy! i ty troska młodzi:  
 Słuchajcie mnie, bo prawda z ust moich wychodzi.  
 Nie natchnienie to bogów, ani dar ich zgoła  
 Wzniosły ten potwór, który przed wami się piętrzy;  
 Tam się zdrada ukrywa pośród jego wnętrzy,  
 By ponieść w gród wasz sławny hańbę i zniszczenie,  
 Co was i dzieci wasze bez śladu wyżenie.  
 Wstrzymajcie się! albowiem Grecy całą zgrają,  
 Skryci w cieniu, na zgubę Ilionu czekają,  
 I dopiero nadejdzie dzień im pożądaný,

Gdy tego konia w grodu wprowadzicie ściany.  
Zaprawdę! nie z bożego rąk on wyszedł cieśli...  
Trosy! lękam się Greków, choćby dary nieśli.”

Rzekł i podbiegł do konia; stanąwszy w pobliżu,  
Silnie kowany oszczep na niego wyrzuca;  
Rozległ się głuchy łoskot, a drewniane płuca  
Pod uderzeniem włóczni jękły głosem spiżu,  
I pocisk drgał utkwiony wśród dębowych bali,  
A ludzie się śmiałości męża dziwowali.

Laokon powstał chwilę i zwrócił się w stronę,  
Kędy stał byk, mający rogi uwieńczone  
Zielem morskiem i cały w mgły powity szare,  
Który Posejdonowi miał iść na ofiarę.

Więc kapłan, pochwyciwszy topór w rękę prawą,  
Wznosi go...

A wtém nagle, z brzegów morskiej toni,  
Straszny widok przed wzrokiem tłumu się odsłoni.

Z pośrodku kęp zarosłych gęstą morską trawą,  
Łyskające barwami tęczy ponad zielska,  
Suną się ku równinie dwa olbrzymie cielska,  
Znacząc swą drogę pianą i czarną posoką.

To węże... takich ludzkie nie widziało oko,  
Bo ogromem stuletnie przewyższają dęby.  
Pełzną, ślizkie kadłuby w kręte wijąc kłęby,  
A gdy się w całą długość ogon z łbem rozwinnie,  
To zda się, że pół staj zalegnie w dolinie.  
Jak setki tarcz miedzianych łśni na każdym łuska,  
Z paszcz ich rozwartych piana z krwią zmieszana pluska...  
Zgroza nigdy się w widok nie zwlekła plugawszy...

I powstał straszny zamęt między ludu zgrają,  
 Wszystko pierzcha w nieładzie, a węże zdążają  
 Do ołtarza, gdzie kapłan, byka rozplatawszy,  
 Schyla się, by z wnętrzości wróżby czynić wieszczce...

I nim podniosłszy głowę zdołał nabrać siły,  
 Już potwory dwóch synów jego pochwyciły,  
 Giętkie ich członki w twarde umotawszy kleszcze;  
 A z tych kłębów, łyszczących żółtawemi brzuchy,  
 Słysząc trzask gruchotanych kości i jęk głuchy...

Kapłan chwilę jak wryty stał, i nagle potem  
 Skrecił się wkoło, ślepym miotany zawrotem,  
 Znów stanął, a powietrza zaczerpnąwszy w płuca,  
 Wydał ryk... i z toporem na węże się rzuca.

Ale próżne tu człecze i męztwo i siła;  
 Nie walczyć przeciw mocom, które bóstwo zsyła.  
 Daremnie w tył skok czyni, by cios zadać tęgi;  
 W jednej chwili potwory łuskowemi kręgi  
 Owinęły bożego ofiarnika ciało,  
 Które pod tym uściskiem słabło i martwiało;  
 Zapienione ich paszcze w ramiona się wpiły,  
 Na siném czole krwawe wystąpiły żyły...  
 Napróżno nieszczęśliwy, wrywszy nogi w ziemi,  
 Próbuje się wydobyć siły ostatniemi;  
 Napróżno od wysiłku kurczy się i pieni,  
 Ciało mu się przedłuża, jak schwyttane w żarna  
 Żdźbło trawy; jęknął, z ust mu krew buchnęła czarna,  
 Zachwiał się i padł, jak dąb zwalony z korzeni.

Na twarzach wszystkich Trojan postrach osiadł blady,  
 A węże się pod ołtarz schroniły Pallady.

Wówczas Synon głos podniósł:

— „Bogi tutaj świadczą  
Prawdzie słów mych, moc swoją objawiwszy w czynie;  
Ten człowiek podniósł na nich rękę świętokradczą  
I zginął, jako każdy świętokradca zginie.”

A tłum zawrzasnął:

— „Hejże! czcimy wolę bogów!  
Ten koń u poświęconych stanąć musi progów;  
A więc go do bram miejskich prowadźmy podwoi,  
I gdy bramy nie starczą, łammy mury Troi.”

I cieszył się lud cały w pobliżu i w dali,  
Gdy swą zgubę do grodu męże wprowadzali.

\* \* \*

O Trojo! sławny grodzie! w zapomnieniu długim  
Przepadł ślad twój, choć Homer śpiewał chwałę twoją;  
Szczałki twych świętych murów czas zorał pługiem,  
I zginęłaś... lecz żyjesz pośród nas, o Trojo!

Tyś jest ludzkością całą, Pryamowy grodzie,  
Któraś cześć wiekopomnym poświęcała dziełom;  
Lecz do twych brzegów greckie zawinęły łodzie,  
Ażeby w twoich świętych murach zrobić przełom.

Więc zadrzały praojców obyczaje stare,  
I wrogi się do grodu zakradli zdradziecko,  
I wydarli z twych świątyń arkę staroświecką,  
Kędyś chowała miłość, nadzieję i wiarę.

Potém stawili konia na obszerném błoniu,  
Mówiąc: „Czujcie go! wasze zbawienie jest w koniu!”

Lecz jeżeli to prawda, co prawi niektóry,  
Jeżeli się tam kryją krwiożercze Pelasgi,



O! raczej niech się potwór roztrzaska na drzazgi,  
Nimbyś go miała powieść w połamane mury!

Ludzkości! przyszłość w chmury czarne się rozpiętrza  
Nad twą głową; z rozmysłu ostatnią godziną  
Posłuchaj ofiarników, co za wiarę giną...  
Ogrom stoi przed tobą... ale bacz do wnętrza.



## CÓRKA FARAONA.

Pieśń egipska.

---

Królow córą Fto wspaniała  
Z cnót tylu,  
W pięknej wyspie zamieszkała  
Na Nilu;  
Gmach marmurem był sklepiony  
Od szczytu,  
A po bokach miał pylony  
Z granitu.

Straż czuwała nad nią we dnie  
I w noce,  
Ozdobiona w łuki przednie  
I proce.  
Fra stawiono postać mściwą  
U wzgórza,  
I lwy strzegły z czarną grzywą  
Podwórza.

Bo Faraon żądał wielki,  
By ona

Mogła zostać nad twór wszelki  
Uczczona.  
I ku gwiazdom kazał strzały  
Słać w górę,  
By mu gwiazdy nie patrzyły  
Na córę.

Nil popędza szybszym biegiem  
Na wiosnę,  
Błysło oko ponad brzegiem  
Miłosne;  
Gmach choć z taką stawion siłą  
Nie pewny...  
W pustym zamku już nie było  
Królewny.

## JAWNOGRZESZNICA.

---

O! bracia moi, zbożne dusze,  
Coście przyjęli wiary chrzest,  
W cześć Bogu, ludziom ku otusze,  
Oto opowieść dla was jest.

\* \* \*

... Więc wzrosła piękna nad pięknemi,  
Jak krzew oliwny ponad chwast,  
I była perłą Judzkiej ziemi,  
Jak Jeruzalem perłą miast.

I miała wdzięków siłę wielką,  
Jako jest silny ziemski grzech,  
A była mężów kusicielką,  
A była zgubą niewiast wszech.

I kiedy w miasto wyszła ona  
Rozkwitła niby rajski kwiat,  
Promieniem słońca ozłocona,  
Strojna w szkarłatnych zwoje szat;—

To wraz wołali judzkie męże:  
 — „Otwórzcie w oścież wrota bram!  
 Królestwo jój się w oczach łąże,  
 Królowo Sabba, witaj nam!”

. . . . .  
 A wówczas w całej Judzkiej ziemi  
 Szła między ludzi dobra wieść,  
 Jako jest człowiek przed innemi,  
 Któremu naród winien cześć.

Jako On czysty Bożą chwałą  
 Pomiedzy ziemski zstąpił kał,  
 I miał sukienkę śnieżnie białą  
 I śnieżnie białe serce miał.

A więc mówili ludzie sobie,  
 Że od Jehowy człek ów dan,  
 Że choć w ubogim zrodzon żłobie,  
 Całemu światu jest On Pan.

I było życie Jego czyste  
 I lgnął do Niego wszelki człek,  
 A kto rzekł z wiarą: „Wspomóż Chryste!”  
 Ten już zbawiony w wieków wiek.

. . . . .  
 Złote się wino rzeką lało  
 I — gmach się cały kwieciem słał,  
 I trwała uczta przez noc całą,  
 I przez dzień cały wzrastał szał.

Płonęły źrenic czarnych błyski,  
 W piersiach namiętny kipiał war,  
 Wężowe plotły się uściski,  
 Z ust upojenia płynął czar.

A kiedy ona puhar wzniesie,  
 Gdy jej czarowny dzwoni śpiew,  
 To silniej w sercach szal ozwie się,  
 To szybciej w żyłach krąży krew.

I wszystko ku niej lgnie w zapędy,  
 I woła: „Łaską swą nas darz!”  
 Kędy jest człowiek, Bóg jest kędy,  
 Co nie upadnie przed nią w twarz?

. . . . .  
 A przez pustynię lud gromadą  
 Zdała w nieznaną dążąc dal,  
 Jako gołąbków białe stado  
 Pośród piaszczystych kroczy fal.

Przed nimi idzie człek ów Boży,  
 Co ma złe wszelkie z ziemi zmódz;  
 Więc któż się cofnie, któż zatrwoży,  
 Gdy przodem idzie święty Wódz?

On z maluczkimi żyje społem  
 I do ubogich puka wrot...  
 A wszakże przed Nim Jan bił czołem,  
 Jan, który mowę miał jak grzmot.

. . . . .

Kędy kolumna przy kolumnie  
 Kamienny szczytów dźwiga strój,  
 Poprzed podsienie wyszedł tłumnie  
 Pijany biesiadników rój.

A ona wiodąc wszystkich, woła:  
 — „Kędyż jest święty prorok wasz?  
 Kędyż on? Niech mu stawię czoła,  
 Niechaj mu twarzą stanę w twarz.”

I dźwięk na gęźbie silny czyni,  
 I rzuca przed się liście róż...  
 I widzi jako od pustyni  
 Orszak pątników blizki już!

— „Stójcie — zawoła — waszą panią  
 Jam dzisiaj! za mną wam już iść!  
 Stójcie!”

I Chrystus spojrział na nią.

Ona zadrżała jakby liść...

Złamana grozą, wstydem blada,  
 Z piersią nabiegłą falą łkań,  
 Chwieje się, chyli i upada  
 W proch...

I rzekł do niej Chrystus: „Wstań!”

## TIMUR LENG.

---

Ben Hafiz mówi: „Niechaj człek wszelki  
Potęgi ducha w sobie nie chwali;  
Czyny są nikłe, ludzie są mali  
I jeden tylko Allah jest wielki.”

\* \* \*

Ziemia Kapczak długa i szeroka,  
Mrowie na niej przemieszkują ludów,  
Lecz jedyną źrenicą proroka  
Samarkanda, jasne miasto cudów.  
Święte miasto, na Mongołów ziemi  
Umiłował cię Bóg przed innemi.  
Święte miasto, ty należysz do tych,  
Które Sithra szczeni w swym pochodzie,  
I oczami minaretów złotych  
Patrzysz w niebo, o! Timura grodzie!  
Tyś się wzmogło i rosło przez wieki,  
Wiecznie silne, nigdy niezmożone;  
Tysiąc grodów wije ci koronę,  
Z której płyną dyamentów rzeki.



Miasto święte Oktajowych dzieci,  
 Tyś jest wiernych chlubą i nadzieją;  
 Tobie wiosna najpogodniej świeci,  
 Tobie róże najpiękniej wonieją,  
 Wrogów ciebie zemsta nie dosięże,  
 U stóp twoich złość się próżno sili,  
 Bo w twych murach święci żyją męże!  
 I chanowie, którzy świat podbili.

\*

\*

\*

W Samarkandzie gwarno, ludu chmura  
 Płynie ciągle i gong brzmi rozgłośnie,  
 Bo dziś w hordzie wielka radość rośnie:  
 Uroczysty dzień dziś dla Timura.  
 Ciesz się ziemio Allaha wybrana,  
 U godowych staje dziś ołtarzy  
 Pir Mohammed, syn wielkiego chana,  
 Pir Mohammed, pogromca mocarzy.  
 Jego Allah od kolebki chroni  
 I rycerzem swym mianuje szczerym,  
 Zgnębion ciosem ciężkiej jego dłoni  
 Pod Ancyrą padł wielki Ilderym,  
 On zwojował, w górach Tochtamysza,  
 Zgnębił Greków, którzy Akry strzegą,  
 I gdy cały świat zaległa cisza,  
 Słyszać tylko potężny głos jego.

Dni trzydzieści wielkie gody trwały,  
 Dni trzydzieści fala ludu spływa,  
 I po Azyi rozbiega się całej  
 Wieść radośna, że Timur spoczywa.

\*

\*

\*

I trzydziestego dnia, nad grodem Lenga  
 Słońce zabłysło purpurą i złotem.  
 Tam kędy hordy największa potęga,  
 Kędy namioty zaległy pokotem,  
 I taką przestrzeń pokryły szeroka  
 I tak się w długie wyciągnęły sznury,  
 Że żyzne pola, namioty i góry  
 Zdały się jedną płócienną powłoką,  
 Szedł Timur.

Za nim zdążała potokiem  
 Złocistym, chanów i królów drużyna.  
 Pod każdym syna Taraghaja krokiem  
 Zdało się, ziemia sama się ugina;  
 Umilkł gwar ludzi, ścichło rzenie koni:  
 Wszystko truchleje, drży i głowę kłoni.

\* \* \*

Wkoło ognie obozowisk płoną,  
 Kręta droga w dal się wije w góry;  
 A przy drodze na głazie ponury  
 Siedzi starzec z głową pochyloną:  
 To Ibn Szochme; z krainy dalekiej  
 On tu przybył pomiędzy Uzbeki;  
 To Ibn Szochme, prawy syn proroka.  
 Jego mądrość natchnęła z wysoka;  
 On Alkoran przepisał trzy razy  
 I trzy razy w Bożym złożył domie.  
 Dziś na głazie siedzi nieruchomie,  
 Głaz i mędrzec jak gdyby dwa głazy.  
 Zgiął od postów wychudzone ciało,  
 Kaftan na nim opada na strzępy,

Siwa broda spływa po kolana,  
I źrenicą spogląda zmartwiałą,  
Jak go ludu mijają zastępy,  
Powtarzając święte imię Pana.

Nagle surmy zabrzmiały wspaniale  
I przed mędrceem, co siedział przy drodze,  
Stanął wielki Timur Leng w swęj chwale,  
A po za nim chanowie i wodze,  
I Chan Timur uchyliwszy głowy  
Dżungarytę temi uczcił słowy:  
— „Czemuż w głęb' duszy spoglądasz swojej  
Jak w grób, dni szczęścia święćąc żałobą?  
Powstań i spojrzysz: oto przed tobą  
Chan całej Azyi Timur Leng stoi.”

Ulem nie powstał na to wezwanie  
I tylko spytał:

— „Czego chcesz chanie?”

A Timur rzecze:

— „Wszystkie narody

Dziś chwila szczęścia łączy jedyna,  
Bo dziś obchodzim weselne gody  
Mohammed-chana, mojego syna.  
Więc w Samarkandzie ludów jak w ulu,  
A każdy pokłon chanowi czyni;  
Ludzie z Diarbeku, z Otrar, z Mossulu,  
I z dalekiego Hindu bramini,  
I Karyzmianie z miedzianą szyją  
Dziękują Bogu, i mnie, że żyją,  
Bo czczą Islamu we mnie przedmurze,  
Wiedzą kto jestem, znają co mogę...”

Na to Ibn Szochme rzecze:

— „Timurze,  
Kulejesz widzę na prawą nogę.”

— „Tak, rzecze Timur, to jeszcze z młodu,  
Śród zwyciężkiego hordy pochodu,  
Gdyśmy przez Bałku zdążali błonia,  
Złamałem nogę upadłszy z konia.  
Lecz gdy Bajezyd, lat cztery temu  
Zelżył mnie słowem pełném niesławy,  
Że ja, Timur Leng, Timur kulawy  
Utykam nędznie u drzwi haremu,  
Zebrałem hordeę od krańców świata,  
I padł w proch dumny syn Amurata.  
A gdy mnie drażnił Hussein w Dżerbidzie,  
Że moja zemsta kulawo idzie,  
Dla ukarania płochych igraszek,  
Jam gród otoczył wojskami swemi,  
I nazwę jego zmazawszy z ziemi,  
Trzy góry z ludzkich rzuciłem czaszek.  
Dziś one w stepie leżą zbielałe  
Ludom na postrach, a mnie na chwałę.”

Ibn rzecze:

— „Miałeś trudu niemało,  
Lecz ci to nogi nie sprostowało.”

— „Nie, wciąż kuleję,” Timur odpowie.

— „A więc cóż czynią twoi mędrcomie,  
Którzy przed ludem prostują drogi?  
Czyż ci przedłużyć nie mogą nogi?”

— „To, rzecze Timur, nie mędrców dzieło.”

— „Ależ magowie i czarodzieje,  
Tylu ich w państwie twém zasłynęło!  
Nie znajdują rady, gdy chan kuleje?  
Czyż im cię leczyć braknie odwagi?”

— „Nie, nie uzdrowią nogi i magi.”

— „Toż ci lekarze, co zdrowia strzegą,  
Mądrości w sobie zwarli człowiecze,  
Masz Szemszedina i Tebrizzego?”

— „Nic nie pomogą,” Timur odrzecz.

— „Bo ty, Islamu moc i przedmurze,  
Nie chciałeś tego.”

— „Klnę się prorokiem  
Chciałem.”

Ibn Szochme zmierzył go wzrokiem:

— „Kulawa twoja wielkość, Timurze.”

Z MOSSULU DO BIR.

Lebid ben Amru, potomek Chucza,  
W ten sposób błędnych ludzi naucza.

\* \* \*

Ludziel... w ogrodzie świata, w Djadynie  
Pienistym nurtem bystry Frat płynie,  
Rwie dumne brzegi i huczy falą,  
A łomy nad nim z trzaskiem się wałą.

Tylko wyrosła z łona topieli  
Jedna się skała piętrzy zuchwale;  
A mech żółtawy przysechł na skale,  
A śnieg odwieczny czoło jej bieli,  
I mierząc przed się przestrzeń daleką,  
Ponad spienioną panuje rzeką.

Więc Yadh <sup>1)</sup> pod cieniem złożywszy głowę,  
Rzeki i skały słyszał rozmowę.

---

<sup>1)</sup> Yadh — osoba mistyczna występująca często w legendach arabskich. Yadh rozumie mowę zwierząt i całej natury.

## Skala.

Próżno się na mnie pienisz zuchwale,  
 Daremnie dumna piętrzysz swe fale  
 I rzucasz w górę szumiące deszcze;  
 Gdy przyjdą słońca skwarne go spieki,  
 Zmienisz łożysko, a ja przez wieki,  
 Jakem tu stała, stać będę jeszcze.

## Rzeka.

Ty łom kamienny piętrząc na łomie,  
 Stoisz potężnie i nieruchomie,  
 I w sinych chmurach nurzasz swe czoło,  
 A ja po ziemi dążąc obszarach,  
 Przepląwam Diarbek, Shivas i Marach,  
 I Adjezyrech opływam wkoło.  
 Więc zkądże pycha, która cię ludzi?  
 Gdy się świat cały wkoło mnie garnie,  
 Stoisz do miejsca przykuta marnie;  
 Ludziom nieznana, nie poznasz ludzi.

\* \* \*

Słyszy to wszystko Yadh zadumany  
 I wzrokiem błądzi po mętnej fali,  
 I widzi jako od brzegów w dali  
 Gęste się kurzu wznoszą tumany;  
 Środkiem kotłuje coś jakby w ulu,  
 Odpromieniając blask słońca złoty,  
 Widać wielbłądy, konie, namioty...  
 To karawana idzie z Mossulu  
 Do Bir....

Na świętą Alego głowę,  
 Kupcy mossulscy zasobni w złoto—  
 Widzicie pudła te sandałowe,  
 W nich są essencye z Damaszku. Oto  
 Balsam indyjski w Hedžas kupiony  
 W złotem okutych skrzyniach, i szale  
 Perskie, co w barw się mieniają tysiące,  
 Materye z Bagdad złotem płonące,  
 Koberce z Tauris lśniące wspaniale,  
 Purpura z Basry, srebrne opony  
 Tkane w Diarbekir w niewoli trudzie  
 Krwawym, szafiry płynące rzeką...  
 Kupcy z Mossulu bogaci ludzie!—  
 Allah jest wielki a Bir daleko.

A więc Yadh patrzy, patrzy i nagle  
 Pośród łun słońca zachodnich blasku,  
 Jak ptak co zwija swych skrzydeł żagle.  
 Pochód przystanął i siadł na piasku.

Na widnokregu, w pustyni głębi,  
 Bładawy obłok znów się zakłębi,  
 I kędy bystrém zasięgnąć okiem,  
 Wciąż się półkolem zbliża szerokiém;  
 I głuchy tętent dokoła czyni,  
 I świeci jakby iskry w popiele...  
 Święty proroku! To są pustyni  
 Dzicy synowie—Khur na ich czele.

Powstańcie dzielne syny Ommjada,  
 Grozi wam wszystkim śmierć i zagłada:



Chwyćcie za oręż! Dzisiaj walczycie  
Za skarby wasze, za wasze życie.

Półkole wrogów ciągle się zwięża,  
Wzniesionych włóczni grożąc żelazem;  
Grom zagrział, mąż to uderzył w męża  
I oba szyki zawarły się razem.  
Lecz próżne męstwo, próżna odwaga  
Tam, kędy dzika siła przemaga;  
Ścieśnia się uścisk żelaznych splotów  
I już głos Khura grzmi wśród namiotów.

\* \* \*

I znów ucichło. Ponad doliną  
Słońce się kryje za gór osłonę,  
A fale rzeki powoli płyną,  
Unosząc z sobą trupy skrwawione.

Więc skała, dumnie wznosząc swe czoło,  
Upokorzonéj te słowa rzecze:  
— „Trzebaż, by plemię poznać człowiecze,  
Opłynąć całą ziemię wokoło?...”

## TESTAMENT PSA.

(Powieść turecka).

---

...Więc posłuchajcie czarni i biali,  
Co ku nauce mówi Kizr Ali.

\* \* \*

Hassan miał w Brussie ogród rozległy  
I dom w ogrodzie z palonéj cegły,  
W domu bogactwa co zmieści;  
Harem, eunucha, co u drzwi drzemie,  
I cztery żony piękne w haremie  
I cudnych koni trzydzieści.

Próżno wonieją róże w ogrodzie,  
Próżno terrasy nęcą o chłodzie  
Spokojem ciała i ducha;  
Próżno się eunuch uśmiecha chytrze,  
Wiodąc Zulejkę co gra na cytrze:  
Hassan, nie widzi nie słucha.

I tylko chodzi z zwieszoną głową,  
Bo smutek duszę struł Hassanową,  
Smutek i tęskność bez miary;  
Bo, żal powiedzieć, dni temu cztery

Zdechł mu przyjaciel wierny i szczerzy  
Melik, pies żółty z Guzzary.

Więc niewolników woła i strażę,  
I dół w ogrodzie wykopać każe  
Pod cieniem palmy liściastój;  
W dole Melika złożono zwłoki  
I ustawiono nad nim wysoki  
Głaz biały, czworograniasty.  
Na głazie czarne wyrznięto liście,  
Różne zakręty lśniące złościście,  
Sprzęgłe liniami modremi;  
A w środku napis: „Tu pogrzebana  
Rozkosz Hassana, duma Hassana  
I to co kochał na ziemi.”

Smutny jest świat ten: bo na nim zgoła  
Nikt się od wroga ustrzedz nie zdoła,  
Choćby jak piórko był lekki  
Z grzechów; choćby jak mułowie święci  
Cały alkoran mówił z pamięci  
I co rok chodził do Mekki.  
Hassan miał wrogów, którzy się zwali  
Jeden Kajreddyn a drugi Ali;  
Więc gdy ich dojdzie wieść owa  
O psa pogrzebie, wraz obaj biega  
Do stóp rozjemcy wiernych kadego  
I w te odezwią się słowa:  
— „Padyszachskiego skro jasna oka!  
Wbrew wszystkim prawom świętym proroka,

Których roztropność twa strzeże,  
 Hassan psa zwłoki uczcił w pogrzebie,  
 Więc słuszną karę ściągnął na siebie,  
 Bo pies nieczyste jest zwierzę."

— „Według praw, zbrodnia będzie skarana,”  
 Rzekł kady, i wraz szle do Hassana  
 Czausza z surowym rozkazem,  
 By dla większego wstydu i sromu,  
 Pętami ręce związał mu w domu  
 I tak z nim stawił się razem.

Więc gdy się zjawił drżący i blady,  
 Splunąwszy trzykroć na ziemię kady,  
 Łysnął oczyma srogimi:  
 — „Jak śmiałeś, rzecze, świata zakało,  
 Kazać, aby psa nieczyste ciało  
 W świętej znalazło grób ziemi?"

A Hassan na to: — „Wiernych ozdobo,  
 Kornie w proch czołem biję przed tobą,  
 Mądrości twojej hołd niosę,  
 I wszystkie twoje wielebne słowa,  
 W których roztropność tkwi Allahowa,  
 Czczę jako z niebios łask rosę.

Zbrodnia, o którą winić mnie mogą,  
 Byłaby iście straszną i srogą,  
 I sambym wyznał ją szczerze,  
 Jeżeli pies ów w kamienną trumnę,  
 W sadzie pod palmą pogrzeban u mnie,  
 Jak każde inne był zwierzę.

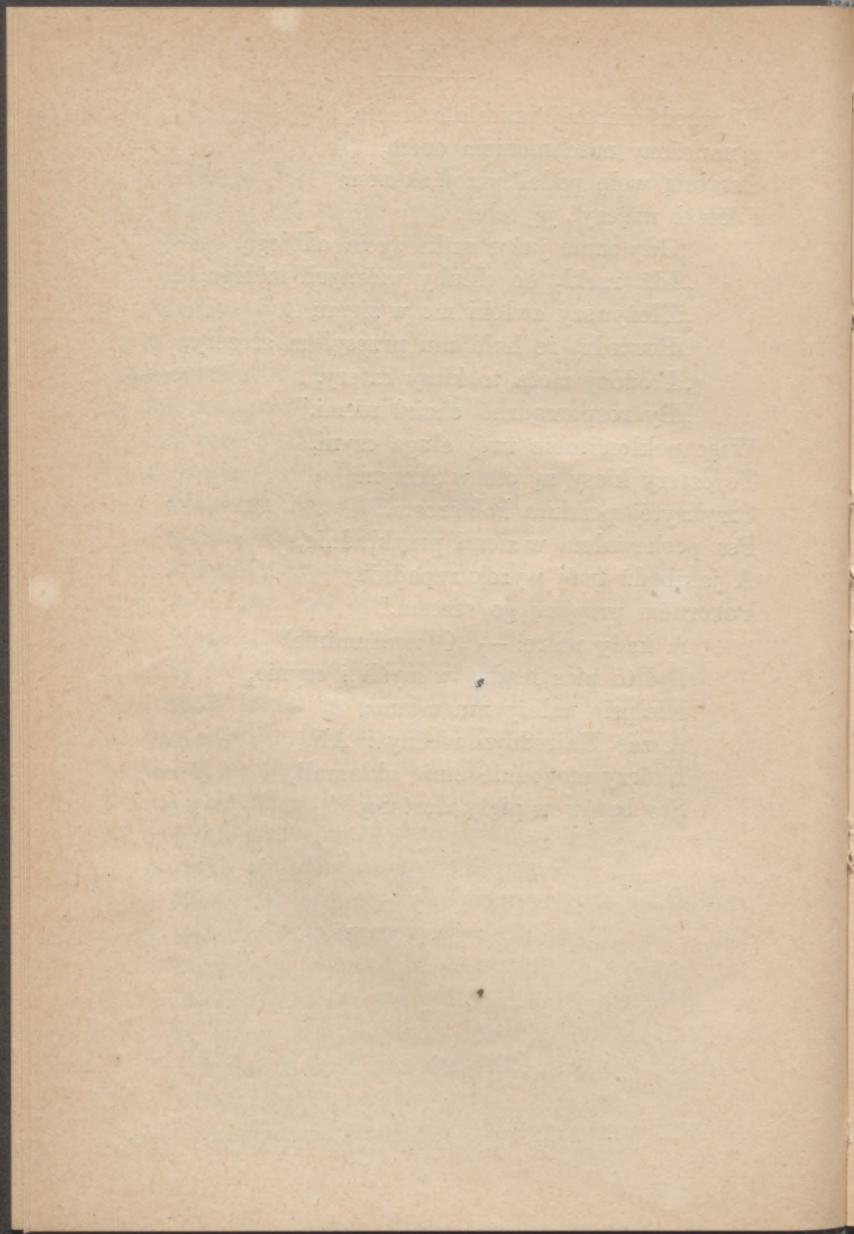
Ale naszego wola proroka  
 Święte natchnienie jemu z wysoka

W przedśmiertnej przesłała dobie,  
 I nauczony natchnieniem oném,  
 Ostatnią wolę podał przed skonem  
 I kazał wręczyć ją tobie.

„Gdy mnie już resztki życia odbiegą,  
 „Idź, rzekł, do chluby wiernych kadego,  
 „Złożywszy zwłoki me w ziemi;  
 „Powiedz, że hołd mu przesyłam szczery,  
 „I oddaj złota te kiesy cztery,  
 „By rozporządzać chciał niemi.”

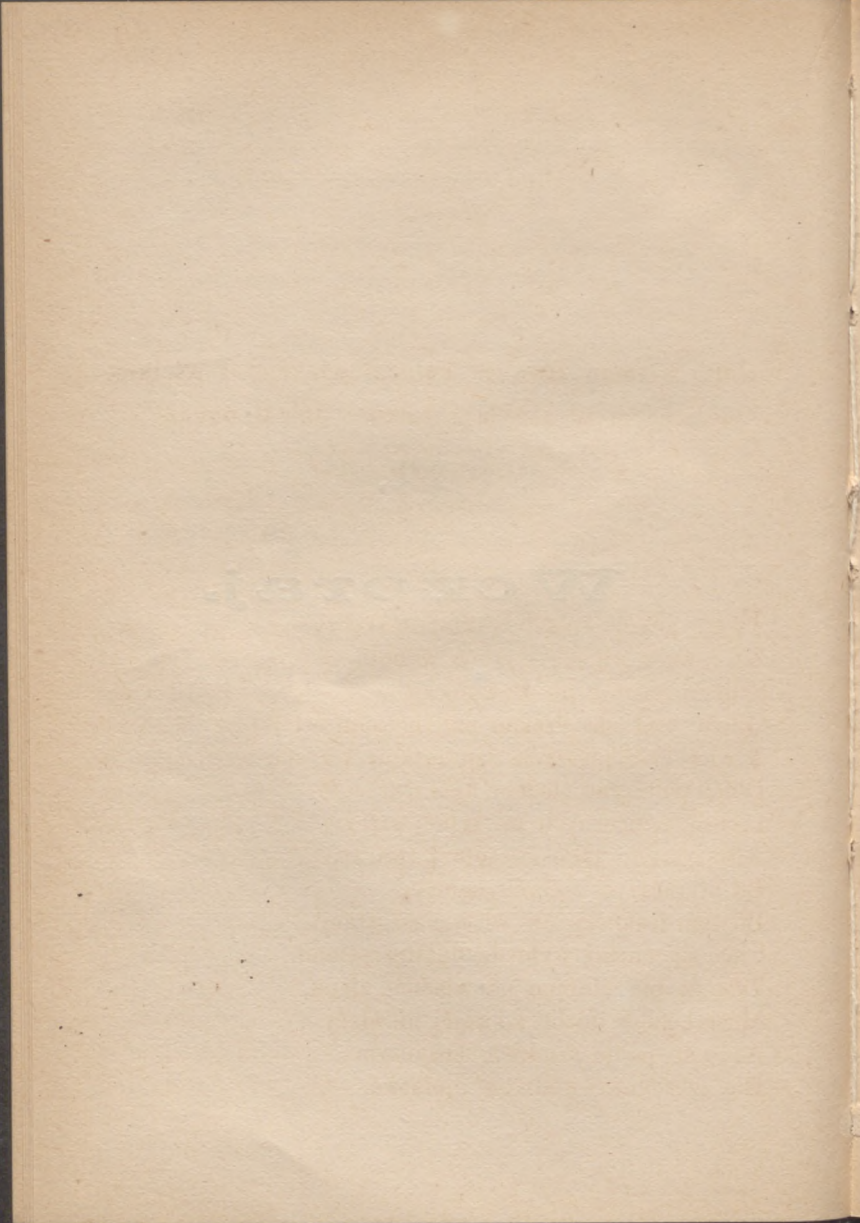
Więc pokłon tobie twój sługa czyni,  
 Te cztery kiesy są oto w skrzyni  
 Przykrytej perskim kobiercem.  
 Psa pochowałem w ziemi przykładnie,  
 A jakibądź twój wyrok zapadnie,  
 Pokorném przyjmę go sercem.”

A kady na to: — „O muśleminie!  
 Był to pies mądry w myśli i czynie,  
 Nie psie należy mu miano;  
 A zaś Kaireddyn niecny i Ali,  
 Którzy niegodnie mnie okłamali,  
 Sto batów w pięty dostaną.”



II.

**Wczoraj.**





Jako hetman Rewera był człowiekiem z wielkim  
sensem w głowie i zdrowe dawał nauki.

Gawęda z XVII wieku.

---

I.

Więc gdy podpisał traktat Rakoczy,  
Zebrawszy wojsko i tabor wszelki,  
Szliśmy *viritem* do Pawołoczy,  
Gdzie miał nas czekać pan hetman wielki.  
A więc szło pieszych dziesiątków trzysta,  
Dalej chorągwi siedem hussarzy  
I sześć pancernych na tylnej straży;  
A wszystkim jakoś wesoło z twarzy,  
Bo i fantazyja w sercu ognista.  
Bo ten Rakoczy ów wróg nasz stary,  
Choć się chciał wybiedz figlami psiemi,  
*Tandem* przyśląpion na własnej ziemi,  
Musiał zdać liczbę z swojej niewiary.  
A że to panie szlakiem kozaczym  
Dla szeregowców droga niełatwa,

Więc w Derszce, milę po za Buczaczem,  
 Dla wypoczynku stanęła dziatwa.  
*Ergo* posłano furaż za chlebem  
 I rozstawiono ludzi na czatach,  
 Reszta jak kto mógł, lepsi po chatach  
 A *gens communis* pod gołym niebem.  
 Bo to w pochodzie zawsze mozolnym,  
 To gratka, gdy się spoczynek zdarzy;  
*Tunc* mnie przy panu hetmanie polnym,  
 Jakby na umysł stawiono w straży.

A był naówczas polnym hetmanem  
 Ów Lubomirski sławiony Jerzy,  
 Pan całą gębą, czoło rycerzy,  
 Toż się lubował rycerskim stanem.  
 I choć go czasem w walce z naddziady  
 Do obcych manier brała pokuska,  
 Chociaż zamorskiej chłypnął oglady  
 I perorował szlachtę z francuzka,  
 Choć się lubował w sukniach z szkarłatem,  
 Lecz w sercu prawość miała siedlisko:  
 Tandem poczciwe było panisko;  
 Żołnierz mu synem a szlachcic bratem.  
 A no, po służbie, to daj go czartu,  
 Wszystko musiało iść jak pod sznurek,  
 Z panem hetmanem nie było żartu.  
 Ostry jak djabeł, a zły jak Turek.

A stanął w chłopskiej chacie jak drudzy,  
 Bo też gdzie indziej nie było pono;  
 Izbę mu trochę sprawili śludzy,

A dla mnie w sieni ławę stawiono,  
I stół przed ławą.

Siadłem za stołem

I ręce na nim złożyłem obie,  
Głowę na rękę, i trochę sobie  
O różnych sprawach dumać zacząłem,  
Jako to w biedzie Rzeczpospolita  
I tyle krwi się leje daremno...  
Wtém coś mnie nagle za rękaw chwyta;  
Pojrzę, a luzak stoi przedemną.  
Więc się go pytam:

— „Cóż to Kiryła,

Z jakąż to nagle wstałeś robotą?”

A on ziewając:

— „Pan hetman oto,

Po waszmość pana mnie tu przysła.”

No, pomyślałem, znów jakaś bieda,  
Taż noc do spania, czy podrwił głowę?  
Lecz się wyrzekać na nic nie przyda,  
Obciągnę kaftan pomięty srodze,  
Na wierzch koleczugi spiałem stalową  
I *parans bello* do izby wchodzę.  
Pan hetman polny siedział za stołem  
W ciemnym żupanie, w rękę miał pióro,  
A przed nim papier; snadź po nad czołem  
Myśl jakaś czarną zawisła chmurą,  
Bo brwi namarszczył, głowę potrząsa,  
Mruknął pod nosem, potem z narowu  
Na lewo trochę przekrzywił wąsa  
I znowu pisze i mruczy znowu.

A ja oparty stoję o szablę  
 I myślę sobie: Kaduk mu w głowie,  
 Nuż mi da jakie zlecenie djable!  
 Bo to ci wszyscy wielcy panowie  
 To sobie myślą nieraz na pewno,  
 Że szlachcic to czart, a wojak drewno.

A wtém pan hetman z miejsca powstanie,  
 I papier złożył, *sigillo enim*  
 Przypieczętował i rzekł:

— „Mosanie,

Waszmości służby wysoko cenim;  
 Waś do rycerskich wypraw ochoczy:  
 Więc oto *pour preuve* ufności mojej  
 Pojedziesz waszmość do Pawołoczy,  
 Gdzie hetman wielki obozem stoi;  
 Po drodze konie weźmiesz od kresów  
 I pismo waś mu wręczysz odemnie.  
 Tylko nie marudź mi waś daremnie  
 I spraw się *en brave* do wszystkich biesów.  
 Wiem, że na waści rachować mogę.”

Rzekł, jam mu ukłon oddał głęboki,  
 Pismo za kaftan, *ergo* bez zwłoki  
 Misiurkę na łeb, na koń i w drogę.

## II.

Już dzień swe białe roztworzył wrota,  
 I gwiazd iskrzące zagasły ślepie,  
 I słońko świeci, że to na stepie  
 Wszystko połyska jakby od złota.

Wkoło się jasna barwa rozwiodła,  
A koń jak strzała tatarska wali,  
I tylko koncerz chrzęszczy u siodła  
A pył szarawy połyska w dali.  
A w duszy rażno, bo jazda taka  
To *delectatio* jest dla wojaka.  
Bo to i smutek od serca zetrze  
I myśl żalobną wygoni z głowy;  
Wiatr mi gra piosnkę, a koń po wietrze  
Jak zmierzył śmiga... zwykle stepowy.

A kiedy smutek serca nie bodzie,  
To się i myśli z wiatrem rozwina,  
Człek o rodzinnej tęskni zagrodzie,  
Dusza zamarzy za swą dziewczyną.  
Niech ją tam święci anieli strzegą!  
Człek dla wojaczki rozstał się z wszystkiem,  
A toż w trzydziestu leciech nie chłystkiem,  
Żeby tak łącno zbył się wszystkiego.  
Tu ani końca nie widać biedy,  
Czyż się kłopoty nasze nie zmniejszą?  
Kaduk to nadał. Kiedyż ach kiedy  
Człek się znów ujrzy z swą najmilejszą!  
No, trudno panie: gdzie nie przeskoczy,  
Tam chyba podleźć trza pomaleńku;  
Jeśli mi kula nie zajrzy w oczy,  
Taż cię znów ujrzę moja Basieńku.  
A wonczas wrócę jako pan młody,  
I łupu z wojny przywiozę wiele,  
I będzie radość, i będą gody,  
I wyprawimy sute wesele...

Tak sobie marzę, by czas przydługi  
*Donec* rojeniem przykrócić milém;  
 Wtém się nasuwa rym jeden, drugi,  
 Tfy! do stu biesów, i wiersz skleciłem.  
 Ta... gdy affekta sercem owładną,  
 To i z ślepaka będzie ostrowidz,  
 Toć człek nie pismak, a dzisiaj składno  
 Rymuje panie jak Rej z Nagłowic.  
 Nie ma co mówić, *tamquam poema*;  
 Żeby to skreślić choć parę słówek...  
 A jak na umysł mam tu ołówek...  
 A tam, do djaska, papieru nie ma.  
 At panie, bzdurstwo, co się kłopotam,  
 Mam tu papiery jakieś za pasem.  
 Ba, zapisane już prawie... co tam,  
 Na drugiej stronie spiszę tymczasem.  
 Droga daleka, a koń widocznie  
 Także już jakoś ustał na sile;  
 Odkiełzam go tu; niechaj wypocznie,  
 A i sam sobie wypocznę chwilę.

Więc się namysłem nie bawiąc długim,  
 Zsiadłem, na paszę puściłem zwierzę,  
 Wyjąłem papier, i na papierze  
 Pisałem wiersze jeden za drugim:

„Najmilejsza mi sercem i duszą Basieczko!  
 Kupido z twoich oczu ostrym grotem strzela,  
 Z tobą mnie tkliwa serca łączy parentela  
 I dusza wciąż do ciebie grucha turkaweczko.

Ty jesteś cała moja chluba i ornament,  
 Serce mi pęka z bólu, żem jest zdala ciebie,  
 A jak wrócę z wojaczki, to w każdej potrzebie  
 Pod twój się zapisuję, panno, autorament.  
 Jako niegdyś ów Uliss, co walczył z Cyklopy,  
 Powracał do swój żony przez lądy i morza,  
 Tak ja kiedyś, Basiczku, jeśli wola Boża,  
 Powrócę z mnogim łupem do swój Penelopy.”

Ot i skończone, do biesów trzysta,  
 I u mnie muza wždy nie kaleka;  
 Nie ma co mówić, poezya czysta;  
 Co to tam siedzi we łbie człowieka?...  
 Ot i najlepsza będzie rzecz taka:  
 Stanę na miejscu jutro zaraniem,  
 Więc jak się sprawię z mojm posłaniem,  
 Z pismem do Basi pchnę sam luzaka,  
 I jeszcze łańcuch przyłączę w darze,  
 Com na wołoskim zdobył bojarze,  
 Żeby co miała nosić od święta;  
 Będzie przynajmniej dziewczka kontenta.  
 No jako tako bieda się sklepie,  
*Tunc* w drogę, bo się sierzdic tam mogą.  
 Więc pismo za pas, konia ostrogą,  
 Hu... ha... i wiatrem dmuchnął po stepie.

### III.

Jeśliś wyćwiczon w wierze wojackiej,  
 Gdy ujrzysz wojsko, a co się zowie,  
 To aż ci w sercu duch rośnie gracki  
 To aż animusz szumi ci w głowie.

Trza widzieć kiedy chwacko i wściekle  
 Wałą się naprzód, a szykiem idą;  
 Pancerny z szablą a hussarz z dzidą  
 Djabła samego wytropią w piekle.  
 A gdy skopawszy okopy w ziemi,  
 Tabor w około skrzydła rozłoży,  
 Z Boga-Rodzicą kiedy duch Boży  
 Z błogosławieństwem płynie nad niemi,  
 Które te wszystkie serca wojacze  
 Najtęższym swoim mienia puklerzem, —  
 To aż ci dusza z radości skacze,  
 I wdzięcznyś Bogu, żeś jest żołnierzem.

Już słońko dobrze świeciło z rana,  
 Skowronek piosnki kwilił ochocze,  
 Gdym ujrział miasto, to Pawołocze,  
 A przed niém obóz pana hetmana.  
 Wkoło wrąbane palisad klocki,  
 Za niemi młodzież krząta się dziarska,  
 Obóz w półkole stawion z tatarską,  
 Tak chce pan hetman... zwykle, Potocki.  
 Boć wiecznie granic pilnując wschodnich,  
 On się lubuje stepem i jarem,  
 Z bratem kozakiem i psem Tatarem  
 Przywykły walczyć, tać przejął od nich.  
 On się nie bawi piórem ni księgą,  
 A służby wiernie pilnować zmusza;  
 Ale na wojnie, to hulaj dusza,  
 Rób co chcesz bracie, byleś bił tego.



W nim wiek podeszły sił nie wycieńczy,  
 Bo trza go widzieć, a w bitwie zwłaszcza,  
 Jaka to jeszcze dusza hulaszczą!  
 Jaki to jeszcze ferwor młodzieńczy!

Więc kiedym stanął już przed namiotem  
 Gdzie wywieszone hetmańskie godła,  
 Wstrzymałem konia nagłym zawrotem,  
 I *dexteriter* skoczyłem z siodła.

Pan hetman chodził w szacie porannój,  
 W rękę święcone dzierżąc szkaplerze,  
 I do Najświętszój Maryi Panny  
 Pod nosem szeptał jakieś pacierze.  
 A był to, panie, człek już niemłody,  
 Z ogromnym nosem, wypukłym czołem,  
 Twarzy pożółkłej, niskiej urody,  
 Zgarbiony niby dziad przed kościołem;  
 Lecz gdy w rycerskie zagra rzemiosło,  
 Albo się w polu z wrogiem spotyka,  
 To się sprostuje, panie, jak tyka  
 I zda się łokieć jemu przyrosło.

Gdy uchyliwszy żółtój pokrowy  
 Wszedłem, z attencyą kłoniąc się całą,  
 Zmierzył mnie, panie, od stop do głowy,  
 Że mi aż w łydkach zadygotało.  
 A on mi z góry:

— „Panie kolego!

*Quidnam re vera* wiesziesz dobrego?”

— „Wracam od wojska.”

— „Ha! wieść nielada,  
Pewności wrogów natłukli siła?”

— „Pan hetman polny pismo przysłał  
I swoje służby pokorne składa.”

— „Daj-no waść pismo... taką robotą  
To tu z sukursem pośpieszyć muszą,  
Bo mi ich djable potrzeba... co to?...  
„Najmilejsza mi sercem i duszą!”

Co to *re vera*, i podpis jaki?..

„Jacek Kobyłka, twój amant wierny.”  
Toć hetman polny rapport szle taki?  
Czyś waść się zbiesił panie pancerny?”

— „A to do biesa... w rękach się pali.  
To tam miłosne głupie są baśnie.  
Miałem tu rapport... kaci nadali...  
Gdzież on?... do licha... toż to on właśnie!”

— „Co, jaki rapport? Hola mosanie,  
Czy ze mnie waszmość chcesz robić błazna?  
Dam ja waszmości suche śniadanie,  
Że mnie waść zaraz *re vera* zazna.  
Jak się raz sparzysz na starym czorcie,  
To odtąd będziesz bratku ostrożny.”

Nie ma co nawet stawać w obronie,  
Więc się mu do nóg niziutko kłonię:

— „*Parcite mihi* jaśnie wielmożny,  
 Ja napisałem wiersz na rapporcie.  
 Kaduk mnie skusił... skaranie Boże...  
 Ale się rapport ostał bez szwanku.  
*Tum mea culpa.*”

— „Hola mosanku,  
 Tak się *re vera* skończyć nie może.  
 Widzę, że z waści zbiesiona głowa,  
 A to *re vera* nielada winą,  
 Mosanie, *tamquam* sprawa garłowa;  
 Niech waść poczeka, przeczytam ino.”

I począł czytać sapiąc ogromnie.

No, myślę sobie, teraz już po mnie.  
 Djabli mnie nawet nie zbawią sami;  
 Toż chyba z niemi kontrakt zawarłem,  
 Licho nadało z temi wierszami...  
 Ha... trzeba teraz przyplącić gardłem,  
 Ot... gdzie człowieka amory wiodą,  
 A szkoda będzie umierać młodo...

Tymczasem hetman skończył czytanie,  
 Położył na stół pięść zaciśnioną,  
 Popukał trochę i rzekł:

— „Mosanie,  
 Z waszmości niezły żołnierz jest pono;  
 Bo mi tu pisze pan hetman polny,  
 Że się waść walnie sprawił z Rakoczym,  
 I żeś do usług wojennych zdolny;  
 No, może jeszcze *poenam* odroczyam,

Bo tu *re vera* wojna się święci;  
Lecz waść zatrzymaj zawsze w pamięci  
Owo przysłowie hetmana Rewery:  
„Hebes, kto w cudze zagląda papiery.”<sup>1)</sup>

Takem się, panie, wywinął z biedy;  
Teraz już pomnę sentencję ową,  
I niech sturczeję, jeżeli kiedy  
W jaką pokusę wpadnę rymową.

---

<sup>1)</sup> Podobno Mikołaj Potocki, hetman wielki koronny, inaczej się wyraził; ale nie znając wyrażenia jego co do słowa, notuję jak zasłyszałem, zostawiając uczeńszym sprostowanie.

---

Jako deresz pana Piotra z Kordaszyc przemienił  
się w brata Jakóba i co się potem wydarzyło.

---

— Herszek, daj wódki, a częstuj lepszém! —  
Ten żyd to bestya, panie, wcielona,  
Sam łotr niechrzczony a wódka chrzczona...  
Daj anyżówki, *equidem* z pieprzem,  
Bo cię...

— Ot wódka, co się pan żalisz?...

— Niech cię ogarnie żydzie powietrze!  
Spytaj tych panów... No, panie Pietrze,  
Milczysz jakbyć tknął język paraliż,  
A oczy tak ci stanęły kołem,  
Jakbyś tam Szwedów liczył za stołem;  
Jakoś nie służą waści kiermasze?...

— Ta, czmera we łbie...

— At, prawisz wasze,  
Zły łeb, gdy ład w nim *tamquam* nie miesza...  
A stargowałeś mi waść deresza;  
Piętnaście czątych... to za nic prawie —  
Takiego król Sas nie ma w Warszawie.

Gdyby nie waści... jeśli cię manię,  
 To niech mi kiszki czort powyciąga,  
 Jakem Sodalis Marianus panie,  
 Nie odstąpiłbym ani szeląga —  
 Lecz ja waszmościa kocham i kwita.

— A do émy czortów! wszak to już świta!  
 Czas w drogę, pani Brygida słaba.

— Ot co, prawdziwa z waszmościa baba;  
 Wstydz się, nie warteś, że nosisz wąsy,  
 Kiedy cię babskie strachają dąsy...  
 Toż ci na prawdę pstro we łbie Pietrze:  
 Chwiejesz się jak kul słomy na wietrze,  
 Czekażże, razem pojedziem w drogę.

— Nie mogę, panie Pawle, nie mogę,  
 Bo tu o *verbum nobile* idzie,  
 Dałem go babie... Hej! konia żydzie!  
 Żegnam mościwych mi panów braci.

— Czekażże, sam ci potrzynam strzemię,  
 Trzymaj się ostro... A niech go kaci!  
 Dalipan, wszak on gruchnie o ziemię.  
 Szczęściem, że deresz kłus ma jak panna..."

.....  
 Była to jasna pora zaranna;  
 Droga od miasta skręcała dołem,  
 A bokiem wierzby sadzone młode,  
 Zielone kitki schylały w wodę...

Słońce już jasnym wyjrzawszy kołem  
 W okół złociste rzucało blaski

I droga na wschód niemi obłyła,  
 A dalej pola, za niemi Wisła,  
 A za nią płockie żółciały piaski.

Z początku deresz począł iść kłusem,  
 Lecz widząc, że coś cugiel wolnieje,  
 Sam zwolnił kroku i poszedł stępa.  
 Na drodze co krok kamień lub kępa,  
 Koń się potyka, a pan Piotr chwieje,  
 I klnie okropnie za każdym susem.

— A daj go katu i droga taka!  
 Czy czort opętał dzisiaj człapaka?  
 Walną zrobiłem sobie wygodę:  
 Ślepa psia wiara czyli co?... Oto  
 Znów; pal go lichu! Pójdę piechotą  
 I sam za sobą konia powiodę.  
 Musi pójść albo piorun go spali...

Zsiadł, i na szkapę spojrział ukosem,  
 I wzięwszy cugle, w zygzaki dalej  
 Ruszył, coś sobie mruczając pod nosem.

Z boku, na prawo, jak droga z lasku  
 Wężem przez łąki okrąża z dala,  
 Skrzypnęły ciężkie koła po piasku  
 I śpiew Mazura zabrzmiał fornala.  
 Bryka o jednym idzie koniku;  
 Na nię żywnością worek napchany,  
 Tłuste prosiaki, spaseł barany,  
 Połcie słoniny, jaja w koszyku,  
 Kury i z gęsią indyk do pary  
 Czerwone swoje gardło nasraża; —

Nad niemi habit rozwarty szary  
 I twarz rumiana błyszczą kwestarza.  
 Czasem zgorzałe nasroży lice,  
 Pomuśnię wąsy rosą pokryte  
 I sięgnie ręką po *aquam vitae*,  
 Co w flaszy przy nim schowana w bryce.  
 To mu się lice uśmiechnie mile,  
 Koń stanie, śpiewka ucichnie chwilę,  
 I Maciuś cugle wypuści z pięści,  
 By łyknać także do równéj części.

— A no, Macieju, spojrz-no od drogi,  
 Widzisz przed nami, het tam, na przedzie,  
 Patrz, szary żupan, jasne wyłogi,  
 Jakiś szaraczek tam konia wiedzie.

— A dyć to prawda, i znać po chodzie,  
 Ze z chrzcin powraca, albo z wesela;  
 I musioł się tam strąbić jak bela,  
 Bo się zataca jak wóz na lodzie.  
 I koń się, widzę, także zacina;  
 Dyć musioł ślachciec gdzieś bęcnać w błoto  
 Gdy idzie pieskiem... Niezły skapina,  
 Jakby to z naszym był w parze...

— Oto

Wiesz co Macieju? My nie szalbierze,  
 Lecz tu figielek *ex fundo* nowy;  
 Tylko po rozum trza pójść do głowy,  
 A ślepy Mazur się nie postrzeże.  
 Tać to się różnie zbierało kwestę.



Nasz szkapa i tak strasznie już zdźwigan;  
 Tego ukradłby żyd albo Cygan,  
 Gdy my go nabyć możemy honeste.  
 Zostawim brykę wedle parowu —  
 Waść zajdziesz szkapę z tyłu cichutko,  
 Zdejmiesz z uzdeczki zręcznie a krótko  
 Weźmiesz na powróż, co jest w puzdyce,  
 I zmocowawszy dobrze przy bryce  
 Hejże na lewo ku Borysowu.  
 Mnie waść zostawisz na łaski Boże —  
 Ja zamiast szkapy wezmę uzdeczkę,  
 I tak się zgrabnie, zręcznie ułożę,  
 Tak tę napiał omanię beczkę,  
 Że bez rwetesu i bez napaści  
 Niedługo we wsi dogonię waści...  
 Jak ułożyli tak i działali.  
 Maciuś zdjął uzdę z konia powoli,  
 I zmykając z nim bokiem po roli,  
 Dopędził bryczki i ruszył dalej;  
 A kwestarz trochę skrzywiwszy gęby,  
 Pewny, że *salvum corpus servabit*,  
 Wziął na kark cugle, trenzelkę w zęby  
 I ruszył w drogę podgiąwszy habit.  
 Choć to pijanych czort mówią niesie,  
 Iż zawsze trafią do domu z szynku,  
 Jednak zmęczenie czasem ozwie się  
 I zażądają nogi spoczynku;  
 A więc i pan Piotr, choć w takiój probie  
 Dlań anyżówka była inkluzem,  
 Poczuł fatygę, i wspomniał sobie,

Że deresz za nim podrepta luzem.  
 Ogląda się więc... Tfy! Co u licha!  
 Miasto deresza nagaba mnicha!  
 Zimno go przeszło do szpiku kości,  
 Odskoczył, splunął, zrobił znak krzyża,  
 A kwestarz przed nim karku uniża  
 I prawi kornie:

— Kłaniam waszmości.

— A święty Jacku! cóż to za dziwy!  
 Czy lichy? czy złe w oczach mi kleci?  
 Tfy! tfy! złe odstęp! tfy!... jakem żywy...

— Jam jest brat Jakób, *servus* waszeci;  
 Szatan mnie złapał w swych pokus sidle,  
 Sześć lat w pokutę byłem dereszem...

— Tfy! co waś mówisz? wszak wszyscy grzeszym,  
 A nikt się jednak nie zmienia w bydlę!

— Waszmościa powieść moja przekona,  
 Że się w tém waszmość okrutnie myli.  
 Reguła dla nas jest naznaczona,  
 Żebyśmy skromnie, w pokucie żyli;  
 Nam zakazany zgiełk świata próżny,  
 Śledzić go nawet zdala niewolno;  
 Winniśmy tylko pracą mozolną  
 Hartować ciało, a żyć z jałmużny...

Ja biedny szlachcic, com dla pokuty  
 Musiał się dostać w klasztorne mury,  
 Nie mogłem ziemskiej pozbyć się buty,

Ani téj dawnéj światowéj skóry.  
 Chociem naznaczał ciału katusze,  
 Chociem zbawienia zapragnął słońca,  
 Krew rozsadzała piersi gorąca,  
 A dawne żądze paliły duszę.  
 Pomimo postów, mimo biczowań,  
 Przeszłość stawała w oczy obrzydła,  
 A szatan śmiał się z mych usiłowań,  
 Wiedząc że złapie grzesznika w sidła.

Raz, gdym z klasztoru *more honesto*  
 Jako brat młodszy ruszył za kwestą,  
 (A był to piątek jak dzisiaj pomnę),  
 W jakieś domowstwo wszedłem ogromne.  
 Służby jak nabił, zaprzęgów mnóstwo —  
 — „Tu rzeknę, będę pukał niepróżno,  
 Może napełnię sakwy jałmużną,  
 A tém zasile nasze ubóstwo.”

Wchodzę, służba mnie otacza w koło,  
 Drwiąc ze mnie gwarzą sobie wesoło,  
 A ja się wszystkim klaniał z pokorą.  
 Nareszcie dwóch mnie za ręce biorą  
 I wiodą z sobą do wielkiej sali,  
 Gdzie goście z panem obiadowali.

— „Aha, Bernardyn, pan do mnie rzecze,  
*Quid novi* księżę? cóć tu przyniesło?”

I skłonił głową i wskazał krzesło.

A jam pomyślał: „Rozumnie człecze;  
 Kiedyś pijanych otoczon zgrają,

Wszak to nie *crimen* działać rozsądnie;  
 Oni drwią dużo, lecz dużo dają;  
 Możesz zasilić się tu porządnie,  
 Bo dowcip wiele ma tu waloru,  
 A kwestarz zawsze w dowcipie ufa."

Tedy pan:

— „*Quid vult* nasz pan brat kufa?"

A ja:

— „Jałmużny coś dla klasztoru."

— „Dobrze, księżulu, posil się wprzód  
 I palnij z nami kielich na wiwa."

Na stole było pełno mięsiwa,  
 Zaś wina, miodu, jak indziej wody —  
 A ja się waści przyznam tu szczerze,  
 Człowiek jest trochę w tym względzie zwierzę,  
 Jakoś to zawsze z pokusą ślizko;  
 Już szatan począł trącać mnie chwostem,  
 Jednak kłaniając się panu nisko:

— „My, jasny panie, jemy dziś z postem."

— „Wszak widzisz, z mięsem tu jedzą; zróbże  
 Tak jak my, czyż my tacy ladaco?"

— „Ha, jasnym panom i w piekle dobrze,  
 Mogą się wykpić, bo hojnie płacą."

— „A no, toż przecie i waść nie ciołek.  
 Możesz zajść drogę choćby czortowi."

— „Ja, jasny panie, chudopachołek,  
*Quod licet Jovi, non licet bovi.*”

— „He! widzę waszmość na ostro kuty!  
Więc już namawiać dłużej nie będę.  
Siadajże z nami choć na gawędę,  
Wszak przecię za to nie ma pokuty.”

Cóż miałem robić? siadłem za stołem.

Chcieli przygody me znać od młodu.  
Kiedy *breviter* prawić zacząłem,  
Nadarzyła się lampeczka miodu.  
A była straszna na dworze spieka  
I nadto długie opowiadanie...  
Proszę waszmości, czort skusił człeka,  
Łyknąłem miodu, tfy! odpuść Panie!  
A że szatańską to było sprawą,  
Porcyą była, Bóg widzi, mało,  
Choć człek się dawniej z kuflem tłukł żwawo,  
Od razu we łbie mi zaczmeralo.

Sąsiad namawia, trochę przekpiwa,  
Ja głupiec kufel po kufiu łowię,  
Z miodu do wódki, z wódki do piwa,  
Aż czeremere całkiem już w głowie  
I jak heretyk nuż do mięsiwa.

Już się nie mogłem oprzeć od zguby;  
Wszystko się jęło obracać kołem,  
Prawiłem jakieś smalone duby  
I pańską żonę w rękę cmoknąłem...

Co było dalej?... dalej nie pomnę,  
 Bom gruchnął pod stół prawie bez duszy.  
 Tylko szmer jakiś dudnił mi w uszy,  
 Jakieś chichoty, wrzaski ogromne,  
 Ze mnie to wszyscy śmieli się pewno...  
 Wreszcie chrapnąłem twardo jak drewno.

Nie wiem co dalej ze mną się stało;  
 Tać może dobę przespałem całą...  
 Budzę się, droga przedemną bita,  
 Chcę wstać, spętany jak gdyby w sidle,  
 Aż tu miasto nóg — czuję kopyta,  
 I miasto człeka — już ino bydlę.  
 Znać z Boskiej było sprawiedliwości,  
 Kiedym się w grzechu pobratał z biesem,  
 Aby on na mnie wywarł swe złości  
 I tak przemienił w bydlę z kretesem.  
 Wszystko wyznałem waszmości szczerze,  
 Znać czort już teraz zwolnił mą duszę,  
 Lecz ja do waścia z kupna należę  
 I jeśli każesz iść z tobą muszę.”

Pan Piotr uważał na każde słowo,  
 Tylko z podelba patrzył na mnicha,  
 Czasami spluwał i kiwał głową.  
 Gdy skończył, mruknął pod nosem z cicha,  
 Musnąwszy wąsa prawi nareszcie:

— Lichoć po tobie mi teraz bracie —  
 Kiedy wy szkapkiem już nie jesteście,  
 To mi się teraz na djaska zdacie.

Łacnom się pozbył chudoby mojej!...  
 Piętnaście czątych!... to pieniądz wielki!...  
 Daj waśc trenzelkę, może z trenzelki  
 Chocia się z para tyńfów okroi.  
 Waśc do kościelnój wracaj usługi,  
 A z czartem nie tak trzymaj się krucho  
 I strzeż się pokus, bo po raz drugi  
 Pewnie nie wyjdzie waści na sucho.  
 Piętnaście czątych!... Toć nie przelówki!  
 No... jedni płacą, choć drudzy grzeszą...”

Rzekł i nasunął w bok rogatywki  
 I dalej drapnął do domu pieszo.

\* \* \*

Miesiąc upłynął. Pan Piotr niewieście  
 Nie umiał długo uchylać karku —  
 Był jarmark walny w sąsiedniem mieście  
 I pan Piotr znowuż był na jarmarku.

Po mszy sumiasto nastroił minę,  
 Poprawił pasa, musnął wąsisko  
 I dalej chodzić przez targowisko.  
 Aż tak musztrując *idem per idem*  
 Patrzy... brat szlachcic tam o szkapinę  
 Dobija targu z handlarzem żydem.  
 Przystaje trochę, idzie, znów stawa:

— A to co? czy mi we łbie się miesza?  
 Czy znowu jakaś szatańska sprawa?  
 Wszak-ci poznaję mego deresza!...

Ręce pod słońce podłożył obie,  
 By strzedz od zbytnej oczy jasności:  
 — Dalipan to on; skóra i kości!  
 Ot kwestarz! znowu pozwolił sobie —  
 Lecz niechaj miejsca szuka gdzie indziej...  
 Panie Ambroży! Chodź-no wasindziej!

Wziął go na stronę i mówi z cicha:

— Nie kupuj waszeć mi tego licha,  
 Bo jak się na niém wybierzesz w drogę,  
 Koń czmychnie jakby widmo złowrogie,  
 A waść pod sobą zobaczysz mnicha.

— Co mi waść jakieś prawisz androny?  
 Ta szkapa mnichem! Czyś waść szalony?!

— To święta prawda, daj mi waść wiarę,  
 Ja waści zaraz to mogę dowieść. —

I prawi całą kwestarza powieść,  
 Jak go czort w konia zmienił za karę:

— A że tak było, że się nie mylę,  
 Mogę dać na to *verbum nobile*.  
 Teraz znów musiał gdzieś zalać palkę,  
 I ot mu szatan tak zaraz płaci...  
 Chcesz-że go kupić?

— A pal go kaci!

Lepiej do Szmula pójść na gorzałkę.



Jako pan Piotr odsadził od panny Francuza, a sam  
jój nie dostał.

---

Pan Piotr.

Źle, mopanku, bieda wszędzie,  
Przeciw wodzie nie pomoże;  
Jednym same gołą noże,  
Drugim brzytwa tępą będzie.  
Dziwo oto, świat mądrzejszy;  
Téj mądrości mam aż póty,  
Bo to, panie, człek dzisiejszy  
Nie wart dawnym czyścić buty.  
Ale dzień się wola Boża,  
Trudno z losem iść na udry;  
Przyszły głupstwa nam z za morza.  
Wymyślili jakieś pudry,  
W gębie kluski, we łbach świta,  
Ot, krzyż zesłał Bóg i kwita.

Pan Józef.

At, dziwota! czyż to niby  
 Dawniej lepij było może?  
 Toć my obaj, żal się Boże,  
 Postarzeli już na grzyby,  
 A to jednak, choć od dziecka  
 Widziało się kupa ludu,  
 Ten był z szwedzka, ten z niemiecka,  
 A po polsku ani dudu;  
 A Francuzów...

Pan Piotr.

Toż to właśnie,  
 Czort ich w zlej naraił chwili;  
 Niech tam jasny piorun trzaśnie  
 Tych, co ich tu sprowadzili;  
 Od nich cała nasza bieda.  
 I wspomnicie po niewczasie,  
 Że człek sobie rady nie da,  
 Aż to psiarstwo pójdzie zasie.

Pan Józef.

Święta prawda, panie bracie,  
 Święta prawda...

Pan Piotr.

Toż to przecie,  
 Nie pierwszyna nam na świecie,  
 Już nie w jednej alternacie

Nie z jednym się jadło soli,  
 Wiem komu *redde quod debes*;  
 Ale to aż w kiszkach boli,  
 Że tam taki panie hebes,  
 Co gdzieś koniom czyścił dery,  
 Nawet herbu nie wypowie,  
 Czort wie czyli szlachcic szczery  
 Śmie przewodzić szlacheicowi.  
 Tałajstwo... to się puszy,  
 A tchórzliwój jest natury;  
 Tylko na nie ostro, z góry,  
 A dalipan uczci uszy.  
 Ja jednemu, jeśli kłamę  
 To niech Turkiem, panie, będę,  
 Takem wytarł rewerendę,  
 Że się w lisią schował jamę.

Pan Józef.

Jak to było?

Pan Piotr.

At, mosanie,  
 Jużto czasu będzie kawał.  
 Właśnie kiedy wyszły Szwedy,  
 Kraj powoli z biedy wstawał,  
 Człek się wieszał, panie, wtedy  
 Przy sądeckim kasztelanie.  
 Był to sobie człek nielada,  
 Panom swatem, szlachcie bratem  
 I szlachta mu była rada,

At zwyczajnie jak z magnatem.

A u niego, mój mopanku,  
 To się ćmiło w oczach ino;  
 Ciągle na stół stare wino,  
 Ciągle nowi goście w ganku,  
 Jakieś zamorskie panięta,  
 Jakiś Konty, jakiś Korwo;  
 Niechaj ich tam kaci porwą,  
 Kto bestyjstwo to spamięta.

A jeden tam był, za katy  
 Istne *monstrum horribile*;  
 Nogi cienkie jak badyle,  
 Łeb jak u pudła kudłaty,  
 Haftowane szychem plecy,  
 I u boku jakieś szydło;  
 Dycht jakby małpa na hecy,  
 Albo na ptaki straszydło.  
 Tać to prawiono w gawiedzi,  
 Tfu... aż puste biorą śmiechy,  
 Że bezpięty tam w nim siedzi,  
 Panie Boże, odpuść grzechy.

A trza wiedzieć, tam przy dworze  
 Chowała się panna gładka,  
 Młode jeszcze to niebożę  
 I potulne jak dzierlatka,  
 Ależ pyzio, panie bracie,  
 A i ślipki tak cudacze,  
 Że jak z boku zérknie na cię,  
 To aż dusza w człeku skacze;  
 Czarnych włosów, białej cery,

Słowem, panie, dziewczka tęga,  
Jak ulana, istne bóstwo.  
Nasz Francuzik niedołęga,  
Poczuwszy tam grosz w kalitce,  
Nuż do panny ciąc dusery;  
Firtało się to paskudztwo  
Jak istny wróbel na nitce.  
A i ja też, choć to taki  
Miałem jeszcze fizys chłystka,  
Tamen jak i inna wszystka  
Szlachta, ciąłem koperczaki.

Owoż gala wielka była,  
Festyn, panie, imieniny,  
A na dworcu gości siła,  
Bal, wieczerza i wiwaty,  
Że to wszystkim nam za katy  
Aż kurzyło się z czupryny.  
Sprowadzono i kapelę,  
Troje skrzypek, tołumbasów,  
Żydek jakiś zwodził trele  
I rznął z wysokich parnasów.

Więc polskiego... i po sali  
Wnet się rozwinęło koło;  
Gwarno, tłumnie i wesoło  
Jedni drugim odbijali;  
I to rażno, boż to przecie,  
Niech tam inni gębą mielą,  
Jak człek brzęknie karabelą,  
To aż zadrży coś w kobiecie.  
A Francuzik, już był sobie

Pannę moją zmówił wprzód;  
 Podług téj tam ich psiěj mody  
 Co się firta, jak w chorobie,  
 Nuż harcować w lewo, w prawo,  
 Aż się trzęsła cała bieda;  
 Ja się sunę odbić żwawo,  
 A mój *nequam*, panie, nie da.

Tfu do licha! złość mnie wzięła,  
 Boć to rzeczy niesłychane,  
 By mops taki szedł do tańca;  
 Jak mu sunę w bok szturchańca,  
 To aż gruchnął łbem o ścianę  
 I peruka w tył fajtnęła.  
 Przetkańczyłem, a ukosem  
 Spoglądałem; Francuzina  
 Łypał na mnie jak gadzina,  
 Pomrukając coś pod nosem.

Ustał taniec, ów się zbliża,  
 Sadząc kroki tak jak czapla,  
 Nasrożył się nakształt jeża  
 I coś po swojemu papla;  
 Czort wie co językiem miele,  
 Tać to przecie nie uchybia;  
 Ale pięść mi pod nos wścibia!...

O, mosanie! to za wiele,  
 Wszakżeć ja z tobą nie w ciury!  
 A więc jak nań huknę z góry:  
 — „Niechaj waść tu głupstw nie plecie,  
 Zjadłeś mi waść djablów sześć,  
 Ja nie jestem szwedem przecie,

Żebyś mnie miał w kaszy zjeść.  
 Ze mną, panie, tak jak z dzieckiem;  
 Lecz jak kto mnie w skórę dźga,  
 To się słowem klnę szlacheckiem,  
 Że jak rąbnę, to aż ha!...”

Jeszcze patrzył coś ukośnie,  
 Jeszcze mruzczał coś półgłosem,  
 Ale zważał pismo nosem  
 I drapnął tam, gdzie pieprz rośnie.

Pan Józef.

A bogdanka?

Pan Piotr.

At, z respektem,  
 Płocha była białogłowa;  
 Oświadczyłem się z affektem,  
 I nie chciała mi dać słowa,  
 Dając mi respons: — „Mój mości,  
 Chcę spróbować, czyli wasze  
 Stałym będzie tak w miłości,  
 Jak jest dzielnym na pałasze.”

Więc człek jakby głupiec szczerzy,  
 Chcąc się dostać do faworów,  
 Wzdychał całe lata cztery  
 I sechł ciągle od amorów.  
 A to wszystko, panie, na nic,  
 Tylkom innym nabił trzosa:  
 Przybył jakiś kasztelaniec,  
 I zdmuchnął mi ją z przed nosa.

Jako Pan Maciej z Ozorkowa utracił pół ucha na  
jarmarku w Łęcznej.

---

Pan Maciej.

Bo to już u mnie taka natura,  
Że jak mi się kto stawia przed oczy,  
Zje kroćset djabłów z ogonem, ciura,  
Jeśli raz drugi się napatoczy.

Pan Bartłomiej.

At, prawisz wasze, istny nierozum,  
Po co to puste *verbum gloriosum*,  
Toć my już przecież nie świszczypalki....

Pan Maciej.

Co! waszeć myślisz, że to przechwałki,  
Że tylko język mój rąbać umie?  
Jakem karmazyn, panie Bartłomiej,  
Zje diabła kto mi chce dmuchać w kaszę:  
Ostrzegam bratku.



Pan Bartłomiej.

At, prawisz, wasze....  
 Tać wiem, że z waści jest rębacz zręczny;  
 Wszak na jarmarku widziałem w Łęcznej,  
 Jakeś obcinał piskorzów — ano  
 Toć tam i waści skórę zlatano.

Pan Maciej.

At, głupstwo, bratku.

Pan Bartłomiej.

Cale pół ucha.  
 Jednak musiała być sprawa krucha,  
 Kiedy się uszom dostało.

Pan Maciej.

Co tam!  
 O takie bzdurstwa się nie kłopotam.

Pan Bartłomiej.

Piękne mi bzdurstwo *decus faciei!*  
 Tać przecież ucha już nie przyklei.

Pan Maciej.

A to ten Marek, panie, hawryło,  
 Za moje dobre...

## Pan Bartłomiej.

Jakże to było?

Toć ja początek widziałem ino;  
 Bo po téj piérwszój bójce szlacheckiej  
 Chciałem utopić *iram in vino*  
 I jak kół, ległem gdzieś między niecki,  
 A więc nie pomnę.

## Pan Maciej.

To jest prawdziwa  
 Polska przypowieść: „Nie leż do chlęwa,  
 Boć ty tam nie swój.” Ot jak się stało:  
 Nie waść sam byłeś pod dobrą datą,  
 Jakoś nam wszystkim we łbach czmeralo,  
 I w oczach djable było srokato,  
 A tu czas do dom, choć w nogach krucho;  
 A więc jak kto mógł na trzeźwo niby,  
 Szablę do boku, czapkę na ucho  
 I ruszył w drogę, do swój siedziby.  
 A jak dziś jeszcze pomnieć to moge,  
 Żyda karczmarza kłamię przez drogę,  
 Bo mi się zdało, że on cichutko  
 Na boku miód nasz dolewał wódką.  
 A więc wołałem: „Poczekaj błażnie,  
 Niech-no wyszumi ta akwawita,  
 To taką jutro sprawię ci łaźnię,  
 Że aż ci Kraków we łbie zaświta.  
 Ja cię niechrzczona strefię bestyo,

Co trujesz ludzi w psim twoim szynku."  
 A wtém na prawo slysę od rynku,  
 Że jakieś licho w pałasze szczęka:  
 „Tfu, do émy czartów, czy tam się bija?”  
 Tać zaświerzbiała zaraz mi ręka,  
 Daléj więc naprzód, *quid enim ego*  
*Video*, czterech dławi jednego!  
 To coś łotrowskiéj nakształt napaści.  
 Jak huknę panie: „Trzymaj się waści!  
 Ja sekunduję!” Jak utnę młynka  
 I dwóch z nich po łbie wyszameruję,  
 Aż tu jak wymiółł zemknęli zbóje  
 I tylko sam ten został chudzinka.  
 A ja mu wówczas: — „Kłaniam waszmości,  
 Idź waść do domu.” A on z rezonem:  
 — „Komuż mam złożyć me powinności?”  
 — „Zjedz waść kroć djablów, panie, z ogonem,  
 „Co ci do tego!...” A on do szabli.  
 Więc się złożymy, i panie oto  
 Za trzeciém cięciem, nadali djabli,  
 Płatnął po uchu, i spadło w błoto.  
 Nie czas już było zbierać do czarta;  
 Pięknym wdzięczności dostał podarek.  
 Szlachcic był z Łęcznéj, a zwał się Marek.  
 Ot cała sprawa ta licha warta.  
 Lecz się żałować na nic nie przyda;  
 Zapijmy lepiej, chodź waść do żyda.

---

Jako żyd Boruch handlarz skórek zajęczych, dostał  
basarunek od Sasów i basarunek od Leszczyńskich  
i jaki z tego wyprowadził sens moralny.

Historya trefna a prawdziwa wielec.

---

W owe to czasy, kiedy do korony  
*Per fas et nefas* dwóch się, panie, darło,  
Kiedy Szwed i Sas, każdy na wsze strony  
Gospodarował i walczył na gardło,  
W owe to czasy drogą od Tajkurów,  
Co węzem płowym bieży koło wioski,  
Toczył się wózek maleńki żydowski,  
A w nim żyd stary i parę bachurów.  
Wózek lichota, same grochowiny,  
Dziury mu w bokach świecą od starości —  
A koń u wózka toż skóra i kości.  
A żyd jak zwykle żyd, potulny z miny,  
W futrzanej czapce, za całe ubranie  
Chował z wytartej zeszyty opończy,  
Kiwa się ciągle, znać pacierze kończy,

Lub na bachurów zaszwargocze zciha,  
Co chude członki wyległszy na sianie,  
Chrapią jak tartak, co woda popycha.

Choć droga gładka, jak mówią, po mydle,  
A do popasu milek jeszcze ze dwie,  
Noga za nogą koń się wlecze ledwie,  
Zwykle, żydowskie na wpół zdechłe bydlę,  
Chociaż to instynkt lepszy ma od człeka;  
To też na wolę żyd mu puścił wodze,  
I wzrokiem powiódł ciekawym po drodze,  
Bo tam na drodze coś czerni zdaleka.

Czerni się, czerni, coraz więcej wzrasta,  
I tuman kurzu wreszcie się przerednia:  
To szlachta, panie, a znać sama przednia,  
Bo mina u niej gęsta i sumiasta.  
Przodem na siwku co w dzielnym podskoku  
Bokiem podrywa najeżywszy grzywę,  
Z czapką na bakier, z demeszką u boku  
Jakieś chłopisko harcuje straszliwe.  
Wąs jak u suma, a twarz ogorzała,  
W oczach mu wyraz płomienieje djabli,  
Brwi nasrożone, a szrama od szabli  
W lewo z policzka w czoło wybieżała.  
A pięść u niego taka zamaszysta,  
Że jak cię rąbnie, to do nóg upadam,  
Zanim powstaniesz zjadłbyś czortów trzysta.  
To sam chorąży, pan Szmigielski Adam.

W żydzie krew ścierpła, lecz cóż robić w biedzie?  
Odkręcił na bok i ku polu dąży,

A wtém: „Stój żydzie!” krzyknął pan chorąży,  
I cała szlachta wrzasnęła: „Stój żydzie!”

— „Gdzie to waść jedzie o tak wczesnej dobie?  
Proszę sam do mnie, pogawędzimy sobie.”

Żyd wylazł z bryki poznawszy po mowie,  
Że to nie żarty, nachylając karku  
Do nóg się kłoni.

— „Przezacni panowie,  
Ja biedny żydek, powracam z jarmarku,  
Jadę do domu.”

— „Hola! za to ręczę,  
Że gdzieś przeciw nam podążasz z językiem.”

— „Jak mi Bóg miły, ja nie zmówny z nikim,  
W Tajkurach skórki sprzedałem zajęcze  
I wracam do dom; jeśli kłamię słowo  
Niech mi jasności niebieskie zagasną.

— „Więc dobrze, gdy chcesz z rąk naszych wyjść zdrowo,  
Mów za kim trzymasz wyraźnie i jasno.”

— „Nu, za kim trzymam? za panami juści.”

— „Żydowski język zawsze krzywo hasa,  
Tać wiem, że wszyscy jesteście oszuści;  
Twoja rzecz wyznać, łapserdaku, szczerze  
Komu ślubujesz w twój pogańskiej wierze,  
Kogo chcesz królem, czy Sasa, czy Lasa?”<sup>1)</sup>

Żyd zadygotał, twarz zbladła jak kreda,  
Strach przejął kości i grzbiet zgiął we dwoje,

<sup>1)</sup> Partyzanci Augusta II tak nazywali Leszczyńskiego, ztąd  
znane przysłowie.

I gadać bieda, i niegadać bieda,  
 Bo nie żartują te psiawiary goje.  
 Chciałby coś mówić, lecz się jeno jąka,  
 Bo strach ognisty na języku ciąży;  
 Wtém niecierpliwym krzyknie pan chorąży:  
 — „Panie Jacenty! daj-no waść postronka;  
 Kiedy jest takiej milczącej natury,  
 To go, mosanie, powiesim tymczasem.”

Jak oparzony żyd skoczył do góry:  
 — „Aj daj pan pokój, ja trzymam za Lasem.”  
 — „Więc poganinie jesteś w partyi szwedzkiej!  
 Czekaj; rozłożyć to plemię hajducze,  
 Dwadzieścia batów... na honor szlachecki,  
 Ja cię tu króla nazwiska nauczę.”

I kawęczaniem nie bawiąc się długim  
 Wraz rozłożyli żyda bez kobierca,  
 A pan Jacenty, podchodząc z kańczugiem,  
 Wlepił dwudziestkę, ale to od serca,  
 Że to aż iskry sypały się panie.  
 Więc kiedy dzieło skończyło się owo,  
 Siadając na koń tak na pożegnanie  
 Rzekł mu Szmigielski:

— „Będzie waści zdrowo,  
 I pomnij sobie odtąd na raz drugi,  
 Że Sas panuje, a my jego sługi,  
 A kto niewierny to kropim batogiem.”  
 Uchylił czapki i odjechał z Bogiem,  
 A za nim szlachta.

Żyd podniósł się z ziemi,  
 I wzrokiem powiódł gniewliwym za niemi,

I mruknał zcicha: „Żebyście zmarniali  
 Jak proch na polu, razem z waszym Sasem;  
 Tfy szelmy goje!” — Ścisnął chałat pasem,  
 Poprawił pejsów, i pojechał dalej.

Bachury spały, szkapa lazła stępa,  
 A żyd mamrotał na gojów pod nosem.  
 Na prawo drogi od pola ukosem  
 Niewielka drzewek czerniła się kępa,  
 A za nią grobla z piaskowych kamieni  
 Bagniskiem z obu naciśnięta boków.  
 Grobla nic jeszcze, lecz o kilka kroków  
 Znów jacyś ludzie stoją uzbrojeni,  
 I chociaż minąć radzi myśl ostrożna,  
 Grobla tak wązka, że minąć nie można,  
 A i tak, panie, konisko zmęczone.  
 Bieda bo bieda, lecz żyd się pociesza:  
 „Może mię zbawi wielki Bóg Mojżesza,  
 Co wiódł mych ojców przez morze Czerwone.”

Więc tedy błaga pokornie Jehowę:  
 „Panie, niech ku mnie Twa łaska się nagnie,  
 Spraw, żeby sługi te Faraonowe  
 Co do jednego zatoneły w bagnie,  
 Lub niech ich piorun twój ognisty spali,  
 Bo to są goje niktzemni i podli.”

Tak się żyd, panie, po swojemu modli,  
 A bryka *tandem* ciągle idzie dalej,  
 I już na grobli i jezdnych spotyka.  
 Brzękły podkowsy, zaszczęknęły kordy,  
 A koń schwytyany za cugle u mordy



Stanął jak wryty, a za nim i bryka,  
 I Boruch jakby wyciśnięty procą  
 Znalazł się nagle przy bryce na ziemi;  
 Tu jeden starszy snadź pomiędzy niemi  
 Zagabnie:

— „Żydzie, gdzie jedziesz i po co?”

— „Nu, gdzie ja jadę? ja jadę do domu,  
 Toż ja nie żaden Tatar ani Turek;  
 Ja biedny handlarz od zajęczych skórek,  
 I nigdy w drogę nie wlażem nikomu.”

— „A komu służysz ty pogańskie dziecko?  
 Z jaką ty partją czy saską czy szwedzką?”

Złękniomy Boruch macnął się po grzbiecie,  
 Bo u tych także za pasem kańczugi:

— „Nu, wszak panowie wszyscy dobrze wiecie,  
 Że królem polskim tylko August drugi.”

— „A więc tak śpiewasz, ty pohane plemię!  
 Rozłożyć żyda, niechaj się wraz dowie,  
 Że kiedy naszą zamieszkuje ziemię,  
 To musi służyć naszemu królowi.”

I znów batogi.

A bachury spały.

Dawno świadomy już o tém świat cały,  
 Że w żydzie tchórzna natura i słaba;  
 Skórę ma twardą, ale miękkie serce;  
 Boruch jako mógł okutał się w ścierce  
 I jechał dalej, a beczał jak baba,  
 I choć mu djable dokuczyl, iście  
 Już nawet nie kłął, bo piekło siarczyście.

Żydowska karczma przy drodze za lasem,  
 Przed nią jak mrowie szlachta wysypała,  
 Tartas i rwetes, tu widać popasem  
 Stoją pancerni, ba, chorągiew cała;  
 Żołdactwo łaje gospodarza z krzykiem,  
 Albo bachurów szturga ku zabawie,  
 A przede drzwiami na kamiennój ławie  
 Siedzi chorąży z panem namiestnikiem,  
 Oba już z mocno zrumienioną twarzą  
 I pijają miód z dzbana a gwarzą.

— „Więc pan kijowski odstąpił już Szweda?  
 No, poznał *quidem* z kąd wiatr, panie, dmucha.  
 Jeszcze Lövenhaupt...”

— „At Lövenhaupt mucha.

Ale z Potockim zawsze będzie bieda,  
 Uparty kozieł, *et tandem* przysięga,  
 Że nie odstąpi. Niechaj Szwedów łupią,  
 Kaduk ich zabierz, z obcym nie mitręga,  
 Lecz ze swoimi jakoś djable głupio;  
 Kord we krwi bratniej zawsze się bezcześci;  
 Żeby to jako z kąd zasięgnąć wieści...  
 I... patrz-no waszmość, tam na drodze oto  
 Podróżną brykę wstrzymali żołdaki,  
 Może to do nas jest posłaniec jaki?  
 Dajcie sam żyda... gadaj-no hołoto,  
 Kto ty zaczą jeden, za kim i do kogo?”

A Boruch stanął z wyciągniętą szyją:

— „Co to się pytać? niech panowie biją,  
A potém przecię zapytać się mogą,  
Wszak tu wam tylko o batogi idzie?...”

Taki jest morał gawędy o żydzie.

## KWITA Z BYKA ZA INDYKA.

Gawęda z XVIII wieku.

---

Było to, panie, w owe błogie czasy,  
Kiedy za Sasów tyliśmy jak beczki;  
To też nas djable popsowały Sasy.  
Teraz człek nie wart ani torby sieczki.  
Było-ć to hulać i dworować miło,  
Aż się zalazło gdyby Piłat w *credo*;  
Piło się tego, to też się zapilo,  
Hulałeś panku, teraz gryź się z biedą.  
Toć i ja wówczas blichtrowałem srodze,  
Hasałem, panie, jakby rybka w wodzie!  
Teraz, że z torbą po ludziach nie chodzę,  
Jeszcze Bóg łaskaw; mądry człek po szkodzie.  
Powiedzą: „Dziaduś, ta morały prawi;  
Szkody nie wrócisz, teraz gdy ci bratku  
Krucho już w nogach, namawiasz do statku,  
Solą ci w oku, że się młody bawi;  
Wody nie wstrzymasz, co idzie z koryta,  
Innych nie mądruj doświadczeniem własném;

Kiedy ci świat ten domowstwem za ciasném,  
 Droga otwarta na lepszy, i kwita..."  
 Może-ć ja wkrótce i słuhać was będę,  
 Bo gnić staremu tutaj żal się Boże;  
 Lecz choć ostatnią posłyszcie gawędę,  
 Gdy nie nauczy, to zabawi może.

Choć to wy teraz, mosankowie mili,  
 Niby to zuchy do bójki i miodu,  
 Jednak gdy sobie przypomnę za młodu,  
 Jak wasze ojce i pili i bili,  
 Co to był szlachcic z rezonem, odwagą,  
 Jak mądrze radził, jak rąbał na kaszę,  
 To tylko widzę *in toga et sago*  
 Bogactwo tamtych, a ubóstwo wasze.  
 I na sejmikach inaczéj bywało.  
 Wszak-ci niejedną zapamiętam kłótnię;  
 Ale to, panie, jak od ucha utnie,  
 To jedném cięciem korda, łba o mało  
 Ci nie odrąbie, a teraz chybaby  
 Jak od prezentu skrzeszą w karabelę.  
 Trudno mosanku, co wół to nie ciele,  
 To były zuchy, a wy jeno baby.

Pan Tomasz Burda stolnik krzemieniecki,  
 To był człek, panie, że aż wspomnieć miło,  
 Z dziadów, pradziadów z czystéj krwi szlacheckiej,  
 Z byczą postawą a niedźwiedzią siłą;  
 A jaka, panie, prezencya dziarska,  
 At, szukać teraz takiego po świecie;  
 Łeb podgolony, wąs nosił z tatarska,

Gdy nie rozdrażnisz potulny jak dziecko,  
 Ale mu jeno zależ w drogę, panie,  
 To zda się, że krew tryśnie mu ze skóry,  
 I *ad intende* da ci smarowanie,  
 Że zasię ze łba zbierać musisz wióry.

Rzadko wyjeżdżał ze swojej siedziby,  
 A miał wieś, panie, w Łęczyckim niemałą.  
 Owoż tam były i ryby i grzyby,  
 A wszystko szło mu jak z płatka; bywało  
 Czasem się, panie, na sejmik wyprawi,  
 Zabłyśnie kordem i sypnie kaletą,  
 Ale mosanku, jak raz huknie: *Veto!*  
 Zje czarta, panie, kto mu opór stawi.  
 A dla mnie był on jakby *alter ego*,  
 Choć czasem przy nim człek i podrwił skórą;  
 Ale też za to i nieraz u niego  
 Piło się trzy dni i trzy noce z górą.  
 Bo my to wówczas przy miodu butelce  
 Nie byli tacy jak wy *cunctatores*;  
 Za to też szlachta okoliczna, wielce  
 Szacowała go, ale znała *mores*.  
 A było zawsze u niego na przedzie  
 Przysłowie jedno, którym wiecznie sady,  
 Toć znał je każdy i z nas, i z czeladzi:  
 „Choć psy szczekają, pan brat szlachcic jedzie.”  
 Ta choć na niego niejedni szczekali,  
 On sobie jechał ciągle aby dalej.  
 Ale choć ludzie znajdują się szczęśliwi,  
 Że same tylko w życiu im kiermasze,  
 Czort co nos zawsze wścibi w sprawy nasze,

Nierzadko coś tam po swojemu skrzywi.  
 Toć naznaczona człeku dola taka,  
 Niebu poświęcać trzeba biedę wszelką.  
 Owoż pan stolnik miał swego robaka,  
 Co mu już nieraz stanął w oku belką,  
 A tym był samsiad.

Oj, bratku moim!

Umarł już dawno, niech tam Bóg mu świeci  
 Nad duszą, ale był to łotra kawał:  
 Nieraz pan stolnik kłął na czém świat stoi,  
 Lecz słowo jak wiatr, dźwięknie i uleci,  
 A ten mu coraz nową kurtę skrawał.  
 I nigdy słowem nie godził otwartém,  
 Pokątnie spiski knowając złowieszczę;  
 A procesownik, że to nawet z czartem  
 O duszęby się procesował jeszcze.  
 Zwał się ów Kraska, a mówili ludzie,  
 Że z nim obejście jak ze zwierzem dzikim;  
 To pewna jeno, że nie wyżył z nikiem,  
 Siedząc zamknięty jak gdyby pies w budzie.  
 A że miał wiele możnych w kolligaty,  
 To nieraz sobie i broił bezkarnie;  
 Choć się niejeden odgrażał za katy,  
 Nie chcąc naruszać na się całą psiarnię,  
 Musiał swą krzywdę schować do kieszeni:  
 I choć nań ludzie pomstowali wszędzie,  
 Kąkolu z zboża nikt nie wykorzeni,  
 A gadaj co chcesz, szelma szelmą będzie.

Owoż więc jedna niedogodność jawna  
 Dręczyła Kraskę we śnie czy na jawie,

Że jego sąsiad stolnik z dawien dawna  
 Miał prawo pławić konie w jego stawie.  
 Toć to mu żadnej nie robiło szkody,  
 Lecz stolnik znając złą jego naturę,  
 Zawsze na umysł choć sam miał dość wody.  
 Korzystał z prawa *de facto et jure*.  
 Toć Kraska wstępnym iść nie umiał bojem,  
 I chociaż nieraz wyjeżdżał z procesem,  
 Zawsze bywało przegrywał z kretesem,  
 Bo stolnik twardo ostawał przy swoim.

Pewnego razu u pana stolnika  
 Była to jakaś uroczysta gala.  
 Że był lubiony, więc zblizka i zdala  
 Szlachty się różnej zebrało bez lika;  
 A on, mosanie, przodków swoich wzorem  
 Chętny dla gościa, który w dom zawita,  
 Kazał antałek wytoczyć przed dworem  
 I poił szlachtę i karmił do syta.  
 Piliśmy rażno, to też się za katy  
 Jak gdyby z torby sypały wiwaty.  
 Wtém stolnik powstał, i wziął kufel w rękę,  
 I panom braciom pijąc na podziękę:  
 — „Me serce zawsze do waszych jest skutém,  
 Bo u nas jedność braterska na przedzie,  
 I choć to nieraz złą doli niemało,  
*Bibo ad vestram gloriam et salutem.*  
 Ta... bogdaj wszystkim nam się dobrze działo,  
 A złość niech sobie przepadnie niegodna!”



Przechylił czarki i wysączył do dna.

— „At, prawil daléj, człek zachodzi w lata,  
 Bo to już piąty liczę krzyżyk pono:  
 Duszębym oddał *pro publico bono*,  
 A tutaj wszędzie na przedzie prywata.  
 Zawsze tam djablę jakoweś wywleka,  
 By o co spierać mieli się do czarta.  
 Trudno, nie przyjdzie samo do ust mleko,  
 A licho zawsze kończy *maleparta*.  
 Dla mnie niech na plac kogo chcą wywioda,  
 Będę posyłał za nim wotum szczére,  
 Zawsze przyrzekam bowiem *consentire*,  
 Byle za wspólną braci szlachty zgodą.  
 Lecz niech kto podléj schlebiając czeredzie,  
 Przeciw wam głos swój wznieść zechce zuchwały,  
 Choć psy szczekają, pan brat szlachcic jedzie,  
 Niech sobie gdzie chce przed nami się chówą,  
 Zje czarta, panie, jeśli wyjdzie cały,  
 Ten kord mu oto czupryny podgoli.  
 Więc zgodnie, wiwat szlachta zagonowa!  
 Wszyscyśmy bracia po soli i roli!”

To rzekłszy, czarę sąsiadowi poda,  
 Łzy ocierając od kapoty połą.  
 A wszyscy panie huknęli w około:

— „Niech żyje stolnik! wiwat bratnia zgoda!  
 Pan stolnik szlachty luminarz jedyny,  
 Każdy zań głowy nałożyć gotowy!”

A wtém od bramy jawi się gajowy  
 I snadź złe bardzo nieść musiał nowiny,  
 Bo miał na bakier przewieszoną flintę;  
 Szedł wolnym krokiem ze spuszczoną głową  
 I stanął, nosa spuściwszy na kwintę,  
 W ręku tarmosząc lisią czapkę płową.

— „A cóż to, Jacku? — pan stolnik ozwie się. —  
 Coś strasznie krzywo z oczu patrzy waści.  
 Czy może szkody kto narobił w lesie?”

— „Ot źle panoczku, rozboje, napaści,  
 Krzywda nam wielka.”

— „Krzywda, jak to? co to?  
 No gadajże waść, cóż stoisz u djaska  
 Jak kół! któż taki?”

— „A jużci pan Kraska.”

— „Masz djable, zawsze muszę z tą hołotą  
 Mieć do czynienia, jakieś znów bezprawie?”

— „Zabrał nam w zastaw konie, cośmy w stawie  
 Jego pławili.”

— „Wszak czarne na białém,  
 Mam prawo pławić...”

— „Ja też to gadałem,  
 Lecz gdzie to, panie! jak kamień do wody.

On zabrał gwałtem i obstaje przy tém,  
 Że mu z nich jeden zgniótł karpia kopytem,  
 I że nie odda, póki mu pan szkody  
 Nie wróci."

— „Ot masz djable znów wesele!  
 Szkodę mu wrócić, poczeka syn biesi!  
 Szkodę mu wrócić, niechaj się obwiesi!  
 Nauczę ja go gwizdać po kościele.  
 A to bisurman! już na gwałt się szarpie!  
 Nie dość pokątne wszczynać było waśnie!  
 Karpia mu zagniótł, niby są tam karpie?  
 Ja mu zagniotę aż mu w karku trzaśnie.  
 Hola, panowie, kto ze mną w przyjaźni,  
 Tu teraz pole pokazać się ostro;  
 Wszak się z was żaden cofnięciem nie zbłaźni,  
 Tu teraz sprawa *pro honore nostro*.  
 Poczekaj łyku! ujrzym czyja lepsza!"

A szlachcie w to graj, toć krzepkiój natury,  
 Każdy za czapkę i za kord swój chwyta:  
 — „Rozrąbiem w miazgę, zakolem jak wieprza!"—  
 Czapki na bakier, wąsiska do góry,  
 Na koń, i wszyscy ruszyli z kopyta.

\* \* \*

Toć przecię znacie wy owe fontanny,  
 Co je z tak wielką sprowadzają ceną,  
 Tam jeden kurek gdy odkręcisz jeno,  
 Woda wypływa w wytrysk nieustanny,

I skoro one raz już jeden trysły,  
 To dla nich końca ani miary nie ma,  
 Bo sam czart potem już ich nie powstrzyma.  
 To są djabelskie niemieckie wymysły.  
 Ależ i u nas ze szlachtą tak bywa:  
 Będzie ci w zgodzie siedzieć sobie cicho,  
 Lecz niech jój jakie w łeb zalezie licho,  
 To jaki taki do korda się zrywa,  
 I jak raz huknie *verbum animosum*,  
 Żebyś kłął, panie, od niebios do ziemi,  
 Żebyś miał nawet Salomona rozum,  
 To sobie rady pewno nie dasz z niemi,  
 Boć im szął prosty służy za przywódcę.  
 Lecz to waryactwo nie trwa nigdy długo;  
 Jak deszcz, co spadnie i przepłynie strugą,  
 Zaszumi we łbach i wyszumi wkrótce,  
 I znowu wszystko po dawnemu idzie.  
 Widno tak palec wskazać musiał Boski,  
 Żeśmy jednacy w szczęściu czyli w biedzie.  
 Oj mopankowie! złe to są narowy,  
 Przydałby się nam monitor boćkowski,  
 Coby rozumu napędził do głowy.  
 Pies się dopóty pływać nie wyuczy,  
 Aż mu się w uszy wody nie naleje;  
 Choć doświadczeniem, człek mówią mądrzeje,  
 Na własnej skórze doświadczać nie tuczy.  
 A pewno wody upłynie niemało,  
 Nim my zmądrzejem. Tak się też i stało.  
  
 Owoż jak rzekli, tak wszyscy co żywo  
 Ruszywszy z miejsca sunęli się hurmem,

By konie odbić stolnikowi szturmem.  
 I już przed dworcem... lecz tu nowe dziwo:  
 Wrota otwarte na ścieżaj, przed niemi  
 Kraska w lisiurce szaraczkowej stoi,  
 I kłoniąc czapkę baranią ku ziemi,  
 Prawi:

— „A cóż to dobrodzieje moi,  
 Widno nawiedzić przybyli samsiada?  
 Toć czém bogata tém chata i rada,  
 A dla mnie *decus* i splendor jedyny  
 Liczyć się w braci szlachty klientelę.”

Wtém huknie stolnik, co jechał na czele:

— „Panie podsędku, i po co te drwiny?  
 Nie chcemy łask twych, ni prosimy o nie;  
 My sobie jakoś wystarczymy sami.  
 Lecz waść zabrałeś gwałtem moje konie,  
 Proszę je oddać lub źle będzie z nami.”

— „A po co waścín koń karpia mi gniecie?”

— „Co mi waść jakieś prawi tu androny!  
 Czy to słyszano rzecz takową w świecie!  
 Jakiż jest dowód?”

— „Toć karp' rozgnieciony.”

— „Tak, on zapewne będzie waści świadek!  
 Czy nie mógł inny jakowy przypadek?”

— „Ja wiem na pewno.”

— „Bzdurstwo, panie, czy to  
Można być pewnym? wszakże niema ryba  
Nie powie waści, a zresztą karp' chyba  
Sam wlażł koniowi memu pod kopyto.”

— „Zagniótł!”

— „Nie zagniótł.”

— „Kłamstwo!”

— „Prawda święta!”

— „Jak waść nie odda to waść popamięta.”

— „A to tém pachnie! ozwie się pan Kraska:

Widzę mię gwałtem chcecie *oppugnare*,

A no to trudno gdy taka niełaska;

*Sed tamen juro* na szlachecką wiarę,

Że na mym progu pierw wyrośnie trawa,

Niżli ja konie oddam *voluntarnie*;

Jeśli pan stolnik gwałtem je zagarnie,

Bo wielu zbrojnych widzę panów braci,

To ja się jeszcze odwołam do prawa,

A zobaczymy, kto koszta zapłaci;

Pozwę do grodu, i skażą na wieżę.”

Jeszcze nie skończył, a już szlachta cała

Obces na niego jak na dzikie zwierzę;

On do wrót zmykać, oni za nim drała

I przyćlapili...

By za wiele nie rzec,

Dodam wam tylko na koniec powieści:

Że rozłożywszy Krasę na kobierzec,  
Odlewanych mu sypnęli trzydzieści.  
I trzeba wiedzieć, że liczyli szczerze,  
A toć boćkowski, panie, to nie cacko.  
Z procesu stolnik wywinął się gracko,  
Zapłacił grzywny i odsiedział więzę;  
Lecz się przynajmniej zemścił na sąsiedzie,  
Co mu tak długo sprawował frasunek:  
„Choć psy szczekają, prawil, szlachcic jedzie,  
Pan Kraska teraz jakoś już nie bryka,  
Za karpia panie dostał basarunek,  
Dobrze tak, kwita z byka za indyka.”

---

Korrespondencya Michała Koziroga, Łowczego Sie-  
radzkiego, z panną Urszulą Dowmundówną, Chorą-  
żanką Rzeczyką, przebywającą na rezydencyi  
u Stolnikowstwa Owruckich.

---

LIST PANA ŁOWCZEGO

do

PANNY CHORAŻANKI.

Moja mościwa mi panno wielce!  
Ciagle myśl jedna we łbie mi klekta,  
Zem wczoraj przy téj miodu butelce  
Mimo należne tobie respekta,  
Gdy mi już trunek zaszumiał w głowie,  
Zbłąźnił się jak Szwed przy Częstochowie.  
Co to jest passyi popuścić luza?  
Wiem, że asińdźka na mnie jest krzywa,  
I że postępek mój wart arbuza;  
Ale chciéj zważyc panno mościwa,  
Ze człek sam nigdy nie wie co plecie,



Kiedy mu miodek w głowie zadymi.  
 A choć z tradycyi wiesz aśćka przecię  
 Co to jest ferwor *momenti primi*;  
 Jabym się dzisiaj wina i miodu  
 Na całe życie odrzekł z ochotą,  
 I submittuję się nizko o to,  
 A chciój posłuchać aśćka wywodu.

Wyszedłem z domu krzywy już trocha,  
 A był do tego powód takowy,  
 Że mi Marcinek z Woli Dębowej  
 Przyniósł pisanie od pana Rocha,  
 Co go wasińdzka znać musi przecię,  
 Że występując z katońską wena,  
 Chciałby przemądrze świat czyścić jeno,  
 Za to bocianem zwą go w powiecie,  
 A on się z tego puszy ogromnie.  
 Owoż ów pan Roch napisał do mnie:  
 „Że mi na starość we łbie się wierci,  
 Kiedy w konkury chodzę do dziewczki;  
 Że nie czas niby smalić cholewki,  
 Gdy o dwa cale człek już od śmierci;  
 Żem niedość chybki w takie wyścigi, —  
 I tak się skończy owo kochanie,  
 Iż Kurdesz waśćki mężem zostanie,  
 A ja coś zyskam *permodum figi*.  
 U białogłowy, odgadnąć snadnie,  
 Zawsze młodemu serce przypadnie,  
 A ewalucya ztąd bardzo krótka,  
 Że stary szlachcie wyjdzie na dudka,

Więc jeżeli się despektu boję,  
To trzeba z waścką zerwać obcesem..."  
A to jest, panie, błazen z kretesem!  
Co mu nos wtrącać w sprawę nie swoje?  
Jakby prócz niego wszyscy za katy  
Byli tak głupi jak szkolne żaki?  
Niby to znowu ja stary taki,  
Żebym się nie miał podsunąć w swaty?  
Choć z tym Kurdeszem miał trochę racyę,  
Bo on mi zawsze wyłaził gardłem;  
Więc zły okrutnie, na konsolacyę,  
W drobne kawałki pismo podarłem,  
I wygoliwszy miodu dwie szklanki,  
Rzekłem: „Pal djabeł wszystkie Kurdesze,  
Pójdę do mojej miłej bogdanki,  
Tam się, mosanie, przecię pocieszę,  
A niech mnie Turki w kawałki potną  
Gdy za to Rocha nie zbesztam srodze!”  
Do stolnikowstwa tedy przychodzę,  
A waścka byłaś jakoś markotną  
I nos na kwintę spuszczałaś trochy.  
„E, pomyślałem, to stare dzieje,  
Zwyczajnie, różne niewieście fochy;  
Przejdzie to, panie, jak wiatr co wieje.  
Niedobrze z łóżka wstała pewnikiem;  
Teraz się zbliżać do niej nie będę.  
Więc *dictum, factum*, z panem stolnikiem  
Uciałem sobie małą gawędę,  
Że z tą elekcją bieda głęboka  
I wielki w kraju zrobi się rumor;

A ciągle sobie zerkam z pod oka  
 Czy nie poprawia się waśćki humor.  
 Ale coś widzę, kwaśno ogromnie,  
 Gotowem zalgnąć z uszami w błoto,  
 Furda, trza zmykać, gdy waśćka oto  
 Zachciałaś pierwsza przemówić do mnie.  
 I jak na umysł zaraz wymówka  
 Na plac się boju z fukiem wywiesza;  
 Szlachcie nie drewno, z słówka do słówka,  
 Przyszło to jakoś i do Kurdesza;  
 I byłbym skończył na tém bez mała,  
 Bo ja nie lubię szukać napaści,  
 Ale waćpanna: „Choćbym kochała,  
 Po co w to proszę nos wścibiać waści?  
 Wszak mnie waść przecię nie wziął w niewolę,  
 Żebym mu z musu była posłuszną?”  
 A już stał próżny gąsior na stole  
 I jakoś strasznie było mi duszno:  
 Na sens ów tedy wasińdzki mowy  
 Krew mi nie woda trysła do głowy.  
 Więc ofuknąłem *cum furia tanta*,  
 Że aż..... „do milion kroć sto tysięcy!!  
 Idź za swojego waśćka amanta,  
 Ja o niej słuchać już nie chcę więcej,  
 Gdyś tak do nowych affektów skora!”  
 Więc czapkę na łeb i fora z dwora.

Ot tak się wszystko stało najszczerzej,  
 Lecz odtąd coś mnie w dziwnym sposobie,  
 Jakiś frasunek na sercu leży;

Nie mogę miejsca wyszukać sobie,  
Żal mi wyrazów owych bez miary,  
I taka tęskność duszę nagaba,  
Że gdyby nie to, żem wojak stary,  
Tobym, mosanie, beczał jak baba.  
Bo dla mnie teraz już jako żywo  
Wasińdzka dobro w świecie jedyne;  
*Tum mea culpa*, daruj mi winę,  
Wszak jesteś dobrą i litościwą.  
Jeśli tę prośbę waśćka uważysz  
I mnie w dom zechcesz przyjąć na nowo,  
To z ust mych żadne podobne słowo  
Nie wyjdzie nigdy; jakem towarzyszył.  
I sumittując się do ostatka,  
Choć mi tak Kurdesz siedzi za skórą,  
Że jak obaczę tego gagatka,  
Ledwo mnie żywcem djabli nie biorą,  
Tyle na sobie dokazać mogę,  
Że z nim nie będę już szukał kłótni,  
I stulę gębę, chociaż łeb utnij,  
Byleby *nequam* nie włąził w drogę.  
A więc, o dobro moje jedyne!  
Mościwa panno! wybac mi winę,  
Chciój mi odpisać słówek niewiele,  
I wydać na mnie wyrok stanowczy;  
Do stóp się twoich jak długi ściele.

*Michał Koziróg, sieradzki łowczy.*

## ODPOWIEDŹ PANNY CHORAŻANKI

do

PANA ŁOWCZEGO.

Wielce mi miłym był list waszmości,  
I odczytałam go kilka razy;  
Widzę w nim bowiem dużo żalości  
Za niepoczesne owe wyrazy  
Dnia wczorajszego, co mnie niebodze  
Do gruntu serca dobodły srodze.  
A więc nie będę w gniewie uparta,  
I nic przykrego waści nie powiem;  
Cała ta, widzę, sprawa albowiem  
I funta kłaków nawet niewarta.  
Waść się uniosłeś próżnym ferworem,  
By jaki kamień rzucony procą,  
A prawdę mówiąc nie było o co,  
Tak się za lada sierdzić pozorem  
I zaraz wilka wyciągać z lasu.  
Wszak mego smutku jawna przyczyna:  
Ja od pewnego dostrzegłam czasu,  
Że waszmość o mnie już zapomina.  
Toć cóż to znaczy, że mimochodem,  
Gdy do naszego waść zajdzie doma,  
To ze mną mówić niby się sroma,  
Jeno z stolnikiem siedzi nad miodem,  
I rozprawiając z nim bezustannie

O różnych sprawach publicznych gdera?  
I proszę czy to taka maniera  
By swój sentyment dać poznać pannie?  
Do takiej rzeczy doszły postury,  
Że niby kot' psa waść mnie unika;  
A przecię widno, nie do stolnika  
A do mnie waszmość chodzi w konkury.  
Ja nie wymagam, by waszmość owo  
Prawił mi jakieś wciąż krotchwile;  
Lecz przecięż w głowie masz sensu tyle,  
Żeby i do mnie przemówić słowo.  
Toćże o człeku z mowy się tuszy;  
Więc gdy waścina mam zostać żoną,  
Nie trzeba zmykać stuliwszy uszy,  
Jak bies gdy wodę ujrzy święconą.  
A z tym Kurdeszem takóż napaści  
Waść tylko do mnie szukasz daremnie;  
Bo czy słyszałeś kiedy odemnie,  
Żebym go miała przenieść nad waści?  
Kiedyś się ze mną waść droczył wczora,  
I jam się chciała zastawić trocha,  
Trza było widzieć, że jestem chora,  
A nie zaś wierzyć tak w pana Rocha,  
Co o nim każdy waszmości powie,  
Że piątój klepki braknie mu w głowie.  
A waść na wiarę słów byle kogo  
Wraz mnie w te pędy obraził srogo.  
Toć już przyszedłeś z spuszczoneym nosem;  
A cóż to znowu za myśl wszeteczna,  
Żeby kobieta jak ja stateczna,

Miała się wdawać z jakim młokosem,  
I dać się w wierze omamić swojej?  
Czy to ja nie wiem na czém świat stoi?  
A niech mnie święci anieli strzegą,  
Bym się zwieść dała w takiej manierze.  
Toż gdy waść teraz żałujesz szczerze,  
Ja mu wybaczam z serca całego,  
I już nie jestem waści przeciwną;  
Zechć się waść do nas zajrzeć wieczorem,  
Czekam na waścia z polewką piwną;  
Będzie pan wojski z księdzem przeorem,  
I może kiksa zrobi się pula.  
Zawsze życzliwa waści

*Urszula.*

---

W jaki się sposób odbyła pierwsza miłość moja do  
panny Jagnieszki.

Opowiadanie towarzysza kawaleryi narodowój.

I jam był układny z manieri i lica,  
Choć teraz mnie djablo sterała wojaczka.  
Ot proszę aspaństwa, u mego rodzica  
Chowała się jakaś daleka krewniaczka;  
A było jój wonczas dwadzieścia lat pono;  
Dziewucha jak iskra ognistój urody,  
Ślipięta by ciarki, usteczka jagody,  
A rączkę i nóżkę by w toku toczono. -  
A kiedy siedziała oparta na dłoni  
Świeżutka, pulchniutka, jak róża z ogrodu,  
To dusza ptaszęciem leciałaby do niój  
I lgnęła do ust jój jak mucha do miodu;  
A kiedy się czasem przybrała na gody  
Cacana, błyszcząca, by nowa demeszka,



To prawil wás kręcąc i stary i mlody:  
 „Oj cudna bo cudna ješpanna Jagnieszka!”

Choć wonzas chłopięciem ja byłem, mosanie,  
 I *pater* Krukowski był djablo surowy,  
 Toć w serce się wczesnie zakradło kochanie  
 I lepiej niż Alwar przypadło do głowy.  
 A było w około chłopaków jak maku  
 I każdy czupurny, przystrojon świeżucho;  
 Gdzież jój tam naówczas wspominać o żaku,  
 Co dla niej affektem rozgorzał jak próchno?  
 I to zaś gniewało i bodło mnie srodze,  
 Żem u niej współczucia nie dostrzegł kropelki,  
 I nieraz bywało od zmysłów odchodzę,  
 Jakby jój wyrazić sentyment mój wielki;  
 Kaduczniem też za to nie cierpiał rywali.

Pomiędzy innymi, co u nas bywali,  
 Był jeden, towarzysz pancernéj chorągwi,  
 Horaszko, chłop tęgi by wieża maryacka,  
 Wás długi, sumiasty, a mina junacka;  
 Choć niby z babami potulny w rozmowie,  
 To mióduby nawet nie uląkł się stągwi  
 I skory do bójki, gdy trochę miał w głowie.  
 Toż tedy do panny on smałił cholewki;  
 Bywało jak czasem komplement wypali  
 I z miną czupurną przycupnie do dziewczki,  
 To ledwie żywego mnie czarci nie brali.  
 A kiedy się ona uśmiechnie mu jeszcze,  
 I słówkiem miódowém na słówko odpowie,

To takie wściekłości imaly mnie dreszcze,  
 Że byłbym mu czekan roztrzaskał na głowie.

\*

\*

\*

Wprost drogi lipowój, opodał za dworem  
 Stał jawor, swém liściem rozparty szerokiém;  
 I ona lubiła pod owym jaworem  
 Siadywać i marzyć... a licho wie o kim.  
 Raz w wiosnę to było, pod samo południe  
 Siedziała tam sobie na ławce darniowój,  
 Słoneczko już weszło do niebios połowy,  
 A świat był tak piękny, tak wesół, tak młody,  
 I wszystko dokoła kwitnęło tak cudnie,  
 Że serce skakało do matki przyrody,  
 I z wiosną myśl w człeku młodniała na okół  
 I słonkubys w oczy spoglądał jak sokół.

Jam siedział przed dworem; oparta na dłoni  
 Ciężyła mi głowa, a dusza błędziła  
 Tam owo pod jawor, i chciałem biedz do niój,  
 I jakaś na miejscu trzymała mnie siła.  
 Więc sobie prawilem: „Kiedyż się odważysz  
 Przemówić choć słówko do dziewczki, do twojój?”

Wtém nagle na drodze zachręści coś w lesie,  
 I tuman się kurzu zdaleka podniesie,  
 I wpośród tumanu na koniu i w zbroi  
 Zaświeci mi w oczy pancerny towarzysz.

Zerwałem się z miejsca, jak gdyby grom we mnie  
 Uderzył w tój chwili, i ona spostrzegła,  
 A myśl jój, co chciała ją ukryć daremnie,  
 Na białe jój liczko rumieńcem wybiegła,  
 I wzrokiem trwożliwym dokoła powiodła;  
 A koń się zrywając susami prędkimi,  
 Jak wryty przycupnął przed ławką, i z siodła  
 Horaszko zeskoczył, i stanął na ziemi.

Jam takż przystanął, szumiało mi w głowie,  
 A nogi drygały jakby je podcięto,  
 Więc pięścią o drzewo oparłem ściśniętą  
 I uchem wybiegłem ku onój rozmowie.  
 A ona prawila z uśmiechem:

— „Zkądże to

Przybywasz mi waszmość buńczucznie i zbrojno?  
 Czyż temu domowstwu zagrażać chcesz wojną  
 I bójkę zwieść w polu ze słabą kobietą?  
 Mars osiadł na czole i oko się pali,  
 Toć przecię bisurman śpi w swojej sadybie,  
 I żaden na kraj ten wróg srogi nie dybie,  
 By murem się wkoło otaczać ze stali?”

A on jój odpowie cmoktając po rękę:

— „Oj nie Szwed ni Turek zagłada nam w oczy,  
 Toć przecię pancerni dosiądą na lęku,  
 Toć przecię jest szlachta, co wrogom zaskoczy;  
 Lecz teraz snadź tutaj nam wszystkim za ciasno,  
 Na ciężką niedolę snadź przyszło tój ziemi,

Bo z braćmi musimy bojować własnymi  
 I w wojnie domowej przelewać krew własną.  
 Jaż idę, bo muszę, nie moja w tém rada,  
 Wždy myślę, że wszystko robimy daremnie,  
 I jakieś przecucie silniejsze odemnie,  
 Tęsknoty ołowiem na sercu osiada.”

— „Toć proszę waszmości, Jagnieszka odrzeczce,  
 Przecucie to mara, duch wiara pokrzepi,  
 Z wysoka Bóg sprawy rozrządza człowiecze,  
 I jako osądzi, tak będzie najlepšíj,  
 A nam w to nie wglądać myślami naszemi.”

— „Bóg jeden na niebie, a waścka na ziemi!  
 Wykrzyknął Horaszko, posłusznym być obu,  
 I sercem miłować, i duchem być z wami,  
 Toć dla mnie najświętsze jest prawo do grobu,  
 I w sercu wryte jasnemi głoskami.”

I prawił tak dalej ugiąwszy kolano:

— „Toć ongi gdy rycerz opuszczał kochaną,  
 By w bójce na wrogach hartować swe ramię,  
 Wspominkiem mu ona zdobiła pierś mężką,  
 By nosząc na sercu miłosne to znamię,  
 Nie słabnął, i do dom powracał zwycięzko.  
 O dziewo, o moja! w serc naszych przymierze  
 Twa ręka wspominkiem niech pierś mą uzbroi,  
 Bym ufny w to godło, w miłości i wierze  
 Zwyciężył lub poległ, jak mężnym przystoi.”

A ona zadrżała, po licu wybladłem  
 Łez dwoje spłynęło, i rączką swą białą  
 Od szaty kraj wstażki odpięła różowój...  
 I we mnie krew trysła potokiem do głowy,  
 Zawrzało mi w sercu, i w oczach ściemniało,  
 I ku nim drżąc cały z wściekłością przypadłem.

— „Ha! stójcie, wołałem, nie sami jesteście!  
 O dziewczko przewrotna! toż twoje uczynki?  
 Toć tobie pancernym rozdawać wspominki?  
 Gdzież skromność dziewczęca? gdzież cnoty niewieście?”

A ona prawiała:

— „Michałku, co tobie?  
 Bóg widzi, szalone ty pleciesz androny,  
 Toż ja tu żadnego despektu nie robię,  
 Boć przecię oddawna on ze mną zżyczony.”

— „Więc moim affektem pogardzasz niewierna?  
 Jam szlachcic, karmazyn, wiek mężstwem się mierzy,  
 Toż przecię dla wszystkich chorągiew pancerna,  
 I ja chcę wspominków, i pójdę w żołnierzy.”

A na to Horaszko:

— „Waść widzę maksymy  
 Zabaczył żakowój, do szkoły iść z teką.  
 Ot walny towarzysz! pod nosem mu mleko!  
 A dawno to waszeć wylazłeś z infimy?  
 Wojaczka dla męża, toż Alwar dla chłystka.

Na słowa te we mnie zawrzała krew wszystka,  
 I pięście ścisnąłem... gdy oto piorunem  
 Zaciśnie mi ramię żylasta prawica.  
 Pojrzałem za siebie — i widzę rodzica,  
 A za nim stał *pater* Krukowski z bizunem.  
 Strusiałem jak złodziej schwyty w uczynku.  
 A rodzic:

— „Wždy widzę waść szukasz napaści,  
 I chce się waszeci od dziewczki wspominku;  
 Mam ja tu uczciwy wspominek dla waści  
 I długo się waści w pamięci nie zatrze:  
 Prosimy sam z sobą.”

I stało się słowo...

Toć jeszcze trzy lata ślęczałem przy *patrze*;  
 A potem w usługę wstąpiłem wojskową,  
 By respekt u ludzi zarabiać orężem.  
 Jeśpanna Jagnieszka już dawno za mężem,  
 I dawnom krzywd moich zabaczył, mosanie.

Ot jak się odbyło me pierwsze kochanie.

## HISTORYA O DJABLE

JAKO SCHUDEŁ PRZY BABIE.

---

Późno już było, wiatr dał ogniście,  
Gęstą do oczu bijąc kurzawą;  
A po nad drogą w lewo i w prawo  
Jodeł i sosen szumiały liście.  
Na niebie chmury zaległy sznurem,  
Mgłę nageszczając ciemną wieczora;  
A z boku drogi, z po nad jeziora  
Żaby żalonym skrzeczały chórem.  
Pusto jak w stepie, ciemno jak w garku,  
Że to nie widzisz gdzie stąpisz nogą;  
A jednak rzeźko szeroką drogą  
Maciek Kobylak wracał z jarmarku.  
Tylko się kiwa czapka barania,  
Tylko kitajką młynkowce wali;  
A choć gorzała gardło mu pali  
I jakieś licho oczy zasłania,

Że mu się droga widzi ukosem  
 I w różne kształty zatacza koła,  
 To przecię w człeku mina wesoła  
 I pośpiewuje sobie pod nosem:

„Oj dolaż moja, dola!  
 Serce w człeku rośnie;  
 Oj śnieżek sprószył pola,  
 Zazieleni w wiośnie!  
 Oj będzie chleb po uszy,  
 A chłopki zaczną z duszy  
 Wyśpiewywać głośnie!

Małgosiu! moje krocie!  
 Buziaka dajże mi,  
 Bo dola idzie do cię  
 Najpierwsza na ziemi.  
 Kupięc wstążki zielone  
 I spódniczki czerwone  
 Z taśmami srebrnymi.

I żytko nam nad ziemię  
 Samo się wyląże,  
 I karbowy, psie plemię,  
 Bat u pasa zwiąże.  
 A człek przysiąższy Bogu,  
 Będzie sobie stał w progu,  
 Nikiéj jakie książę.”

Kiedy tak sobie wesoło śpiewa,  
 Jak na raz wicher zaszumi srodze,



I takim tańcem sunie po drodze,  
Że jak gałązki zgięły się drzewa.

Maciek się wzdrygnął i rzekł:

— „Ot dziwo!

To kara Boża takie tumany:  
Ktoś się obwiesił, bo jako żywo  
Djabli tu sobie sprawiają tany.”

A gdy tak mówi, z pod wierzby starój,  
Co z ponad drogi w suche konary  
Sterczała w górę, głos jakiś rzecze:  
— „Chciej mi dopomódz uczciwy człecze!”

Maciek przystanął i pojrzał w krzaki,  
Czapkę baranią odsunął z ucha:

— „A w Imię Ojca, Syna i Ducha  
Powiedz-no człeku, ktoś ty jest taki?”

— „To ja.”

— „Co za ja? jakie ci miano?”

— „Zakłęty w wierzbie siedzieć tu muszę,  
Bom niedość ludzkie sposobił dusze;  
Tak mnie za dobre serce skarano!”

— „Toś waspan djabeł?”

— „A nie inaczej.

Dawno bieduję tu ponad drogą,

*Poezye i dramata.*

W tój suchėj wierzbie, aż znajdę kogo,  
Co mnie z zaklęcia uwolnić raczy.“

Maciek popatrzał w bok zezowato  
I mruknął sobie:

— „A to bestyja!  
Żeby zaś siedzieć w kawałku kija;  
To chyba djablem trzeba być na to.  
Że się to psiarstwo zagnieździ wszędzie!  
A jak pomogę wam już, co będzie?”

— „Mój Maćku, pomóż! za twoją pracę  
Ja ci się bardzo hojnie odpłacę.“

— „Jakże to zrobić każeta biesie?  
Jakieś djabelstwo będzie pewnikiem?”

— „Zróbcie na korze kresę kozikiem,  
A ja wylézę sobie po kresie.”

— „No, to wój jeszcze zrobić się może,  
Rzekł Maciek, — nie tak wiele roboty.”

To rzekłszy, wyjął kozik z kapoty  
I grubą kresę zrobił na korze.  
A wtém się kora wzdyma do góry:  
Łeb z niój wylazi i kocie oczy,  
Kozłuce łapki, rysie pazury,  
Aż wreszcie cały djabeł wyskoczy,  
Przybrany w fraczek opięty, kusy,  
Róg mu wylazi z pod kapelusza,

Z tyłu kosmatym ogonem rusza;  
 A chociaż taka opasła jucha,  
 Że zda się sadło kapie mu z brzucha,  
 Podryga sobie w skoki i susy;  
 A przystrojony jakby na święto,  
 Tak na nim pięknie, świeżo, opięto.  
 Więc Maciejowi skłonił się nisko:

— „Nu, rzekł, uczciwe z ciebie chłopisko!  
 Ciężkie to dla mnie było skaranie  
 Tak długo siedzieć w téj suchej szczapie;  
 Tak téż utylęm przez próżnowanie,  
 Że patrzaj, ze mnie tłustość aż kapie.  
 To téż nie będę skąpy z zapłatą:  
 Powiedz-no człeku, co żądasz za to?”

— „Ej, co tam znowu! Maciek ozwie się, —  
 Wasze się łaski na licha zdały;  
 Dajta mi pokój, mój panie biesie,  
 Ja was kwituję z wdzięczności całej,  
 Wasbym nie pozbył potém jak mola.”  
 I już nacisnął czapkę na ucho  
 I chciał odchodzić... aż djabeł:

— „Hola!

Tak się nie może skończyć na sucho:  
 Waść mi przysługę zrobił prawdziwą,  
 A teraz chcesz mnie bratku wykurzyć?  
 Ostrzegam tedy, że jako żywo,  
 Ja się koniecznie muszę odsłużyć;

Więc waści będę pilnował wszędzie,  
Dopóki z nami kwita nie będzie.”

Słyszając to Maciej, w łeb się poskrobie:

— „A to dalipan rzecz niesłychana!  
Idź waspan nazad do piekła sobie,  
Tam pan Lucyper już bez waspana  
Tęskni; ja waszych tych przysług nie chcę,  
Bo one strasznie są podejrzone,  
A mnie do piekła skóra nie łechce.”

Ba — z djabłem gadać, to groch na ścianę.  
Więc Maciej jak mógł najprędzszym kłusem  
Puścił się drogą nie tracąc chwili,  
Lecz go bies jednym dogonił susem  
I razem do dom obaj przybyli.

\*

\*

\*

A już w domu czysta bieda:  
Prośby, groźby nie pomogą,  
Maciek sobie rady nie da,  
Kędy tylko stąpi nogą,  
Ów Bezpięty  
Jak najęty,

Ciągle się przy nim i siania i kłania,  
Pytając go, czy nie ma co do rozkazania.  
To utrapienie czyste dla Macieja;  
Chciałby się pozbyć swego dobrodzieja:

Próżno krzyczy, łaje, woła  
 I klnie wszystkie piekła duchy,  
 Jeśpan djabeł jakby głuchy,  
 Wlecze się za nim jak smoła.  
 Czy do roboty Maciej wyjdzie w pole,  
 Czy zasiądzie odpocząć, spożyć łyżkę stawy,  
 Djabeł z nim razem zasiada przy stole,  
 Z nim razem kosić wychodzi trawy.  
 A trzeba wiedzieć, że z żadną czeladką  
 Robota nie szła tak gładko;  
 Bo to rzecz znana, że djabeł bestyja  
 Tęgo się zwija.

A Maciej temu radby może z duszy,  
 Ale jednak ciągle fuka;  
 Boć to uczciwszy uszy,  
 Zawsze djabelska sztuka,  
 A wdawać się z djablami  
 Niewiele miał chęci:  
 Wiadomo, czart człowieka pokusi, omami,  
 A w końcu zawsze łeb skręci.

A miał-ci Maciek Małgosię żonę:  
 Dziewka krew z mlekiem, śliczności całe,  
 Wesoła, zdrowa jak rybka,  
 Ślepki jak skry, rączki małe,  
 A nożęta jak toczone;  
 Przytém w stanie taka chybka,  
 Że kiedy chłop ją w oberku trzyma,  
 Gotówby przysiędz, że w niej kostek niema.  
 To też ją Maciej kochał okrutecznie

Sercem całém, duszą całą,  
 I tylko to go gniewało,  
 Że Małgosia jego wiecznie  
 Na chłopców boczkim  
 Zérkała oczkiem;  
 Choć, cóż złego w tém być może,  
 Że się lubiła podobać, niebożę?  
 Oj dla Maćka to nielada  
 Utrapienie, niech Bóg broni!  
 Bo wszędzie cała gromada  
 Jak ćmy do światła lgnie do niój.  
 A Małgosia choć Maćka kochała ogniście,  
 Jakoś zawsze chłopcom rada;  
 Boć to wszakże słyszeliście  
 Owo tak zwane przysłowie,  
 Że białogłowie pstro w głowie.  
 A Maciej musiał nieraz wydalać się z domu:  
 To z wołami na jarmark, to z żytem do miasta,  
 I choć rozsądna to była niewiasta,  
 Wszelako zawsze do złego oskoma  
 Bardzo jest silną; więc tedy Maciej  
 Gdy nie pod własnym spać przychodzi dachem,  
 Z okrutnym wyjeżdża strachem  
 I z zazdrości głowę traci.

A więc zadumany srodze  
 Siedział raz Maciej przed domem na ławie,  
 Bo miał z furami wyjeżdżać właśnie  
 I bawić parę tygodni w drodze.  
 Więc mówił sobie: „A niech piorun trzaśnie!

Jak ja Małgosię samą tu zostawię?  
Dziewka mi się zbałamuci.”

A wtém głos słyzy: — „Co tak waści smuci?  
Może tam jaka potrzebna posługa,  
To my się waści także w czém przyczynim.”

Popatrzy Maciej, aż Bezpięty przy nim  
I przyjacielsko ślepiami mruga,  
Ogonem do góry kręci,  
A kopytem ziemię skrobie.

„No, myśli Maciek, kiedy tak chce sobie,  
Niechże się stanie wedle jego chęci.”

I rzecze do diabła:

— „Gdy mnie tak waspan o robotę prosi,  
A ja ze zbożem wyjeżdżam do miasta,  
To musisz waspan pilnować Małgosi,  
Żeby w wierności dla mnie nie osłabła;  
Boć to swywolne, zwykle jak niewiasta.  
Wszędzie ją waspan jak na sznurku prowadź,  
Żeby nie miała czasu na swawolę.”

Bies się pokłonił:

— „Możesz, rzekł, rachować  
Na mnie, że ja jój hulać nie dozwolę.  
Wszystko tu dobrze i uczciwie zrobię,  
I najspokojniej możesz jechać sobie,  
Choć wiem, że z babą, to nie przelewki.”

A więc stanęła umowa:  
 Maciej pojechał z żytem do Piotrkowa,  
 A bies się został doma, by pilnować dziewczki.

\*

\*

\*

We dwa tygodnie, piaszczystą drogą  
 Jechały fury noga za nogą,  
 Przy furach chłopi idą i gwarzą,  
 Boć się uczciwie sprzedała praca,  
 Więc każdy chłopek z wesołą twarzą,  
 Z pełną kaletą do dom powraca.  
 A przodem Maciej, na konia cmoka  
 I w drogę zdala patrzy z pod oka,  
 Bo myśli przed nim daleko biegą  
 Do Małgosieczki, do skarbu jego.  
 Co tam porabia doma, czy zdrowa  
 I czy Bezpięty dotrzymał słowa?  
 Choć to Małgosia uczciwa dusza,  
 Lecz nie wierz babie do samój śmierci.  
 Więc gdy to wszystko we łbie mu wierci,  
 Zaciął szkapinę i przodem rusza.

Już chaty wiejskie ściany białemi  
 Na prawo drogi świecą w pobliżu,  
 Za wsią kościółek o skromnym krzyżu  
 Widnieje jakby wyrastał z ziemi.  
 Maciek pod słońce patrzy, z daleka  
 Coś się tam czerni przed jego chatą:



„To moja Małgoś pewno tam czeka,  
 Oj kobiecinę wyściskam za to!  
 Będzie to będzie, mój Jezu święty!”  
 Więc cmoka głośniój i z bicza pali,  
 Aby przed chatą stanąć co żywo.  
 Lecz gdy krzyneczkę podjechał dalej,  
 Spojrzy przed siebie, aż oto dziwo,  
 To nie Małgosia, ale Bezpięty:  
 Chodzi przed domem na warcie sobie  
 I pod róg łapą w głowę się skrobie.  
 Ale spasował djable chudzina,  
 Nie taka bycza jak dawniój mina,  
 Fraczek się na nim wytarł do nitki,  
 Owe rumiane policzki zbladły,  
 Oczy mu w doły głęboko wpadły  
 I jak piszczałki wychudły łydki,  
 A wszędzie kości sterczą ze skóry;  
 Słowem, nieborak zesechł na wióry.

Jak tylko zoczył tuman od drogi,  
 Zaraz poskoczył na równe nogi,  
 I rzekł:

— „Skończone z moją posługą,  
 Ale mameczył się też okropnie!  
 Niechże was Maćku gęś nogą kopnie,  
 Żeście siedzieli w mieście tak długo!”

Maciój przystanął z wozem i pyta:

— „Jakże się miewa moja kobiéta?”

Czy mi dotrwała w małżeńskiej wierze?  
Czysta się dobrze sprawili czarcie?"

A djabeł na to splunąwszy rzecze:

— Tfu! przecię baby czart nie zabierze,  
Ale już kwita z nami człowiecze:  
Patrz jak wychudłem przy niej na warcie."

— „Ej biesku, zostań się jeszcze z nami,  
Toż to wam poszło jakoś na zdrowie."

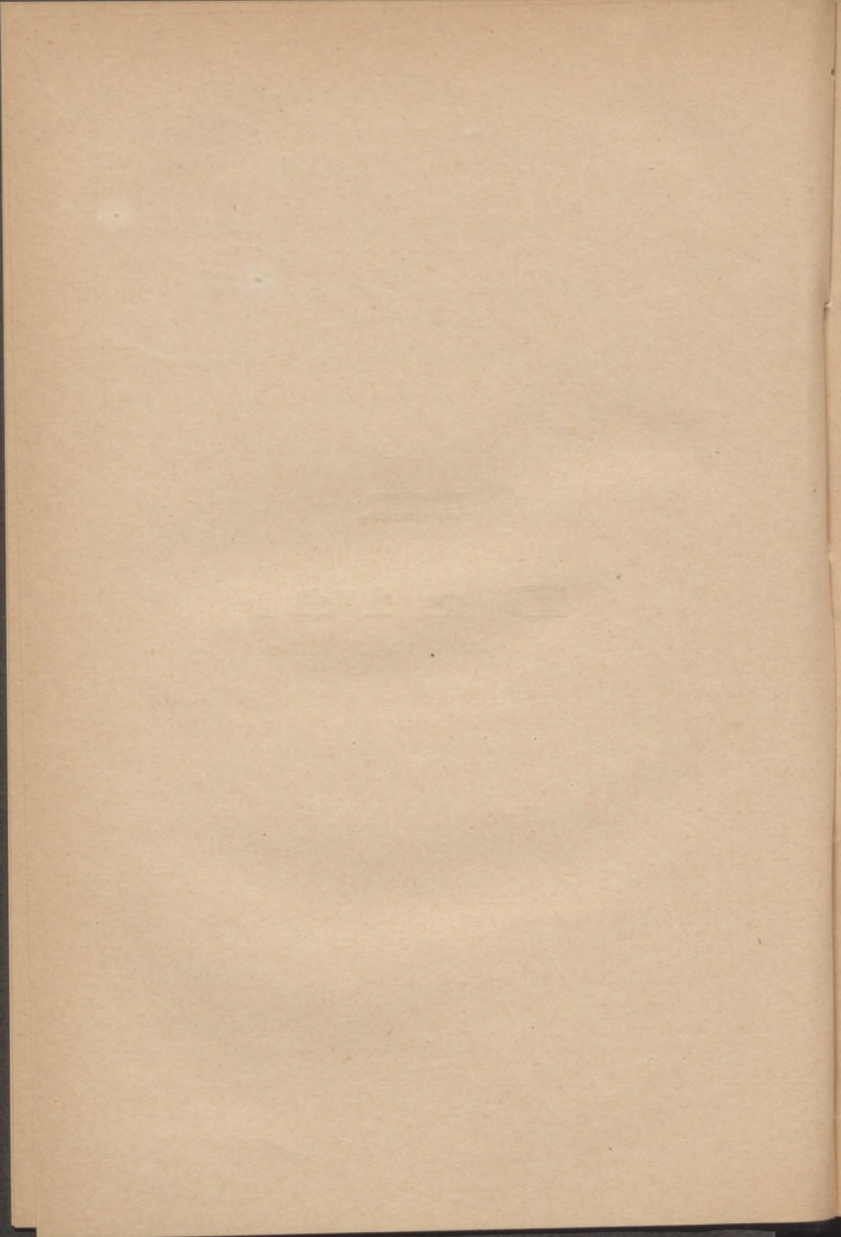
— „Ot to! co wam się roi po głowie,  
Pilnujcie żony już teraz sami;  
Ja wolę w wierzbie siedzieć gdzie w lesie,  
Bo z babą zdrowie się jeno traci."

To rzekł i czmychnął, i odtąd Maciej  
Już nie usłyszał nigdy o biesie.

---

III.

D z i ś .



## NA ULICY.

Obrazek sceniczny.

---

OSOBY: **Paweł, Gałganiarz.**

(Ulica staromiejska. — W głębi i na lewo szereg domów. Na prawo szynk, ponad którym wisi latarnia. Drzwi od szynku otwierają się, widać oświetlone wnętrze. Z szynku wybiega szybko Paweł. Drzwi zamykają się, słychać trzask zasuwających się rygli. Na zegarze miejskim bije północ).

### SCENA I.

Paweł (*przysłuchując się uderzeniom dzwonu zegarowego*).

Północ... miasto śpi i pora dogodna.

Ostatniej miarki nie wypilem do dna.

Ta wódka pali... tfy... czarci nadali.

W gardło się leje, a tu w głowie pali.

Dziwnie się patrzył ten szynkarz, gdym z pięści

Już jedynego dobywał trojaka:

„No, wypij bratku, to truje robaka,

Ostatnia miarka może się poszczęści...”

Ha! może... byle co lichy przyniosło —  
 Jednak mnie jakiś niepokój ogarnia...  
 Czy to tak trudne złodziejskie rzemiosło?  
 Zabięgnąć z tyłu, schwycić... Ta latarnia  
 Głupio migoce, przez zamglone szyby  
 Mały, niepewny płomyczek się kłębi;  
 A jednak świeci i patrzy, jak gdyby  
 Chciał światłem wniknąć do sumienia głębi  
 I myśl tajoną zbadać do ostatka...  
 Światło to świadek, nie trzeba mi świadka,  
 Zgaszę...

*(Podchodzi pod latarnię; chwila namysłu.)*

E... lepiej zostawię, niech sobie  
 Pali się dalej; cóż szkodzi, że świeci?  
 To, co mam zrobić, i przy świetle zrobię —  
 Kradnę, bo muszę, bo w domu głód; dzieci  
 Moje tam cierpią i żona splakana  
 Czeka. Gdym z domu wychodził dziś z rana,  
 Moja najmłodsza, gołąbeczka biała,  
 Na swoim twardym sienniku klęczała  
 I przez łyzy pacierz szeptała schylona.  
 — „Czy wrócisz prędko?” zapytała żona.  
 — „Nie wiem” — odrzekłem.

— „Po cóż idziesz?”

— „Po to,

Byś całej nocy jak dziś nad robotą  
 Nie przepędzała; szanuj sił ostatki  
 Dla twoich dzieci; dziecko schnie bez matki  
 Jak kwiat bez słońca...” Na twarzy jój zbladłej  
 Wykwitł rumieniec; niemym ruchem igły

Wskazała popiół w kominie wystygły  
I rzekła:

— „Dzieci wczoraj nic nie jadły...”

Brr!... dreszcz mnie przeszedł; to ta mgła do kości  
Przejmuje jakoś, na piersiach osiada  
I... Bo cóż czynić? to ostatnia rada...  
Litość!... mam dosyć téj ludzkiej litości;  
To także drugie ognisko co zgasło.  
„Każdy dla siebie,” takie dzisiaj hasło,  
Rwą na kawałki to Królestwo Boże,  
A niech się słabszy broni, jeśli może.  
Niechaj się broni... ja też siebie bronię  
I moich... Gdyby krzyknął? Zdławić!... O, nie!  
To zbyt okropnie! aż się dusza cała  
Wzdryga na tę myśl... Nic mnie nie rozgrzała  
Wódka—a jednak wypilem jęj tyle...  
W człowieczém życiu są tak straszne chwile,  
Przez które tylko drząc przechodzi noga,  
A potem głaziej wywija się droga.  
I na mnie taka chwila dziś napadła.  
I ja w tém błędném stałem wyżej kole —  
Spadłem... a biada tym, którzy na dole...

Ona tam siedzi smutna i wybladła,  
I wypatruje, czy powrócę rychło  
Ufniejszy w siebie i w nadzieję zbrojny.  
W izdebce także wszystko już ucichło,  
I tylko oddech dzieciątek spokojny  
Swym lekkim szmerem przerywa tę ciszę...  
O nie!... głód do snu niedobrze kołysz,

Cierpią, bo głodne...

O! gdyby w tój chwili...

No cóż? wszak nie raz słyseć się wydarza,  
 Że tam okradli kogoś lub zabili, —  
 Od tegoż ludzie... Wzrok tego szynkarza  
 Cięży mi; jużem myślał, że odgadnie  
 Co się ukrywa w sercu mojem na dnie;  
 Spuściłem oczy.— Zdało się, że czeka,  
 Aż mu wypowiem wszystko... Tam z daleka  
 Ktoś idzie... tak jest, idzie... teraz pora...  
 Pocziwiec jakiś, on sobie z wieczora  
 Poszedł odwiedzić znajomych, a może  
 Zagrał się w karty i wraca nieboże,  
 Nie wiedząc, że tu łotr na niego czeka...  
 Łotr, rabuś... Jak tu zająć tego człowieka?  
 Z przodu, i schwytam za kołnierz, i palce  
 Wpiję mu w gardło, tak—zabiegnę z przodu:  
 „Dawaj pieniądze psie! bo zdycham z głodu!”  
 A jeśli będzie się bronił i w walce...  
 O nie! poczekam aż przejdzie, tak lepij...  
 Zajdę go z tyłu, i nim siły skrzepi,  
 Schwycę i zedrę co bądź, co się zdarzy...  
 Wolę to... nie chcę widzieć jego twarzy,  
 Z oczu mu może coś straszego patrzy...  
 Przejdzie i kroki policzę... raz, dwa, trzy  
 I już... On zwraca w bok! Co to? Na Boga!  
 Czyżby mnie spostrzegł? Nie, widać mu droga  
 Tamtędy... Mniejsza, niech uchodzi cało,  
 Bo czuję, że mi siłyby nie stało,  
 Słabłem i trzęsły się podemną nogi.



Teraz się śmieję z tój dziecinnój trwogi;  
 To taki głupi przesąd, — tak, jedynie  
 Przesąd; lecz niechaj ktobądź się nawinie...  
 Ten szynkarz... On coś musiał o mnie złego  
 Myśleć...

## SCENA II.

Paweł i Gałganiarz.

*(Gałganiarz wychodzi z ulicy po lewój stronie z koszem  
 na plecach.)*

Gałganiarz.

Popraw-no mi kosz, mój kolego,  
 Bo djable ciężki, w plecy się powkrawał,  
 A jeszcze drogi mam przed sobą kawał.

*Paweł (drgnąwszy silnie, opamiętywa się po chwili  
 i pomaga gałganiarzowi do poprawienia kosza).*

Wszak tak?

Gałganiarz *(potrząsa koszem)*.

At... bieda z plecami mojemu!

Lepiej go oto postawię na ziemi.

Odпочnę krzynkę.

*(Stawia kosz na ziemi i przeciąga się).*

Paweł.

Czy idziesz zdaleka?

Gałganiarz.

No, aż z Nalewek, toć człek nie kaleka,

Ale nad Wisłę djabła szmata drogi.  
Nie przymierzając ustały mi nogi.

Paweł.

Czemu tak późno?

Galganiarz.

A czemu? Bo trzeba.  
Twardy i ciężki dziś kawałek chleba,  
A w domu żona i drobiazgów para;  
Więc człek jak może kręci się i stara.  
Przez całe rano chodzę za robotą,  
Znoszę lub dźwigam ciężary; a co to  
Biedy, tragarzem jestem lub parobkiem —  
Napoć się nieraz za nędzną zapłatą...  
A żona także, trudni się wyrobkiem  
I pcha się taczka. Wieczorem zaś za to  
Zbieram galgany, i nieraz dwa kosze  
Tak, nocną porą, do składu odnoszę.

Paweł.

A co to warto?

Galganiarz.

Spojrz co się tu mieści...  
Nie żarty, panie, groszy ze trzydzieści  
Dostanę za to.

*(Wyjmuje galgany z kosza.)*

Plótno, jedwab', wata,  
Czasem się nawet zdarzy taka szmata,  
Że uprać i brać: to wszystko pieniądze...

Z takich gałganów sam się oporządę  
I żonie starczy,—a nieraz się złoży,  
Że...

Paweł (*nawpół do siebie:*)

Ciężka praca przez cały dzień Boży.

Gałganiarz.

Ciężka, bo ciężka, toć zawsze po Bogu;  
Ale przynajmniej je się chleb niepróżno.  
Bo cóż? wyciągać łapę gdzie na rogu,  
Albo po domach chodzić za jałmużną  
I łącać ludziskom tak z otwartém czołem  
Wstydy... toć człek nie jest dziadem pod kościołem.

Paweł.

Ależ tak licha zapłata...

Gałganiarz.

O rety!

I cóż straszniego? tak dola przyniosła.  
Gdybym się uczył książki lub rzemiosła,  
Spychałbym także ruble do kalety,  
Dałbym z magnacka, i dziękując Bogu,  
Żyłbym po pańsku, jak ów szynkarz z rogu.  
Ale kto z dziecka w biedzie grzązł po szyję,  
Na bruku zrodzon, to z bruku i żyje,  
I kontent.

Paweł.

Nieraz wspomnisz sobie przecię,  
Że tylu ludzi szczęśliwych na świecie.

Galganiarz.

Toć różnie bywa, mój człeku kochany!  
 Ale niech ich tam, cóż że mają krocie?  
 Nie przymierzając, to jak te galgany...  
 Błyszczało niegdyś, a dziś leży w błocie.  
 Ja za mą dolę wdzięczen Bogu szczerze;  
 Kosza przynajmniej nikt mi nie zabierze.

Paweł.

Lecz powiedz jednak, nie miałeś ty chętki  
 Na łatwy sposób zarobku i prędkie?

Galganiarz.

Jaki?

Paweł (*robiąc gest.*)

No...

Galganiarz.

I cóż?

Paweł (*z wyraźniejszym gestem.*)

Są zarobki czyste...

Kto ma pięć palców...

Galganiarz.

Co? kraść? Jezu Chryste!

O rany Bozkie! Mój ty człeku, co ty  
 Mówisz? Mam zdrowe ręce do roboty,  
 Toć i tak wielka Boża na mnie łaska...  
 I ja miałbym kraść, ja kraść! tfy do djaska!  
 A toćbym wolał już lepiej bez żalu

Gryźć kamień z bruku lub zdychać w szpitalu,  
 Wołałbym widzieć śmierć dzieci i żony  
 Na psim barłogu, niż jeść chleb kradziony.  
 Oj! na tym chlebie nikt nie utył zdrowo!...  
 Tfy! wstyd wymówić takie grzeszne słowo.

Paweł (*spuszczając głowę na piersi*).

To prawy człowiek.

Gałganiarz.

Ja zbieram ze śmieci

I krzywdy żadnej nie czynię nikomu;  
 Ale strzeż Boże mnie, żonę i dzieci,  
 By inne śmiecie powstały w mym domu.  
 Co tam, że kubrak na karku wytarty,  
 I że ciężary przygarbiły szyję?  
 Toć wiem przynajmniej, że po Bogu żyję...  
 No, lecz ty ze mną człeku stroisz żarty,  
 A to czas wielki już na mnie.

(*Dźwigając kosz:*) Hej, mały!

Dalój na plecy... Coś ręce stężały,  
 Lecz to nic... Niechaj będzie pochwalony!

(*Odchodzi śpiewając:*)

Mój ojciec był podcztolonem, podcztolonem,  
 Pod stołem siadał—daduna—pod stołem siadał,  
 Ludzie kości mu rzucali, mu rzucali,  
 On jak pies zjadał—daduna—on jak pies zjadał.

(*Głos oddala się i niknie powoli.*)

## SCENA III.

Paweł (*sam*).

Szczęśliwy... śpiewa... On w nędzy zrodzony,  
 Ale ja... żyć tak dłużej to męczarnia...  
 Trzeba... Dziwny strach jakoś mnie ogarnia...  
 I myśl się ciągle ku jednemu zwraca...  
 Ten człowiek... praca... ale jakaż praca?  
 Mnie rady ojca w drogę życia wiodły  
 I Boga w serce wpajała mi matka;  
 Dziś przygnębiony padam jak tchórz podły,  
 A ten odważnie walczy do ostatka.  
 Gdym go słowami wyzywał niecnemi,  
 Z jakimż pogardy odtrącił mnie gestem!  
 On... proch uliczny, przygniecion ku ziemi...  
 Przy tym nędzarzu lichym czémże jestem?  
 Kraść!... Lepiej, mówił, skonać na barłogu...  
 O nie! Na przekór i ludziom, i Bogu,  
 Wytrwam... Zerwałem już raz tę obrozę,  
 Czuję się silnym i...

(*Urywa nagle; słycać dzwon kościelny wzywający na Anioł  
 Pański, chwiewie się chwilę i upada na kolana.*)

Przebacz mi Boże!

(*Zastona spada.*)

## JEDNA Z WIELU.

---

Siostró w Bogu, nad dolą sierocą  
U mojego czuwałaś wciąż łoża,  
A gdy ból mnie krzyżował, z pomocą  
Pośpieszałaś, posłanko ty Boża!  
Dziś mnie niemoc ostatnia już pęta,  
Tchnienie tracę i gasnę na sile,  
Życie niknie: w ostatnią tę chwilę  
Pozdrowiona niewiasto bądź święta!

Bóg uskąpił mi szczęścia na ziemi,  
A dziś kruszy swe wątłe narzędzie,  
Pochwalony więc za to niech będzie,  
Że pozwala się złączyć ze swemi.  
O! szczęśliwe to życie, co płynie  
Przy domowém ognisku, w rodzinie,  
I tak cicho przebieży do końca.

Jam tę chwilę przeżyła, u słońca  
Wiosennego, co przez szyb szczeliny  
Ozłacało ubogie poddasze...  
Mąż był przy mnie, a uśmiech dzieciny  
Błogosławił ubóstwo to nasze.

Raz, niestety, nieszczęsne to rano  
 Jak dziś pomnę, listopad wiał słotą,  
 Przy kolysce siedziałam z robotą,  
 Kiedy do drzwi nagle zapukano.  
 Otworzyłam. Ludzie stali w sieni,  
 Robotnicy od naszego cieśli,  
 Gdzie pracował mój mąż... i schyleni,  
 Ciężkie tragi do izdebki wnieśli,  
 A na tragach jakieś ludzkie ciało,  
 Owinięte starą płachtą białą.

Jam patrzała drżąca i wybladła...  
 Jeden z wolna podniósł płachtę ową...  
 O, mój Boże! żem wówczas nie padła  
 Trupem!... Tam był z roztrzaskaną głową  
 Mąż mój!... Włosy na zsiniałej skroni  
 Krwią i potem zlepily się razem;  
 Oczy przed się wypatrzone głazem,  
 Garstkę żwiru ścisnął w lewej dłoni,  
 W prawej trzymał ciesielskie narzędzie,  
 A krew wszędzie, krew wszędzie, krew wszędzie!...

„Pani Marto, rzekł jeden z nich, wielki

„Cios to na was: Bóg chyba po stracie

„Was pocieszy; już męża nie macie.

„Gdy pracował nad wiązaniem belki

„I był cały zajęty robotą,

„Noga mu się poślizgła... i oto...“

Jam słuchała słów tych bezprzytomnie,

A on dalej przemawiał tak do mnie:

„Tutaj majster przysyła wam całą

„Półmiesięczną płacę ryczałtowo



„Na zasilek; może to jest mało?...  
 „Nie dał więcej... Ależ Bóg nad wdową  
 „I sierotą, Jego święta wola.  
 „Tak zabiegać o życie niewarto,  
 „Ludzka dola, ciernista to dola.  
 „Zaś o pogrzeb już się, pani Marto,  
 „Nie troskajcie, my zrobim to sami  
 „I po ludzku... a teraz... Bóg z wami.”  
 I odeszli jak senne zjawisko,  
 Jam została z trupem i kołyską.

. . . . .  
 O! zrozumiesz, siostró, gdy ci powiem,  
 Czém na wdowy duszę rozżaloną  
 Dziecko... ono było dla mnie zdrowiem,  
 Życiem, łaską i zbawieniem, — ono  
 Odtwarzało w piersi rozbolałej  
 Siły życia, co we mnie się rwały.  
 Ale ciężko, oj ciężko niewieście  
 Twardym życia trudzić się kłopotem!  
 Za zarobkiem chodziłam po mieście,  
 Późno do dom wracając, a potem  
 Przy lampeczce, co słabo migoce,  
 Nieraz całe przesiedziałam noce,  
 Drżąc czasami o głodzie i zimnie.

Więc dopóki był zarobek, jeszcze  
 Szło to jakoś; mój anioł był przy mnie...  
 Włosy jego złociste popieszczę,  
 Ucałuję drobnouchne rączęta  
 I starannie owinę od chłodu,  
 Mówiąc sobie: „Bóg o nas pamięta,  
 To nam pewnie nie da umrzeć z głodu.”

Ale przysły na mnie ciężkie chwile,  
 Chleb podrożał, wszystko mrozem krzepło,  
 A zarobku nie było na tyle,  
 Żeby strawą posilić się ciepłą.  
 Zima rosła z srogością niezwykłą;  
 Nawet ludzie wytrwali na znoje,  
 Głodni marzli i słabli, — a moje  
 Dziecko bladło, i chudło, i nikło.

Więc zaniósłam w zastaw co zostało  
 Z reszty moich i mężowskich rzeczy;  
 Przyszedł doktor, co ubogich leczy,  
 Dziecko kazał rozebrać i ciało  
 Opukał mu w tę i ową stronę  
 I rzekł:

„Dziecko jest źle odżywione,  
 „To zbyt wątła i słaba natura;  
 „Tylko pokarm stosowny tu wskóra.  
 „Nie mącznego, słodczy ni kęsa,  
 „Codzień mleka świeżego i mięsa,  
 „Toż powietrze czyste wiele znaczy,  
 „I to głównie trzeba mieć na względzie,  
 „Bo tu płuca już cierpią... inaczéj...”  
 — „Cóż na Boga?!”

— „Inaczéj źle będzie.”

Rzekł i wyszedł.

O Boże mój, Boże!

Jam już resztę oddała odzieży!  
 Sama nie wiem co w usta dziś włożę,  
 Zkąd wziąć dziecku na pokarm ten świeży?

Czém zapłacić choćby kroplę mleka  
I utrzymać życie, co ucieka?...

Raz, pamiętam, w wieczornój godzinie  
Dał wiatr straszny przez okien szczeliny;  
W domu chleba ani odrobiny,  
Ni kawałka węgla na kominie,  
A wokoło noc i cisza głucha.  
Wtém jęk jakiś doleciał do ucha,  
Jęk z kołyski. Zerwałam się cała  
Drżąca, w trwodze, że dziecina kona.  
Nachylałam się... O nie!... ona spała...  
Ale taka blada i zmieniona!  
Twarz ściągnięta, a usteczka sine,  
Jakby w śmierci ostatnią godzinę.

Nie wiem co się wówczas stało ze mną,  
Jaką rozpacz natchnęła mnie siłą,  
Żem przebiegła schody i sień ciemną  
I stanęłam na ulicy.

#### Było

Późno, w mieście, — jednak życie wrzało,  
Po chodnikach lud roił się gwarnie,  
Śnieg przyprószał wszystko płachtą białą,  
A jak gwiazdki błyszczały latarnie.  
Wtém powietrzu ciężkiém, duszném, dymném,  
Wicher ostry styczniowém wiał zimnem,  
Mrozem suknie przejmując na ciele.  
Jam wciąż biegła... Nagle czoło moje  
W głąz uderza. Oglądam się, stoję  
Przed Najświętszą Panną przy kościele.

Zdała widniał kościół śniegiem biały,  
 Tylko okno czerniało u góry,  
 Tylko drzwi się ciemno rysowały,  
 A szczyt z krzyżem cień rzucił ponury.  
 Ale głowa Przenajświętszej Panny,  
 Pośród świateł, co wkoło Nięj płoną,  
 Zdawała się jak w zorzy porannej,  
 Otoczona promienną koroną.  
 Marmur pod tą falą światła płową  
 Kształt przybierał powietrznego ducha,  
 Zdawało się, że żyje i słucha  
 I wyrzeknie zmiłowania słowo.

Więc rozpaczą i bolem znękana,  
 Bez sił prawie padłam na kolana,  
 Szepecząc zcicha:

„O święta Maryo!

„Twa obecność łaskę ludziom wieści;

„Płaczesz Syna, o Matko boleści,

„Miłosierdzia nad tymi co żyją!”

I modląc się, uczułam, że słowo

Gaśnie w piersiach i głos we mnie kona;

Więc zostałam wsparta o głaz głową,

Jakby cała z głazem zespolona.

I czy długo trwał ten sen grobowy,  
 Nie wiem; jak ten co ze snu się budzi,  
 Słyszę odgłos przechodzących ludzi  
 I kół turkot, i głośnie rozmowy;  
 Cały ten gwar uliczny przytomnie  
 Na raz jeden rozległ się koło mnie.

Wtém się za mną ozwało stapanie  
 I te słowa mych uszu dobiegą:  
 — „Patrzaj, jakaś dziewczyna niczego  
 „Pod latarnią, tam oto przy ścianie.”  
 A drugi rzekł:

— „Biedneś ty stworzenie,  
 „Pokaleczysz nogi o kamienie.  
 „Czyż jałmużna już drogą jedyną  
 „Do ratunku? Tyś piękna, dziewczyno.”

O! te słowa i ten głos zarazem  
 Uderzyły w serce jakby głazem.  
 Głowę w marmur wcisnęłam zmrożony,  
 Nieświadomie szukając obrony  
 Od pokusy rzuconej w złej chwili.  
 Czułam jak mnie swym wzrokiem mierzyli  
 I odeszli; a ja wstałam zwolna,  
 Bom do modłów nie była już zdolna.

Wstałam i szłam, — pałała mi głowa,  
 Dreszcz przechodził ciało jakby w febrze,  
 A w uszach mi wciąż brzmiały te słowa:  
 „Taka młoda i piękna... a żebrze!”

Coś nowego budziło się we mnie.  
 Jestem piękna! o tak! jestem młoda!  
 Świat, co innych opuszcza nikczemnie,  
 Takim chętnie rękę zbawczą poda.  
 Mnie od głodu nie broniła praca.  
 Po cóż wzbraniać przystępu otusze?  
 Słówko jedno do życia mnie wraca,  
 A żyć będę... żyć pragnę... żyć muszę!...

Tak z tym jednym pokusy wyrazem  
 Jakiś obłąd mnie chwycił widomy,  
 Światła, ludzie, ulice i domy,  
 Wszystko we mnie kołowało razem;  
 Czułam w piersiach dziwne jakieś drżenie,  
 Życia! życia, po jakiejśbądź cenie!

Wtém myśl przeszła jakby lotem gromu:  
 Wszak tam dziecko umiera mi w domu,  
 Dziecko moje!

Ta boleść bez granic,  
 Co pierś ścisza i krew w żyłach suszy,  
 Znów się w mojej odezwała duszy.  
 Jaż mam dziecko tak ratować... za nic!  
 Niech pracuje, niech cierpi, niech służy,  
 A niech nie jé chleba z tój kałuży!

.....  
 Więc się doktor uzalił mój nędzy  
 I podążył do mieszkania ze mną.  
 Lampa jeszcze paliła się ciemno...  
 Odsłoniłam kołyskę czémprędzej,  
 On się nad nią nachylił i bada...

Jam czekała truchlejąca, blada,  
 Nie śmiać patrzeć... wstrząsały mną dreszcze,  
 Przed oczyma przebiegały cienie...  
 Chwilę trwało to nasze milczenie.  
 — „Cóż, doktorze?... mów... wszak żyje jeszcze?”  
 Głos z trudnością przechodził przez gardło,  
 Czułam, że coś strasznego się zbliża...  
 On wstał, zrobił nad dzieckiem znak krzyża  
 I rzekł do mnie półgłosem: — „Umarło!”

Siostró moja, mówić już daremnie;  
Czyż tę chwilę wypowiedzieć mogę?  
Całe życie zerwało się we mnie  
I upadłam martwa na podłogę.  
Zostało mi zmiłowanie Boże,  
Boleść moja i... szpitalne łóżko.  
Teraz, stojąc u wieczności progu,  
Wzywam śmierci siłami wszystkimi,  
Bo gdy łaski brakło mi na ziemi,  
Może łaskę wymodłę tam... w Bogu.

---

## CHŁOPIEC Z BRUKU.

Mgła zapadła nad miastem olbrzymem,  
Światło dzienne dławiąc na pół-cienie;  
Z murów wilgoć wyszła, jak sumienie,  
A kominy oddychały dymem.  
Pod tym brzaskiem północnej jesieni  
Wszystko w barwę zlewało się płową;  
Ulicami, ze spuszczoną głową,  
Szli przechodnie, w płaszcze otuleni;  
Przez nabrzękle sinych chmur rzeszoto  
Deszczyk prószył drobny, gęsty, płynny,  
I pluskało pod kołami błoto,  
I wiatr hulał, i płakały rynny.

Wdal ulica ciągnęła się dymna.  
Na chodniku, przy bramie, pod murem,  
Stał chłopczyna, z wejrzeniem ponurém,  
Z siną twarzą, skostniały od zimna,  
Pochylony nad uliczną kładką.



Smutnym wzrokiem spoglądał dokoła...  
 Chłopak z bruku, któż powiedziec zdoła  
 Zkąd on? kto mu jest ojcem? kto matką?  
 Chłopak z bruku — on w miejskiej rodzinie  
 Jak sprzęt lichy, co każdy potrąca.  
 Pleż w ciągu roku lub miesiąca  
 Takich dzieci rodzi się i ginie!  
 Pleż takich, co zgłodniałą zgrają  
 Na uliczném błocie się tarzają!...

On stał biedny, wpół nagi i bosy,  
 Jakby w deszczu wsłuchany pluskanie,  
 Czasem znagła zatrząsł się w lachmanie  
 I odgarnął z czoła zwilgłe włosy;  
 W jego oczach tkwił wyraz zwierzęcy  
 Przygnębienia, widny u nędzarzy.  
 Czoło niskie — znać, że na téj twarzy  
 Nigdy uśmiech nie powstał dziecięcy;  
 Że nieszczęsne stworzenie to Boże  
 Los ogniwem zaciska surowém;  
 Że go własna nawet matka może  
 Nigdy słodkiém nie witała słowem.  
 Czyjeż oko odgadnie to, czyje,  
 Czém się żywi to szczenię człowiecze?  
 Ile lat już nędzę swoją wlecze,  
 Czy zna Boga i czy wie, że żyje?

Nagle bramy skrzypnęły zawiasy,  
 Powóz jakiś wjeżdżał na podwórko;  
 Przez zamknięte szyby téj kolasy  
 Dwie kobiety, widać matka z córką,

Wyglądały z duchowym spokojem,  
 Uśmiechnięte w błogim szczęściu swoim,  
 Promieniające urodą i wdziękiem.  
 Chłopak zwrócił ku nim swe spojrzenie  
 Mętne, mgliste, i nagle westchnienie  
 Z piersi jego dobyło się z jękiem.

Co on myślał i czy myślał zgoła?  
 Czy coś drgnęło w tój istocie lichój?  
 Może skrzydło pociechy anioła  
 Lot ku niemu skierowało cichy,  
 Że się wsłuchał w jakieś echo świata,  
 Na ten widok szczęścia, co przelata.

Więc posunął się o krok, a potem  
 Znowuż o krok, jakby lisim torem,  
 I nieśmiałe spojrzenie przelotem  
 Rzucił w bramę, co stała otworem.  
 Brama była ciemną, wąską, długą,  
 Od ulicy tylko z falą białą  
 Światło przez nią przebiegało strugą  
 I coś w cieniu w kącie się ruszało.

Chłopak spojrział: tam z boku, od ściany,  
 Która w środku w sień się wyginała,  
 Stała psina kudłata i mała,  
 Przed ogromną misą z porcelany,  
 Z której ciepłe jedzenie dymiło.  
 Pies był piękny i tłusty, aż miło;  
 Mordka krótka, z czoła na ślepięta  
 Sierść spadała jedwabista, długa;  
 Znać, że częsta grzebienia usługa

O tój sierści starannie pamięta,  
 Że ją pani plecie i rozplata  
 Sama.

Dziwnie ta psina kudłata  
 Spoglądała pogardliwie, z góry;  
 W tych oczętach przymglonych się budzi  
 Jakaś litość dla mizernych ludzi,  
 Co nie doszli jego psiej natury.  
 Choć się jadło do niego przymila  
 I woń sosów bije zeń zdaleka,  
 Pies przed miską przystanął i czeka.  
 Może przyjdzie apetytu chwila;  
 Wszakże przed nim czasu jest niemało,  
 Toż dla niego śniadanie już wtóre:  
 Przed godziną jadł cukierki, które  
 Pani ręką dawała mu białą.  
 Ociąga się, namyśla i leni,  
 Choć z lekarskiej porady jedynie  
 Wyniesiono tę misę do sieni,  
 Bo w pokoju zbyt duszno jest psinie.  
 Więc porzucił miękkie swoje leże,  
 By pójść trawić na powietrze świeże.  
 A tymczasem jadło ostygalo.

Chłopak głowę wychylił, na skronie  
 Krew mu zbiegła, zczerwieniał, i całą  
 Piersią wchłaniał te nęcące wonie;  
 Dziwnie jakoś wydęły się płuca  
 I wyciągnął przed się ręce obie,  
 Jakby zgarnąć chciał gwałtem ku sobie  
 Ową strawę, którą pies porzuca.

Dzikim blaskiem zalśniły mu oczy,  
 Znać, że walka w nim jakaś się toczy,  
 Bo przystąpił krok jeden i znowu  
 W tył się cofnął; wstrząsały nim dreszcze,  
 Chwilkę jedną namyślał się jeszcze  
 I rzucił się jak wilk do połowu.

Pies się cofnął na chwilę, strwożony  
 Tym napadem niespodzianym chłopca;  
 Ale widząc, iż ta postać obca  
 Już zatapia w jadle swoje szpony,  
 Warknął, dziko mu się nasrożyły  
 Ślepią, i jał szczekać z całej siły,  
 Aż złocona trzęsła się obróża.

Na wysiłek nagły psiego gardła  
 Od komórki fórtka się otwarła  
 I wyjrzała zaspana twarz stróża.  
 A wypadło to właśnie w téj chwili,  
 Kiedy w boku chorobę upartą  
 Szpagatówki leczył miarką czwartą,  
 Bo kumowie tak mu doradzili.

Rzutem oka objął scenę całą  
 I zobaczył co psu zagrażało.  
 Jako? Obcy przybysz chce zuchwale  
 Pieska pani mącić spokój błogi?  
 Więc się zerwał stróż na równe nogi  
 I w gniewliwym poskoczył zapale:

— „Oberwańcze! zawołał, wisusie!  
 „Więc przyszedłeś, tu plemię sobacze,  
 „Psa podkradać? Mięsa chciało mu się!...  
 „Ja cię mięsem, zdechlaku, uraczę!”

I łopatą, którą trzymał w dłoni,  
Silnie w głowę ugodził chłopczynę,  
Że aż pręgi wystąpiły sine  
I krwi krople wybiegły ze skroni.  
Pod tym ciosem chłopak wstrząsł się cały,  
Pobladł strasznie, wargi mu zadrgały,  
Chciał coś mówić, ale w piersiach słowo  
Zmarło; łzawém spojrzał przed się okiem,  
Zatoczył się, potrząsł smutnie głową  
I powolnym wyszedł z bramy krokiem.  
A stróż rzucił spojrzeniem zbójeckim  
Za nim, złożył łopatę na ławę  
I podsunął psu napowrót strawę.  
Pies utyje—lecz cóż będzie z dzieckiem?...

---

## D W I E N Ę D Z E.

---

Na niebie zawisł miesiąc luty  
I wszem uciechom wolę dawał...  
Przybrany w wieniec zabaw suty  
Już ostatkami wrzał karnawał,  
A ludzie tańcem rozszaleni  
Pustych rozkoszy żyli matnią,  
By na zabawę gdzieś ostatnią  
Wydać ostatni grosz z kieszeni.  
Zerwawszy zwykłych zajęć tryby,  
Ziemska się krewkość niosła żwawo,  
Okna bryzgały światel lawą  
I woń rozkoszna biła w szyby.

Na niebie ciążył miesiąc luty  
I luta dola szła na ziemię;  
Dźwigając ciężkie śniegów brzemię,  
Brnął orszak zimny, lodem skutym;

Wicher strąciwszy mgły oponę,  
 Wilgotne śniegu pędząc kłęby,  
 Wył po przez okna źle spojone;  
 Głód na poddaszach szczyrzył zęby;  
 Wszystko co słabe lgnęło w mroczy,  
 Każdy zaulek wołał: „Biada!”  
 Z kątów wilgotnych piwnic, blada  
 Śmierć zaglądała ludziom w oczy.

Miasto drzemało. Już światłem ponurém,  
 Ranek migotał po nad snem olbrzyma,  
 Szeregi latarń ciągnące się sznurem,  
 Konającemi mrugały oczyma,  
 Mgła z domów w górę wznosiła się parą...  
 Był to czas brzasku, kiedy cień szeroko  
 Plemi się, a pod wilgotną powłoką  
 Szaro na niebie i na ziemi szaro.

Od złomu ulic sinawym szeregiem  
 Szła połać domów ponura i smętna,  
 O dachach płaskich, zagrzęzłych pod śniegiem.  
 Zda się zamarły tam już wszystkie tętna,  
 Zda się, że życia przerwały się włókna,  
 Taką martwością zaległo ich wnętrze.  
 I tylko w jednym, gdzieś na drugim piętrze,  
 W mroku błyszcząły oświecone okna;  
 A chociaż na nie spuszczone zasłony,  
 Jak na zasadzkę, co się w ciszy tai,  
 Dochodził ztamtąd gwar głosów szalony,  
 Jak gdyby echo rozhukanéj zgrai;

I szły na zewnątrz, w szmer złączone dziki,  
 Pijackie piosnki i głuche wykrzyki.  
 Wtém nagle w sieni, na podłodze z cegły,  
 Głucho tętniące kroki się rozległy,  
 I po nad drzwiami w ciemnych szyb załamku  
 Światło latarki krwawym migło blaskiem,  
 Potém stróż zaklął, klucz zaskrzypiał w zamku  
 I drzwi żelazne rozwarły się z trzaskiem.

Trzech wyszło.

A szli nie jako się godzi

Tym, których praca ze snu budzi rano,  
 Lecz gwarno, hucznie, jurnie i pijano.  
 Wszyscy trzej byli przystojni i młodzi,  
 Lecz chód ich, twarze i postawa cała,  
 Rozpięte futra i pomięta odzież  
 Jawiły jasno, że ta złota młodzież  
 Z jakiejś spóźnionej hulanki wracała.  
 A jeszcze bardziej przemawiały za tém  
 Pijanym śmiechem wykrzywione usta,  
 Niepewność w chodzie, a w ustach rozpusta,  
 Co się w spojrzeniu tliła głupowatém.

Dążyli przed się wszyscy trzej pod rękę,  
 Wszerz i wzdłuż chodnik chwiejnym mierząc krokiem,  
 Jeden z nich nócił cyniczną piosenkę,  
 A dwaj mu w skoki wtórowali.

Bokiem

Szedł mur, a za nim kościół, z wychyloną



Wieżą ku niebu, opasan od czoła  
 Kratą; zamknięte były drzwi kościoła,  
 Bo jeszcze na mszę świętą nie dzwoniło,  
 A o podstawę oparta filara,  
 Jakowaś postać widniała tam szara.

Był to żebrak. Niepewne zaranie  
 Mdlawym blaskiem słabo oświecało  
 Przygarbione i wychudłe ciało,  
 Spowinięte w dziurawym łachmanie.

Woń ubóstwa biła zeń zdaleka,  
 Widać było, że u tego czleka  
 Nie ma łoża, ni dachu nad głową,  
 I że nieraz całe noce czeka  
 Pod kościelną zwartą fórtą ową,  
 Aż dopóki z migocącą zorzą  
 Ten dom Boży dla wszystkich otworzą.

Jednak nad tą lichéj nędzy wydumą,  
 Przez łachmany te i tę niedolę,  
 Na boleścią pooraném czole  
 Przeświecało myśli ludzkiej widmo,  
 Jakby echem świadczące dalekiem  
 O ubiegłych i walkach i trudzie,  
 Ze ten nędzarz był kiedyś człowiekiem,  
 Czuł jak ludzie i kochał jak ludzie.

Dzień się rozwidniał i w téj właśnie chwili  
 Koło kościoła młodzi przechodzili.

I gdy mijali żebraka, na razie  
 Coś im nowego w głowach zaświtało:  
 Zkąd jest ten człowiek? i po co noc całą  
 Przepędził tutaj na kościelnym gładzie?

Więc ten, co śpiewał, uciał nagle. Drudzy  
 Stanęli; tamten rzekł:

— „Głupcy jesteście!

Wy bo myślicie, że już sami w mieście  
 Hulacie, a tu jakiś człowiek cudzy  
 Hula wraz z wami.”

— „A prawda, i jaka

Dzielna persona!—rzekł drugi—hulaka  
 Co się nazywa... tylko widać niemy...  
 Hej bracie, wstańże!... no... powędrujemy  
 Gdzie w dobre miejsce... cóż?... chodź z nami.. służę..”

I z wyciągniętą ręką szedł do niego;  
 Wtém sam się potknął i upadł w kałużę,  
 Wołając:

— „Na twarz przed tobą kolego

Upadam, widzisz...”

A inni buchnęli

W śmiech, jako ludzie wolni i weseli.

Żebrak obejrzał się na tych trzech ludzi  
 Pluszczących w błocie, postać jego zmięta

Sprostowała się,—i jak ten, co budzi  
Się ze snu, mruknął półgłosem: „Zwierzęta!”

A wtém z kościelnój zadzwoniono wieży,  
I na to hasło, co do modłów woła,  
Żebrak wstał z miejsca i wszedł do kościoła,  
Ci zaś zostali...

---

## W Y P R Z E D A Ź.

Treść z francuzkiego.

---

Był to ranek grudniowy, mglisty, chłodny, szary,  
Ze ścian izdebki wilgoć sączyła się ślizka,  
Wicher przez niedomkniętych okien hulał szpary  
I przerzucał popiołem zgasłego ogniska.

O kominek oparty, w strapieniu głębokiém  
Stał człowiek, błędném wkoło zataczając okiem.

— „Więc nas odpędzą—mówił—jako psów od budy!  
Zebrana krwawą pracą, uczciwemi trudy  
Na żer tych sępów pójdzie ta chudoba cała!...”

U nóg się jego młoda niewiasta tarzała,  
A z boku na rodziców z prośbą i obawą  
Dwa bledziuchne dzieciątka spoglądały łzawo.

— „Człeku!—wołała ona—człeku, nie trać ducha:  
Bóg liczy nędze nasze i Bóg nas wysłucha.

Tak, całe dni trawiłeś schylony nad pracą,  
 Dzisiaj nam zabierają dobytek nasz; za co?...  
 Że to, co na komorne odłożyłam sobie,  
 Wydałam na lekarstwa w twój ciężkiej chorobie;  
 A teraz tu komornik wejdzie z całą zgrają...  
 Mniejsza o to; mam męża, dzieci ojca mają.  
 A w mojej duszy nigdy nie gaśnie odwaga:  
 Gdy wzmaga się nieszczęście i ona się wzmaga.  
 Dziś, kiedy nam ciernista otwiera się droga,  
 Cierpmy razem i zdajmy łzy nasze na Boga!"

Więc on pochylił ku niej twarz smutkiem zboląłą:

— „Masz słuszność, cierpmy razem, bośmy jedno ciało.  
 Siła twa weszła we mnie, we dwoje mniej boli...  
 Wytrwamy.”

Ona z ziemi powstała powoli,  
 I obrzucając wzrokiem ubogie mieszkanie,  
 Ujrzała po nad łożem wiszący na ścianie  
 Bukiet kłosów pożółkłych.

— „Smutne nasze losy—

Rzekła—czy ty pamiętasz dzień od nas daleki!  
 Na wróżbę dobrej doli i Bożej opieki  
 Zebraliśmy na polu te dojrzałe kłosa,  
 Po ślubie, szląc do nieba modlitwy gorące...  
 Dzień był piękny, jesienny i świeciło słońce...  
 Wszak mogę zabrać z sobą to ostatnie mienie,  
 Dla nich to słoma tylko, a dla nas wspomnienie.”

Więc przycisnęła bukiet do twarzy wybladłej,  
 A na zeszlą wiązankę łyzy pałace padły.  
 Nagle w drzwiach trzy się na raz ukazały głowy:  
 Wszedł komornik, a w ręku miał nakaz sądowy,  
 Za nim weszli świadkowie, dwa obrzydłe gbury,  
 Jako żyjący pomnik prawnej procedury.

Kiedy szuler giełdowy bankrutem dotknięty  
 Traci mienie nabyte z krzywd ofiar tysiąca,  
 Albo kiedy kobieta swą cnotą kupecząca  
 Oddaje w zastaw szaty i kosztowne sprzęty,  
 Gdy do mieszkań oszustów wchodzi nędza blada,  
 Kiedy grosz źle nabyty w proch się лихо wali, —  
 Wołamy: „Słusznie na nich grom sądowy pada,  
 Niech cierpią, inni przez nich gorzko już płakali.”  
 Ale kiedy komornik zbrojny w swoje prawo  
 Zabiera grosz nędzarza życia zlany potem,  
 Gdy widzimy wkoło niego leżące pokotem  
 Te sprzęty, co okupił pracą swoją krwawą,  
 Kiedy im zabierają w święte prawa imię  
 Okrycie, co od mrozów chroniło ich w zimie,  
 I całą tę chudobę ubogiego biedną,  
 I łóżeczka dziecinne, i stolik sosnowy, —  
 O!... wówczas dziwne myśli cisną się do głowy!...

Ale prawo dla wszystkich niewzruszone, jedno,  
 Tych lichych względów ludzkich ustawy nie szczędzą.

Więc pojedynek prawa poczynął się z nędzą.  
 Komornik wszedł do izby, rozejrzał się wszędzie,

I pomruknał półgłosem: — „I kosztów nie będzie.” —  
 Za nim w sieniach stanęło kilkanaście osób,  
 A byli to przekupnie z wiecznie głodną paszczą  
 Zysku, albo pragnący widzieć w jaki sposób  
 Ludzie prawa, rodzinę z chudoby wywłaszczą.

Sprzedaż się rozpoczęła.

— „Patrzcie-no! komoda  
 Naśladowująca mahoń, pięć franków... No?... Zgoda?...  
 Ten pan z lewej sześć daje. To za nic. Cóż przecię?  
 Więcej nie? Raz, dwa... weź pan.”

Ten głos urzędnika

Dźwiękiem swym obojętnym, tak biednej kobiecie  
 Wchodził w serce, jako nóż gdy do rany wnika.  
 W ziemię spuszczała łzami powieki ciężarne,  
 Widząc jako jój praca trwoni się na marne.

— „Teraz ten czarny stolik z tą białą wanienką,  
 Oboje dziewięć franków. Może ty panienko  
 Kupisz? Nie... stół pięć franków, darmo, mówię szczerze,  
 Dalibóg darmo, sześciu zje przy nim wieczerzę.  
 Za drogo?... A więc cztery... trzy franki... nie chcecie?...  
 Dwa... zabierzcie.”

Kolejno tak szły te rupiecie  
 I coraz lichszą cenę podawano za nie.

Skromny krucyfiks wisiał nad łóżem na ścianie,

I na niego uwaga komornika padła;  
Chcąc go zdjąć, sięgnął ręką.

Kobieta wybladła

Rzuciła się do niego w poruszeniu chyżém,  
Jakby jój serce z piersi wydzierał z tym krzyżem.

Więc wołała ze łzami:

— „Doła nasza sroga!

Ludzie! zabierzcie wszystko, wszystko... oprócz Boga!  
On tu czuwał nad nami, choć cios z Jego ręki  
Nas dotknął, On pociechą jeden nas obdarza;  
Wszakże prawo nie bierze godła Bożej męki,  
Nie bierze łoża biednych i biednych ołtarza.  
Zabrać mi ten krucyfiks!... O, miejcież sumienie  
Ludzie!... na nim złożyła swe ostatnie technienie  
Matka w godzinę śmierci; a wzrastając w siły,  
Dzieci me słów modlitwy pod nim się uczyły.  
Ten krzyż ochraniał nasze domowe ognisko  
I jako znak zbawienia zawisł nad kołyską.  
Pozostaw nieszczęśliwym tę pociechę błogą...  
Są ludzie, którym wszystko na świecie się darzy,  
O Chrystusie na krzyżu ci zapomnieć mogą.  
Ale dla nas nieszczęsnych i dla nas łazarzy,  
Co pod ciężarem życia wątle chyłim ciało,  
Na których los się ciągle sroży i wysiła,  
Którym każdy krok trudem a łąą każda chwila,  
Krzyż wszystkiém. Cóżby z nami bez krzyża się stało?”



Gdy się tak na kolanach korzyła z obawą,  
 Łzy jój spadały jak groch,—a oparte o nią  
 Dziecko, zwolna maleńką ścierało je dłonią.

— „O krzyżu—rzekł komornik—milczy u nas prawo,  
 Przecież został wam tapczan ten słomą zasłany.”

Zdjął krzyż i rzekł:

— „Panowie! Piękny krzyż drewniany  
 Z Chrystusem metalowym na nim... tutaj oto...  
 Przypatrzcie się, to mosiądz, a błyszczący jak złoto;  
 Za franka, co?... Jak tanio!... złoto, mógłby przysiądz!...  
 Pół franka... No, nie chcecie?...”

— „Daję franków tysiąc!”

I na dźwięk słów tych, wszystkich zwróciły się oczy  
 Ku młodzieńcowi, który stał tam na uboczu.  
 Widać strapienie matki serce mu przejęło,  
 Bo on dawał tę cenę.

Z niedowierzającą  
 Miną komornik spojrział nań i rzekł:

— „Gorąco  
 Pan to cenisz... ha! widać artystyczne dzieło;  
 Może to rzeźbiarz włoski wykonał... Pokusa  
 Niemała. Tysiąc franków! kto da za Chrystusa  
 Więcej?”

Wokoło głucho zaległo milczenie  
I tylko słyhać było biednej matki łkanie.

— „A więc weź go pan, gdy go masz w tak drogiej cenie.”

On wziął krzyż i powiesił napowrót na ścianie,  
I wyjąwszy z kieszeni papierek pomięty:

— „To starczy na komorne — rzeczy — i na sprzęty,  
Reszta zostanie dla nich.”

Mąż milczał, a żona  
Kłęczała jeszcze chwilę jak w głąz przemieniona;  
Potém powstała nagle i w niemój podzięce  
Popatrzała na zbawcę. Więc złożywszy ręce,  
Wyjąknęła w tój swojej radości niezmiernej:

— „Chyba anioł cię zesłał, człeku miłosierny!”

— „Tak—rzekł on—moja matka była tym aniołem.  
Dzisiaj podróż do Rzymu właśnie przedsięwziąłem,  
By tam zwiedzając sztuki źródło wiecznie młode,  
Tój sztuki, która wszędzie kurczy się i zniża,  
Ubiegać się z innymi o pierwszą nagrodę.  
I ujrzałem płaczącą matkę u stóp krzyża...  
Więc wraz pomysł obrazu rozświecił mi głowę,  
Bo to wiekowa prawda i piękno wiekowe;  
Myśmy tam winni dążyć pracownicy skromni,  
Tego światła bluźnierstwa ludzkie nie zagaszają,

Krzyż jest miłością w życiu, krzyż jest matką naszą  
I Bożem tchnieniem matkę naszą nam przypomni!"

To rzekłszy po nad dziecka pochylił się głową,  
Złote kędziorki włosów popieścił w swój dłoni,  
I zbliżywszy swe usta do niewinnéj skroni  
Wyszedł.

A Bóg w rodzinę zawitał na nowo.

---

## APHRODITE URANIA.

(Wenus Milońska).

. . . . Marmurowy

Szedł ów szpaler w jednym długim ciągu;  
Więc widniały popiersia i głowy,  
Głaz przy głazie, posąg przy posągu,  
A od góry przez szczytów kryształ  
Promień słońca przebłyskiwał biały,  
Oświecając ramiona i twarze.

Młoty ludów i ziemscy mocarze  
Z głową w wawrzyn kamienny okutą,  
W nieskończoność wzrok rzucają srogi —  
Nieznanego to rzeźbiarza dłuto  
Grozę wieków przemieniło w bogi.  
Mąż do męża, ów orszak ponury,  
W dal się ciągnie połączony razem...  
Kto za życia ludzkości był głazem,  
Ten i w grobie zakowan w marmury.  
Ale zdala u galeryi końca,

Gromadziły się promienie słońca,  
 W jedną falę światel, uroczyście  
 Oświecając jakby ołtarz.

Iście

Był to ołtarz.

Wszystkie te olbrzymie  
 Głowy królów z żelaznym ramieniem,  
 Poczernione w krwawych bitew dymie,  
 Straszne siły powagą... i cieniem  
 Prowadziły, jakby szlak Erebu,  
 Ku jasności, ku wiosnie, ku niebu.

Tam promieniła wydarta otchłani  
 Morskiej, ta, która całą piękność grecką  
 Zawarła w sobie, mgły i światel dziecko,  
 Królowa wdzięków i miłości pani.

Czerwonym barwom ścian rzucona na tło,  
 Stała tam dumnie z podniesioną głową,  
 A marmur w barwę mienił się różową,  
 Jakby słoneczne pochłaniając światło.

Piękna — tym blaskiem, co olśniewa oczy,  
 Wabna — tym wdziękiem, który cuda czyni,  
 Tonęła w fali promieni uroczej  
 Anadiomene, piękności bogini.

Wzrok upojony bił o marmur nagi,  
 Dziwiąc się mistrza wielkości i sile,  
 Jako w tej sztuce jest natury tyle  
 I w obnażeniu tyle jest powagi, —

I że nad martwą marmurową bryłą  
 Można rozwiesić serc ludzkich wesele;

Bo się zdawało, że w tém arcydziele  
Bóg linie kreślił, słońce je żłobiło.

Patrząc w twarz tego bożkiego widziadła,  
W te barwy kształtów i w te światła ciała,  
Czułem, że dusza z piersi wybiegała,  
I téj piękności pod stopy się kładła.

Więc długo, długo w upojeniu ducha  
Pieściłem wzrokiem tę postać wspaniałą,  
Gdy niespodzianie dobiegł mego ucha  
Szmer szat kobiecych.

Spojrzałem.

Tam stało

W sukieneczce ciemnej barwy z wełny  
Młode dziewczę, ledwie, że nie dziecko,  
I rzucało na boginię grecką  
Wzrok podziwu i uwielbień pełny.

Dziwna była słodycz i swoboda,  
Jaką twarz ta promieniła młoda.  
Pod nakryciem głowy, w pół-przezroczu,  
Jasne włosy lśniły się w półkole,  
Szczerość z ciemnych wytryskała oczu,  
A łagodność jaśniała na czole.  
Pod chusteczką, na szyi łabędziej  
Przebłyskały drobne żyłki modre —  
Znać tam było krwi krążenie szczodre,  
Którą młodość szybszym biegiem pędzi;  
A w jój ruchach i w postawie całej  
Jakaś dziwna i piękność i siła.....  
Widać jednak biegiem się zmęczyła,

Bo policzki silniej pokraśniały  
I tłumila z lekka rączką białą  
Bicie serca, które szybciej drżało.

Tak stała chwilę. Nagle na jej lica  
Żywszy rumieniec wybiegł, twarz spłonęła,  
I z czarnych oczu trysła błyskawica  
Czci i podziwu dla mistrza i dzieła.

Zdało się, myślą wciela się w tę postać —  
Żeby z niej wykraść cechy najjaskrawsze,  
By jaki promień z marmuru wydostać  
I w piersi swojej uwięzić na zawsze.

A gdy w niej zachwyt tę odmianę czyni,  
Patrząc na twarz tę w pierwszej wiosnie,  
Czułem, że ona rozkwita i rośnie,  
A marmur słabnie i nędznieje przy niej;  
Czułem, że z tych dwóch, które obok stoją,  
Wrażenie tylko zostanie jedyne —  
Bo w marmur rzeźbiarz wlał wielką myśl swoją  
I swój potężny talent, a w dziewczynę  
Bóg ducha tchnął.....

---

## Z A P S A.

---

...At, wielmożny panie,  
Chciałem zabić... no, chciałem... nie ma rady na to...  
Grzech bo grzech. Już ja taki... co robię to robię...  
Toż tu wszystko opowiem krótko, węzłowato,  
Niech wielmożny mecenas wymądruje sobie  
I jak chce podratuje moją głowę biedną,  
Bo mnie tam wszystko jedno, dalibóg że jedno.

Ta, widzi pan wielmożny, są państwo i słudzy;  
To już tak... jak tam komu sądzono za młodu.  
Ja byłem stróżem. I stróż tak dobry jak drudzy  
Gdy pracuje, boć trudno przecię zdychać z głodu.  
Toć nie każdemu rośnie po kieszeniach złoto...  
Robić musi, bo musi, praca to nie zbrodnia;  
Ale wielmożny panie, trudno wiedzieć oto,  
Ile się biedny naród naharuje co dnia.  
A stróż już najbiedniejszy. Bo to, panie, tyła,  
Że i życie się sprzykrzy bez Bożej miłości —  
Wołają to na górę, to na dół co chwila,  
Nie wyśpi się, nie podje, nie wygrzeje kości,



A że z biedy nie zamrze, to już w samo prawie,  
 Bo jak pies noce całe wylega na ławie.  
 Wciąż wstawaj i otwieraj. Czasem kogo ruszy  
 Sumienie, wetknie dyskę, z tym już mniejsza bieda;  
 Lecz bywają ludziska takiej twardej duszy,  
 Że człeku nawydziewia, a i grosza nie da.  
 A komu się tu skarżyć? At! wszystko panowie  
 I jeden za drugiego, jakby brat za brata;  
 Toć jeszcze pan stójkowy głupie słowo powie  
 I do cyrkułu... a tam już skończenie świata,  
 Bo to się zawsze wyłgać potrafi kto inny,  
 Komu wina to wina, a stróż zawsze winny.

Gdyby choć żona jeszcze... to i lżej z robotą...  
 Babsko wprawdzie dokuczy czasem jak gadzina,  
 Człek na nią nawydziewia się i nawyklina,  
 Ale zawsze jest co kląć... a kiedy sam oto  
 Jak palec, a najgorzej zimą, nocną porą,  
 Tak zmudno... ledwie djabli człowieka nie biorą.

No, u mnie jednak Pan Bóg, jak na pocieszenie  
 Dał był psa... Oj, ucieszne to było stworzenie!  
 Niewielki, przysadzisty, a mądry ogromnie.  
 Zwał się zaś Buras, to jest, ja go tak nazwałem,  
 Kiedy pewnego ranku przybłąkał się do mnie;  
 Bo sierść bura obrosła mu na cielsku całém,  
 A bywało tak wszystko do niój się przyczepia,  
 Że ledwie mu z pod kudłów wyglądały ślepia.  
 Kochałże mnie też, kochał!... Bożeż Ty mój drogi!  
 Choć zdarzało się nieraz, kij na nim połamię,

Kiedy krzyknę: „Do nogi!” pies zaraz do nogi...  
 A czujny!... niech-no tylko kto zastuka w bramę,  
 Chociaż śpi przytulony ciepło pod kożuchem,  
 Wyskoczy i za połę pociąga mnie duchem.

Ta i często wieczorem, gdy tak leży przy mnie,  
 A obaj się do siebie tulimy na zimnie,  
 Ja z żartów czasem krzyknę na niego: „A zasię!”  
 I zepchnę go na ziemię, to wraz ten ladaco  
 Liże mnie w rękę, jakby miał przeproszać za co;  
 Ja do niego: „Burasie, biedny mój Burasie!”  
 A on wówczas nastroi tak ucieszną minę  
 I patrzy tak litośnie, ale tak litośnie,  
 Że zdawało się nieraz dusza w człeku rośnie,  
 Iż mu Pan Bóg nadarzył tak dobrego psinę.

To też wszyscy Burasa znali w całym domu,  
 A i z piętra mu nieraz kość jakąś cisnęli.  
 Ale bywało czasem coś mu do łba strzeli:  
 To wówczas przez podwórze nie da przejść nikomu;  
 Ani weź nie ustanie, gdy szczekać rozpocznie.

A już do gospodarza coś cierpiał widocznie,  
 I nigdy mu nie dawał podejść siebie blisko.  
 Nasz gospodarz... at! dziwne to było panisko  
 I o nim tak i owak mówiono po trosze,  
 Zwyczajnie jak to różne na świecie są franty,  
 Że podobno tam kiedyś pożyczzał na fanty  
 I naspychał do kabzy z tego spore grosze.  
 Niby mu dawniej srogo dokuczyła bieda,

Ale teraz pan bo pan, więc zadzierał nosa  
Do góry, i na drugich spoglądał z ukosa;  
A bywało dobrego słowa człeku nie da.  
Chytry bestyja, żal mu i niucha tabaki  
Dla ludzi, choć na niego jak bydło pracujem...  
Tylko woła: „Chodź-no tu taki lub owaki!”  
I nierzadko też nazwie złodziejem lub zbójem;  
Choć może człek niejeden, co w kozuchu chodzi,  
Mógłby łącniej powiedzieć jemu: „Tyś sam złodziej!”

Już to żebraków a psów nie cierpiał okrutnie,  
I mówił, że to tylko tałałajstwo same.  
Bywało też, jak czasem przechodzi przez bramę,  
A pies mu stanie w drodze, to go kijem utnie.  
To też Buras, jak tylko gdzie go poczuł blisko,  
Zaraz warczał i czekał; nieraz biedne psisko  
Katowałem na zabój; lecz cóż? choć mu łoję  
Skórę, to on wciąż szczeka, ja swoje, on swoje.

Czasem gospodarz fuknie na mnie: „Ty psubracie,  
Mówiłem ci, byś kundla nie trzymał mi w domu.  
Cymbał!... w pana się bawi! no... proszę ja, komu!..  
Zobaczysz urwipołciu, znajdę sposób na cię!”

Myślałem, że to jeno tak grozi, tymczasem  
On to mówił na prawdę, i ot co się stało...

Trafunkiem, był u niego podówczas fagasem  
Pewny chłopak, Pawełek, hultaj jakich mało,

A na wszystkie psie figle szelma taka szczwana,  
 Że strach pomyśleć.

Owoż pewnego dnia, z rana,  
 Wysłała mnie na Pragę pani po rogoże,  
 I zabawiłem z jakie trzy godziny może.  
 Wracam, była na obiad z kapustą kielbasa,  
 Myślę, psisko się zgłodził, więc wołam Burasa,  
 A Burasa ani weź; gwiżdżę, cmokam, chodzę,  
 Szukam go po komórkach, w piwnicy, na górze,  
 I kiedy nad mą biedą lamentuję srodze,  
 Katarzyna kucharka wyszła na podwórze  
 I zapyta:

— „A czego to pan Tomasz szuka?”

— „Oj, panno Katarzyno, krzywda mi się stała:  
 Buras mi zginął.”

— „Buras?”

— „A tak, już bez mała

Co nie zwaryuję!”

— „No cóż, to Pawełka sztuka.”

— „Pawełka?”

— „Niech pan Tomasz nie mówi przed nikim,  
 Bo to już ani chybi za pańskim rozkazem;  
 Widziałam jak coś z sobą machlowali razem,  
 Potém wziął psa na stryczek i powłókł pewnikiem  
 Do Wisły.”

— „Co? utopił Burasa!”

— „A ino!

Pies wył aż strach, było to może przed godziną.”

Wielmożny mecenasie, wy wszyscy panowie,  
 To i nie zrozumiecie co się ze mną stało...  
 Bo wnet od stóp do głowy przeszło po mnie mrowie,  
 Jakby mi tysiąc szpilek wpakowano w ciało.  
 Zerwałem się, żeby biedz niewiadomo za czém,  
 Zrobiłem kilka kroków... i wybuchłem płaczem...  
 Potém obu rękami chwyciłem za bramę,  
 A pięści się do bicia zaciskały same.  
 Wtém słyszę głos:

— „No, patrzcie tylko państwo moi,  
 Śnieg w podwórzu po uszy, a ten gawron stoi  
 I gapi się... Hej, dalej! Weź miotłę bałwanie!”

Wówczas jakby ukropem oblał mnie od razu,  
 Zakipiałem i pytam go:

— „Wielmożny panie,  
 Czy to psa utopiono z pańskiego rozkazu?”

— „A tobie co do tego? jak śmiesz pytać o to  
 Trutniu? Co też się dzieje teraz z tą hołotą?  
 Czy wam się przewróciło we łbach? A to błazny!...  
 Dam ja ci psa, łapciuchu ty!”

I podniósł kija

Na mnie.

A leżał w bramie ciężki drąg żelazny,  
 Którym się lód na zimę w rynsztokach rozbija.  
 Nie wiem, coś mi krwawego w oczach zaświeciło,  
 Żem zapomniał na chwilę o ludziach i świecie,  
 I tylko krzywdę moją pomnąc, całą siłą  
 Zdzieliłem go tym drągiem żelaznym po grzbiecie.

On padł, a krew przez rękaw zboczyła mu ramię;  
 Ja stałem jak słup.

Na raz rumor powstał w bramie,  
 Zbiegli się ludzie różni, a Pawełek szuja  
 Przybiegł pierwszy wołając:

— „A Słowo się ciałem  
 Stało!... Rozbójstwo czyste!... Hej! łapajcie zbója!”

I jęli się mnie ludzie choć nie uciekałem,  
 Bo po cóż mi się było wrywać daremno,  
 Kiedy sam nie wiedziałem co się dzieje ze mną?  
 I tak mnie zaraz potém do ciupy wsadzono.

Wszak on się z swojej rany już wylizał pono.  
 Niech mu tam... może lepij, że i wyszedł cało...  
 Tak Bóg chciał, a jako chciał, tako się i stało.  
 Bo to widać Najświętsza jest już Jego wola,  
 Że jakakolwiek padnie na człowieka dola,  
 To samemu pomstować za swe krzywdy zasię...

Ot i wszystko, wielmożny panie mecenasie.

## DRABINA.

(Myśl wzięta z angielskiego).

---

Pod laskiem, po nad bujne drzew bukowych szczyty  
Widniał wiejski kościółek starą gontą kryty;  
Z tyłu cmentarz, a przodem do góry wybiegły  
Dwie wieżyczki z szczerniałej od starości cegły.  
I górowały obie po nad skromną nawą  
Jako ręce grzesznika, co ku niebu lecą;  
Jedna szła prosto w górę, ale druga nieco  
Na dół się przechyliła; krzyż nagiął się w prawo,  
Jakby czując na sobie wiekowych lat brzemię,  
Ciężył w dół i co chwila miał runąć na ziemię.

Więc ludzie szli ratować budowę zwątloną  
I przy ścianie wieżyczki drabinę stawiono,  
Co się od ziemi w liczne wyginając przeszła,  
Za lada tchnieniem wiatru chwiała się i trzęsła.

\* \* \*

A był to ranek piękny, wiośniany,  
Świat w życie budził się cały;

Już bujna zieleń pokryła łąny,  
 Drzewa się w liście ubrały;  
 W okół zaległa ta cisza błoga,  
 Co takie wrażenie budzi,  
 Że zda się widzieć w powietrzu Boga  
 Uśmiechniętego do ludzi.

Jeszcze dzwonek kościelny nie wzywał na modły,  
 Murarze zasypiali pod cieniśm drzewem,  
 A porannego wiatru wstrząsane powiewem  
 Szczebile drabiny gwarę między sobą wiodły.

#### Szczebile dolne.

Jak nam ciężko!... barkami naszemi  
 Cały ciężar dźwigamy my sami;  
 Czemuż w górę wzniesieni nad nami  
 Przygniatacie nas ciągle ku ziemi?

Jak nam ciężko! przeciwne dwa końce  
 Jakże różne losy wiodą swoje!...  
 Wy tam macie powietrze i słońce,  
 A my pracę, pył ziemny i znoje.

Jak nam ciężko!... w napowietrzne szlaki  
 Choć się dumnie wznosi wasza głowa —  
 Na nas cała wspiera się budowa...  
 Pofolgujcie rodzeństwu rodniaki!

#### Szczebile górne.

Milczcie nędzni, wychowani w pyle,  
 Spluci błotem, spodleni i mali!



Wam zasługi i chwały jest tyle,  
Abyście nas do góry dźwigali.

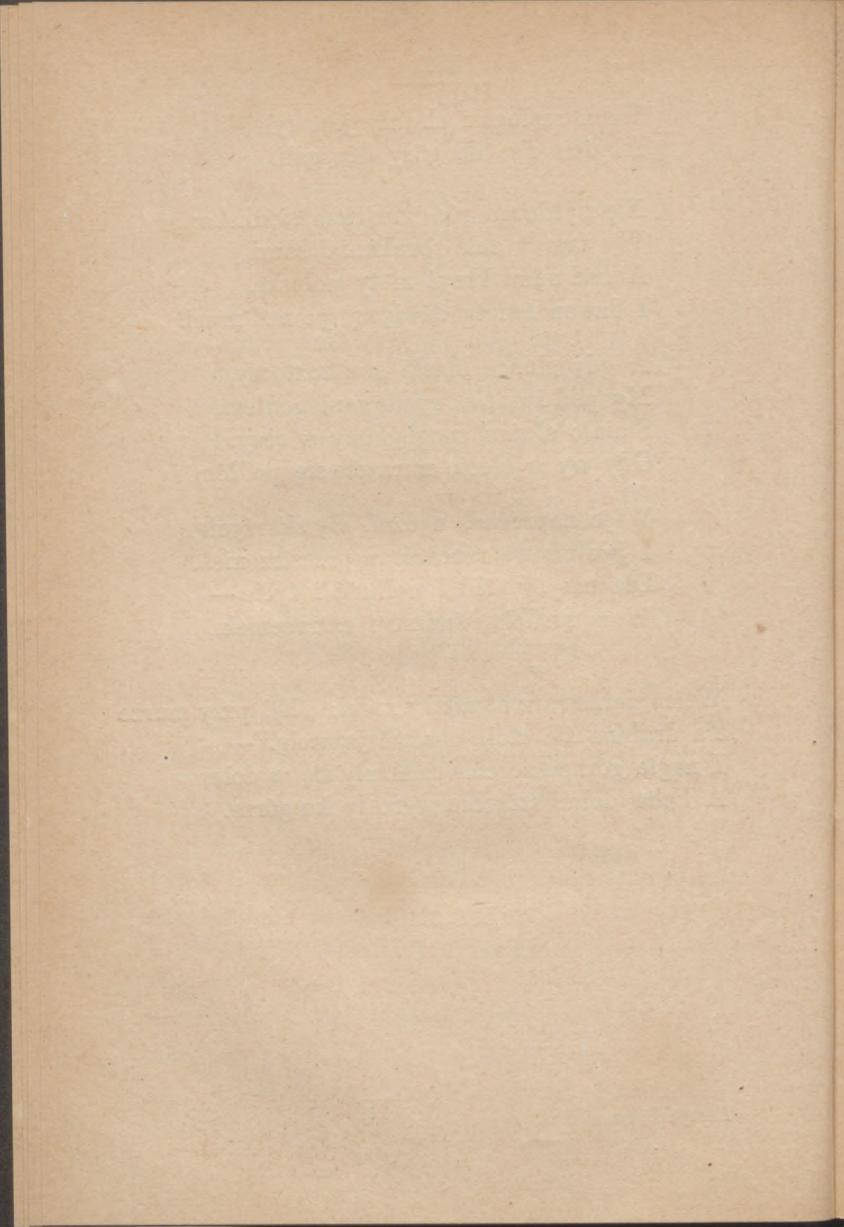
Nie z jednego ród wiem siedliska;  
Wy tam w dole zbrukani i sami,  
A nad nami krzyż złoty połyska  
I dzwon święty dźwięczy po nad nami!

A gdy słońce blaski swe roztoczy,  
My pod światła wychowani godłem,  
Śmiało słońcu spoglądamy w oczy,  
Gdy wy w błocie nurzacie się podlém.

Więc napróżno, nędzni, się skarżycie  
I jęk marny rzucacie w przestrzenie...  
Dla nas światło i wolność i życie —  
Wam niedola, śmierć i zatracenie!...

\* \* \*

Wtém się murarz obudził i rzekł: „Ej! przy murze  
Ta drabina źle stoi, obrócić ją wolę.”—  
I nagle górne szczeble znalazły się w dole,  
A liche dolne szczeble wyrosły ku górze.



IV.

**S a t y r y .**

VI

REVISED

## RODZINA PULCINELLA.

---

Pulcinello.

Pumpo! dobądź z mózgu szpunt;  
Dziś perorę do was palnę  
I nauki dam moralne,  
Bo moralność u mnie grunt.  
Mądra mowa i myśl wzniosła  
Dank na świecie zawsze biorą...  
Wielu was jest?

Pumpo.

A ośmioro,  
Oprócz kota, psa i osła.

Pulcinello.

Piękna liczba, dzielne zyski,  
Ośm gąb żywić i trzy pyski!  
Na to jeden dowcip czleka  
Trzeci mało.

Beppo (*do Bettiny*).

Mamo, mleka!

Bettina (*podając mu dzbanek*).

Masz aniołku.

Pulcinello (*spoglądając na niego z zadowoleniem*).

Tęgo doi!

No, a teraz drodzy moi,  
Wicież jaka życia treść?

Antonio.

Mało robić!

Pumpo.

Dużo jeść.

Pulcinello.

Brawo chłopcy, widzę z was,  
Nie poszła nauka w las;  
Nie zmarniała moja praca.  
No, a teraz mówcie szczerze,  
Między ludźmi co popłaca?

Antonio.

Głupi daje.

Pumpo.

Mądry bierze.

Pulcinello.

To spraw ludzkich główny duch,  
Na tém mądrość doskonała

Się zasadza. Jaka z ciała  
Jest część najważniejsza?

Pumpo.

Brzuch.

Pulcinello (*gładząc się pod brodę*).

Dobrze rzekłeś! Jednak bratku,  
I w jedzeniu trzeba statku.  
I w tém wielka jest nauka:  
Jeść nie sztuka, trawić sztuka  
I dbać, by nie szwankowała  
Najważniejsza ta część ciała,  
Ale ciągle w zdrowie rosła!  
Macie z Grilla wzór i z osła,  
Oba twory jednéj treści,  
Grillo człowiek, osieł zwierzę,  
Osieł tyle zje co zmieści,  
Grillo wszystko pod żąb bierze.  
Sens moralny z tego znów:  
Grillo chory, osieł zdrów.  
Więc, żeby się wznieść nad gmin  
Głową, sztuką i rzemiosłem,  
Czémbyś chciał być, Pumpo?

Pumpo.

Osłem.

Pulcinello (*kładąc mu rękę na głowie*).

Brawo, widzę żeś mój syn.

## D A R M O Z J A D .

---

Grube nogi — korpus krótki,  
Tęgi brzuch,  
Taki sobie okrągłutki  
Ale zuch.  
Z głodu, gotów w ciężkiej biedzie  
Wołu zjeść...  
Psy szczekają, panicz jedzie,  
Pal ich sześć!

Z młodu już mu ta maksyma  
Wlazła w łeb:  
Że kto w kabzie grosza nie ma,  
Ten jest kiep.  
Przy półmisku kto rej wiedzie,  
Temu cześć...  
Psy szczekają, panicz jedzie,  
Pal ich sześć!



Niechaj sobie łeb zawraca  
 Głupi lud,  
 Na co mu ta nędzna praca,  
 Lichy trud?  
 Zrazy, porter, kawior, śledzie,  
 Życia treść...  
 Psy szczekają, panicz jedzie,  
 Pal ich sześć!

Miał on niegdyś liczne wioski,  
 Włók ze sto.  
 Wolfin, Boquet i Stępkowski  
 Wzięli to.  
 Ależ miło przy obiedzie  
 Toast wznieść...  
 Psy szczekają, panicz jedzie,  
 Pal ich sześć!

Głupcy tylko snują duchem  
 Życia nic;  
 Ten, co cały stał się brzuchem,  
 Umiał żyć.  
 Brzuch cię, człeku, nie zawiedzie,  
 Więc go pieść...  
 Psy szczekają, panicz jedzie,  
 Pal ich sześć!

Dzisiaj, prawią, dobrem czyjém  
 Szasta precz.

Odgrają za to kijem....

Wielka rzecz!

Kij— to czkawka po obiedzie,

Da się znieść....

Psy szczekają, panicz jedzie,

Pal ich sześć!



## N E R W Y.

---

Kiedym przyszedł na świat, będzie  
Z lat pięćdziesiąt temu może.  
Opukał mnie doktor wszędzie  
I rzekł: „Biedne to nieboże,  
Dużo ludziom trudu zada,  
Będzie wieszczem, albo grajkiem,  
Lecz ostrożnie z nim jak z jajkiem,  
Bo z nerwami trudna rada.”

A jednakże tego rosłem,  
Zdrowiem ciesząc się bez przerwy;  
W szkołach byłem wielkim osłem,  
Lecz mówiono: „To są nerwy.”  
Gdy professor co mi zada,  
Ja powtarzam wciąż na opak;  
Matka na to: „Biedny chłopak!  
Ha — z nerwami trudna rada.”

Wszystko szło mi tak bez trudu;  
Wyrósł ze mnie chłop wąsaty,

Do hulanki zdrów za katy,  
 Lecz do pracy ani dudy.  
 Kiedy ojciec nad tém biada,  
 Matka mówi: „Nie prorokuj,  
 Jeszcze ma czas, daj mu pokój,  
 Wszak z nerwami trudna rada.”

Prędko życia chwile biega,  
 Gdy się o nie człek nie troska.  
 Byłem wprawdzie do niczego,  
 Rodzicielska jednak wioska  
 Warta była sto tysięcy;  
 Taką sumkę się przejada  
 Przez lat dwa i pięć miesięcy,  
 Bo z nerwami trudna rada.

Znana prawda, człek bez grosza  
 Do żeniaczki już gotowy;  
 Więc na panny wszcząłem łowy;  
 Chociaż brałem wciąż odkosza,  
 Zuch odwagi nie postrada;  
 Wziąłem posag niezły wcale....  
 No — było tam jakieś *ale*....  
 Lecz z nerwami trudna rada.

Ha! w małżeństwie, jak tam komu,  
 Ja niewiele stan ten cenię,  
 Żona, dzieci, utrapienie!  
 Nie bywałem nigdy w domu.  
 Pani pod nos mruży sobie,  
 Niech tam co chce, jak chce gada,

Mój natury nie przerobię,  
Bo z nerwami trudna rada.

Wiek to wprawdzie nie był złoty,  
Lecz na wszystko człek wytrwały;  
Te najdroższe mi istoty  
Pan Bóg zabrał do Swój chwały.  
Dziś mnie w świecie nic nie więzi;  
Z łaski swata lub sąsiada  
Żyję jak ptak na gałęzi...  
Bo z nerwami trudna rada.

---

## A R L E K I N .

---

Inny sobie człowiek tępy  
Ale u mnie rozum w bród;  
Pozszywałem różne strzepy.  
Ten w tył idzie, a ten wprzód,  
Człowiek sam pan i sam sługa,  
Takie życie to mi raj!  
Jam jest jeden, a ty druga...  
Kolombino, buzi daj.

Finansiście niech nad karkiem  
Ciżba krzyczy: „Daj nam jeść!”  
Niech tam sobie Thiers z Bismarkiem  
Durzą ludzi — pal ich sześć.  
Co mi Niemcy? co Francuzi?  
Taki kłopot licha wart...  
Kolombino daj mi buzi,  
A niech resztę porwie czart.

Po co mieszać ciszę błogą  
I na ścianę rzucać groch?

Co obchodzić może kogo  
Jak z Papieżem żyje Włoch?  
Albo, że gdzie z głodu giną,  
Lub, że postęp idzie wstecz?...  
Ja cię kocham Kolombino,  
Ty mnie także; to mi rzecz!

Dobre chęci niech porywcze —  
By okazać zapał swój —  
T'worzą współki wciąż spożywcze,  
Kuchni tanich cały rój;  
Przez ekonomiczne kóika  
W producentów zdobią kraj.  
Furda... ja i ty ot spółka...  
Kolombino buzi daj.

Robię to, co mi dogodnie,  
A nie pytam, gdzie i zkąd?  
Lekko, raźnie i swobodnie  
Mego życia płynie prąd.  
A z ostatnią gdy godziną  
Śmierć zakrzyknie: „Szach i mat!”  
Dasz mi buzi Kolombino,  
I pożegnam marny świat.

---

## PULCINELLO.

---

Rozumu od młodu  
Już miałem za dwóch;  
Garb z tyłu, garb z przodu,  
Zgłodniały wciąż brzuch.  
Dowcipem skrzą ślepie,  
Nos długi wygięty;  
Gdy kogo zaczepię,  
To pójdzie mu w pięty.

Gdzie wino w karafie  
Tam biegnę co tchu;  
Jeść za trzech potrafię,  
A piję za stu.  
Więc na czczo niech słyńcie  
Kto wielkim się mieni;  
Mój rozum jest w winie,  
A męztwo w pieczeni.

Tu głupców się roi,  
Prostaczków jak w bród:  
To zbawcy są moi,  
Pocziwy to lud —



Groszaków nałowi  
 Kto z czołem wytartém,  
 Bo wszyscy gotowi  
 Iść w piekło za żartem.

Gdy czego mi braknie;  
 Ja do nich jak w dym,  
 Kto pragnie, kto łaknie,  
 Niech kłania się im.  
 Spryt we łbie mu kassą,  
 Pochlebstwo karocą;  
 Napoją, napasą,  
 Ugoszczą, ozłocą.

Moralność — co mi tam!  
 Dźwięk próżny czczych słów.  
 O cnotę nie pytam,  
 Gdym wesół i zdrów.  
 Drwi sobie z hołoty  
 Kto grosza uporał;  
 Procenta — to cnoty,  
 Brzuch pełny — to morał.

Mądrego świat krzepi,  
 Jak Mysia pszczoł ul;  
 Jem dobrze, śpię lepiej  
 I żyję, jak król.  
 Gdy śmierć mnie zabierze,  
 Zostawię dwa złote,  
 By ludzie w Kuryerze  
 Chwalili mą cnotę.

## S Z T U K I .

Będą sztuki nielada!  
Ci, co mają, niech płacą;  
Wszak widzicie, — pajaco  
Starą derę rozkłada.  
Ludek tłoczy się zgrają,  
Wkoło chłopcy biegają,  
Co to wszystko? i na co?  
Będą sztuki nielada!

Ot, dziewczyna w trykocie  
Tańczyć będzie na linie.  
Przypatrzcie się dziewczynie,  
Co tam z zimna drży w błocie:  
To hecarka, jak mało,  
Możesz przegiąć ją całą,  
Wkółko jak wąż się zwinie  
Ta dziewczyna w trykocie.

Żyli ojciec i matka  
I prawili tak sobie:

„Ha! dziewczucha nam gładka  
Przyszła na świat w złej dobie;  
Nie ma dachu, ni chleba,  
A tu żywić ją trzeba!”  
Wydziwiali chudobie  
Biedny ojciec i matka.

I pomarli... Sierota  
Poszła na świat w żebraki;  
Więc zjawił się ot taki  
Stary hecarz niecnota;  
Wygiął kości dziewczynie,  
Kazał tańczyć na linie,  
A sam zbiera miedziaki,  
Co zarabia sierota.

Będą sztuki nielada!  
Więc nie skąpcie w zapłacie.  
Co to, matko, gadacie,  
Że dziewczyna coś blada?  
Nie ma gadać co o tém:  
Zostały pod trykotem  
Sine pręgi po bacie....  
Będą sztuki nielada!

## R O M E O .

### I.

Jestem z krainy łez i boleści,  
Wzrosłem w cierpieniu i trudzie;  
Słuchajcie mojej smutnej powieści,  
Słuchajcie i drżycie ludzie.

### II.

Rozanielona myśl ma, od młodu  
Szlakami dążąc jasnemi,  
U wrót rajskiego sniła ogrodu,  
Śniła o niebie na ziemi.

Byłem namiętny, i byłem młody,  
I świat ten dla mnie był rajem,  
Kochałem Julię cudnej urody,  
Ona kochała mnie wzajem.

Kochałem Julię... była mi ona  
— Ta Julia, którą kochałem —  
Przezczuta sercem, duszą wyśniona,  
Promienna duchem i ciałem.

## III.

Mijają szybko krótkie miesiące,  
 Mijają szybko dni krótsze;  
 Dziewczę przysięga na lat tysiące,  
 A zapomina o jutrze.

Kiedy ja kocham, kiedy ja marzę,  
 Przyjaciół rani mnie słowy,  
 Że do méj Julii chodzi w zamiarze  
 Małżeńskim, agent giełdowy.

Ludzie, nie wierzcie w czystość niebieską,  
 Nie wierzcie w jasność duchową!  
 Agent giełdowy zadzwonił kieską  
 I Julia złamała słowo.

## IV.

Miałemże dalej rozpacz daremną  
 W ziemskich odnawiać zapalach?  
 O, nie!... rewolwer leżał przedemną,  
 Rewolwer o sześciu strzałach.

To anioł śmierci już na mnie woła!  
 Witaj mi śmierci aniele!...  
 Więc przyłożyłem lufę do czoła —  
 Minuta jeszcze i strzelę...

## V.

I w téj minucie duch mój przelotem  
 Życia nurtował głębinę,

I zadumałem się bardzo o tém,  
Co ze mną będzie jak zginę.

Choć serce krwawi, u dzielnych męży  
Powraca spokój sercowy;  
Lecz kulą głowę kto nadweręży,  
Ten nie nadłata już głowy.

Więc pogardziłem śmierci widziadłem,  
A męztwa ducha by dowieść,  
U Barabasza kolacyę zjadłem...  
I tak się kończy ta powieść.

## B I E L A N Y .

Matko! kawał pieczeni  
I kiełbasy na sadle!  
Człek się przecież nie leni  
I wywija zajadle.  
Już Marysia tam zerka  
By z nią tańczyć oberka:  
Graj katryńko od ucha,  
Tać przed sobą masz zucha.

Ot i głupie psiawiary,  
Także dla nich zabawka!  
W górę idzie huśtawka,  
Że aż skrzypi sznur stary;  
Tam Jagusia pośrodku  
Krzyczy, że już upadnie;  
A no, trzymaj się kotku,  
Bo to będzie nieładnie.

Miej się dobrze na oku:  
Wiatr podwija sukienkę,

A paniczè tam z boku  
 Podglądają panienkę.  
 Czy ich лихо naniosło!  
 Toż nie dla nich ten kąsek...  
 Głupie takie rzemiosło,  
 Szukać sobie wciąż gąsek.

Tać wstydują dziewczynę...  
 Ej! ostrożnie kolego!  
 A ja tutaj od czego?  
 Jak się tylko zawinę,  
 Do par dwustu torb sieczek  
 Dobrze pięście zaciśnij!  
 Bo zobaczysz sto świeczek,  
 I prababka się przyśni.

Poszli sobie... ot lepij,  
 Nie przeszkodzą zabawie...  
 Teraz człek się pokrzepi  
 I położy na trawie.  
 Bo to, panie kochany,  
 Wciąż tańcować nie mucha...  
 Oj Bielany! Bielany!  
 Graj katrynko od ucha!...

. . . . .  
 . . . . .



## ŚWIECONE.

Zacnych rodzin to córy,  
Zawód życia ich słodki;  
Wychuchane pieszczotki  
Rosną szybko do góry.  
Z dumą wznoszą swe głowy  
Lśniąć spojrzeniem junackiem,  
Cały przyrząd godowy.  
Pada do nóg im plackiem.  
Rym zbyt wątły i słaby,  
By ich chwały wznieść echo;  
Bo chlubą i pociechą  
Są... baby.

Drwiąc ze szmalcu i masła,  
Snują długich dni wątek;  
Wieprza lędźwia opasła  
Nadała im początek.  
Ich oblicza wspaniałe  
Barwa wstydu rumieni,  
Że pracują uczeni,

Żeby zaćmić ich chwałę;  
 By wywinąć kominka  
 Wynaleźli trychiny...  
 Co tam!... przysmak jedyny  
     Jest... szynka.

Z dawnych znane nam piosnek,  
 Co na cześć ich wznoszono,  
 Gościnnie na swe łono  
 Pieprz przyjęły i czosnek.  
 Dawne syny téj ziemi  
 Zmiały ich nawalę;  
 Dziś żołądki skarłale  
 Cofają się przed niemi.  
 Chociaż skórka je pęta,  
 Bije od nich woń rasy...  
 To są wędlin książęta —  
     Kielbasy.

W *niem* znajduje natchnienie  
 Indów mądrość prawdziwa,  
 Z niego Brahma i Siwa  
 Z niego światło i cienie.  
 Żeby ziścić cel trwały,  
 Obwiedzione powłoką;  
 A w niem żółtko jak oko  
 Rozgląda się w świat biały.  
 Choć podaniu człek przeczy,  
 Choć nazywa je bajką,  
 Pierwszą matką wszech rzeczy  
     Jest... jajko.

Jak przed bitwą rycerze,  
 Stoją w szereg skupione,  
 I zakute w pancerze  
 I starością omszone;  
 A po zbroi ich chrzęście  
 Poznać zaraz co mogą.  
 A więc puhar bierz w pięście  
 I uśmiechnij się błogo!  
 Bo za jego przyczyną  
 Humor zbudzi się złoty,  
 Licho weźmie kłopoty:  
 Żyj wino!

. . . . .

O! baranku świąteczny,  
 Witamy cię w tój dobie!  
 W tobie życie i w tobie  
 Godło wiary odwiecznej.  
 Twym przykładem i radą  
 Rodzaj ludzki godź z niebem;  
 Dla bogatych biesiadą,  
 Dla ubogich bądź chlebem!  
 Więc się zjawiaj czempredzėj  
 Z tą nadzieją nam błogą,  
 Że choć w te dni, łzy nędzy  
 Schnąć mogą.

## NÍŻÉJ CZUBA.

Aby nie być z światem w walce,  
Pilnuj człeku, iżby  
Nie wzrość choćby na dwa palce  
Z po nad ludzkiej ciżby.

Bo świat zbroi mieczem wielkim  
Ludzi zgrają sprosna,  
By czub ścinać głowom wszelkim,  
Co nad tłum wyrosną.

Rosnąć w górę czyliż warto  
Po nad ośle głowy?  
Niech ma każdy twarz wytartą  
Monety zdawkowej.

\* \* \*

Jeśli czując młode siły  
Coć ku górze pędzą,  
Wzięłeś rozbrat, bracie miły,  
Z zwykłą ludzką nędzą;

Jeśliś stawiał pierwsze kroki  
 Z trudem i mozołem,  
 Podążając w świat szeroki  
 Śmiało z jasnym czołem;

Jeśliś kochał szczerze ludzi,  
 Zysków czczych nie łapał,  
 Jeśli cnota w tobie budzi  
 Czysty serca zapal;

Jeśliś użył myśli pługa  
 Na polu szerokim...  
 To choć drobna twa zasługa  
 Wyjdzie tobie bokiem.

\*            \*            \*

Już to trudno, miły bracie,  
 Dola twoja taka!  
 Będą wszyscy wrzeszczeć na cię,  
 Jak na wilkołaka.

Będziesz, jako niby owe  
 Na wróble straszdyła,  
 I zwali się na twą głowę  
 Wielkie stado bydła.

Huzia na cię! Całą zgrają  
 Puszcza wszystkie psiarnie,  
 Zagałuszą, zaszczekają  
 I przepadniesz marnie.

## Niesprawiedliwość i złość ludzka.

Była szczęśliwa!... marzeniem lubém  
Pierwioski życia śniła radosne;  
Przy jój kolebce słońce na wiosnę  
Dni jój wiązało światłości ślubem.  
W prostocie, która serca zdobywa,  
W miłości, która duszy potrzeba,  
Kraj jój rodzinny starczył za niebo,  
Kraj po nad wodą... Była szczęśliwa!

A jój rodzina w wieków pomroce  
Chwałą szlachetnych słygnęła czynów;  
Blask jój rozświecał dziejowe noce  
Cnot aureolą, wieńcem wawrzynów.  
Bo gdy na ludzkość groźne szły lata,  
Gdy państwo Gallów ogniem i mieczem  
Po nad plemieniem zwisło człowieczém,  
Ona zbawiła stolicę świata.

Ród to był zbawców ludzkości, ano  
Nie szukał nigdy pochlebstw ni darów;

W tym świetnym rodzie nie wyliczano  
Dumnych konsulów, pysznych cesarów.  
On nie zdobywał skarbów z za światów,  
Ale w zasługi zdołał się skromne,  
Aby w nim czciły wieki potomne  
Nie Koryolanów, lecz Cyncynatów.

Tak przeszły lata... tych cnot i chwały  
Kiedy potomka wśród nas się chowa,  
Kiedy zasługa i cześć wiekowa  
Prawo szacunku jój nadawały,  
Kiedy w rozwiciu młodości hożem  
Dzielnie rozrosła we wdzięki ciała,  
Szlachetnych ojców córa wspaniała...  
Legła pod nożem.

Z stroskaną duszą, z sercem w żalobie  
Rodu ludzkiego gardzę niewiarą!...  
Tyś się niewinną stała ofiarą,  
Rycerko biała!... a więc cześć tobie.  
Niechaj nad tobą stanie mogiła  
I niech w potomnych wspomnienie budzi,  
Że gęś, co miasto wieczne zbawiła,  
Padła ofiarą obżarstwa ludzi.

## T R E N Y.

---

Już lat trzydzieści w ciężkim trudzie  
Walczę o chleba lichego kawał.  
Poznałem ludzi, — oj ci ludzie!  
Każdy brał tylko, nikt nie dawał.  
Nagryzłem biedy co się zmieści,  
I dzisiaj twardym idąc szlakiem,  
Jestem chudziwą w lat trzydzieści.  
Dalipan! chciałbym być — Prusakiem.

\* \* \*

Mówili różni: „Złoto ceniąc,  
Trzeba fabrycznym iść manowcem;  
Zostaniesz wielkim przemysłowcem,  
Będziesz korcami mierzył pieniądź.”  
Lecz od fabryki kto zaczyna,  
Zbęda go słowem ladajakiem:  
„My mamy ludzi wprost z Berlina.”  
Dalipan! chciałbym być — Prusakiem.

\* \* \*



Więc pomyślałem sobie: „Co tam!  
 Mam tu odgrywać rolę głupca,  
 Wolę w praktykę iść do kupca,  
 Tam się już o nic nie skłopotam.”  
 Ale w praktyce tój kupieckiej,  
 Jeżeli nie chcesz zostać żakiem,  
 Musisz rachunek znać niemiecki:  
 Dalipan! chciałbym być — Prusakiem.

\*                      \*

He! czy ich tutaj czarci wnieśli,  
 Że na tym gruncie wszystko wzrosło?  
 Toć lepiej sobie wziąć rzemiosło,  
 Może stolarza albo cieśli.  
 Lecz i tu, bratku, pójdiesz rakiem  
 I cały trud twój szlij do czarta,  
 Bo na: *ski* firma licha warta:  
 Dalipan! chciałbym być — Prusakiem.

\*                      \*

A więc wszystkiemu już próbował,  
 Jednak na koszu dzisiaj siedzę;  
 Adwokat, doktor, czy konował,  
 Wszystko z Berlina czerpie wiedzę.  
 Świat po niemiecku się weseli,  
 Bo Niemców jakby posiał makiem,  
 Nawet już Paryż djabli wzięli:  
 Dalipan! lepiej być — Prusakiem.

## M A L A R Z.

### ELEGIA.

---

No, dobiegłem do końca,  
Dość powietrza i słońca;  
Jeszcze tylko to drzewo  
Coś nietęgo wyrasta:  
Zegnę gałąź na lewo,  
Ujmę listków... i basta.  
Pracy było niemało,  
Mogę z sobą być szczerzy,  
Wcale mi się udało;  
Ani kropli maniery,  
Tylko sama natura.  
Ta pod drzewem figura,  
Co tam sterczy wśród lasku,  
Czarny komin chałupi...  
Mój najdroższy obrazku,  
Kto cię kupi? kto kupi?  
Przyjdzie jeden, usiedzie,

Od niechcienia popatrzy,  
Będzie mierzył raz, dwa, trzy,  
Czy pasować mu będzie,  
Ale tak jak ulano  
Między piecem a ścianą.  
Inny długo się waży,  
Bo nie lubi pejzaży.  
Mniejsza nawet o kieskę,  
Lecz za wiele gust ceni,  
Ma obicie niebieskie,  
A tu tyle zieleni!

A niech-no się przygarną  
Ci krytycy kochani,  
Każdy chodzi a gani:  
Tu za jasno, tam czarno;  
Las za wiele drzew mieści,  
Za to niebo jak szmata...  
Matko siedmiu boleści!  
A to odrzec się świata.  
Czy mi лихо naniosło  
Takie głupie rzemiosło?  
Człek i wyżyć nie może  
Z tém malarstwem przekłętém.  
Żeś się zrodził z talentem,  
Zdychaj z głodu niebożę!  
Wpośród chwastu i głogu  
Rok za rokiem mknie marnie,  
Lepiej trzymać kawiarnię,  
Albo szynczek na rogu.

Po co tyle zachodu  
Na kształcenie i pracę?  
Głupcy mają pałace,  
A geniusze mrą z głodu.  
Bo to męczy okrutnie,  
Taką dolę wieść smutną,  
Już wolałbym szyć płótno,  
Niż malować na płótnie.

Ot niejedna z dziewczątek,  
Co przy scenie się wiesza,  
Zrobi dobre antresza  
I już gotów majątek.  
Niech-no przyjdzie cholera,  
Doktor summy nazbiera.  
I adwokat, co ludzi  
Ciągłe swarzy a judzi,  
Kwitnie w zdrowiu radośnie,  
A majątek wciąż rośnie.  
Kupiec zmienia pieprz w złoto;  
Lichwiarz biednych gdy gniecie,  
Rozwala się w karecie,  
A ja chodzę piechotą.  
Tylko jedna pociecha  
Jeszcze mi się uśmiecha,  
Że jak kiedyś przywała  
Mnie grobowym kamieniem,  
To się ludzie użalą  
I powiedzą z westchnieniem:  
„Szkoda! wyszedł na dziada,  
A miał talent nielada.”

I gazeciarz mnie może  
Nekrologiem wspomże.

Oj, ciernista to droga  
Tak pracować daremnie!...  
Jednak czuję tkwi we mnie,  
Iskra święta od Boga,  
I natchnienie promienne  
Nieraz myśli rozedli...  
Ale ten chleb powszedni!  
Te kłopoty codzienne!  
Kręć nieboże bicz z piasku,  
Głupiěj, kiedy świat głupi...

O! mój biedny obrazku,  
Kto cię kupi? kto kupi?

---

Jakie drzewo, taki klin,  
Jaki ojciec, taki syn.

---

Ojciec (*wychodząc z synem z handlu win*).

E... to reńskie, każdy przyzna,  
Że ma jakiś kwasek djabli;  
Zresztą reńskie to kiepszczyzna...  
Wolę margo.

Syn.

A ja szabli.

Ojciec.

No... do ostryg ujdzie ono...  
Ale widzisz, przy obiedzie  
Niedaleko z niém zajędzie.

Syn.

Jakże wczoraj grę skończono?

Ojciec.

Ale prawda, z tój zabawy  
Ty po trzecim coś kieliszku  
Gdzieś drapnąłeś nam braciszku.

Syn.

Miałem bardzo pilne sprawy.

Ojciec.

A to jakie?...

Syn.

Do przejrzenia  
Różne akta procesowe...

Ojciec (*grożąc mu palcem*).

Ej! ty łotrze bez sumienia,  
Znam ja pilne sprawy owe.

Syn.

Bo co?

Ojciec.

Widzę z twojój miny,  
Że w tak ważnym tym procesie  
Grały rolę krynoliny.

Syn.

A chociażby....

Ojciec.

Wy obwiesie  
Młodzież! U was nic do głowy,  
Tylko jakiś romans nowy.

Syn.

Bo to życie mdłe przypieprzy.

Ojciec.

Czyż bez tego żyć nie można?

Syn.

Niby ojciec od nas lepszy!

Ojciec.

No... nie mówię... toć z ostrożna  
Niech rozrywki każdy szuka,  
Ale niech się okpić nie da.  
Frant na franta, na tém sztuka.  
Bo to frycom djabla bieda.  
Mnie nie lada trzeba kąska.  
A byle kto ciebie zmami...

Syn.

Psyt!

Ojciec.

Co?



Syn.

Ot tam wprost przed nami...

Ojciec.

A, jak Boga kocham, gąska!

Syn.

Pójdźmy za nią.

Ojciec.

Tylko cicho.

Syn.

Materyalna suknia suta...

Ojciec.

A koronki, niech ją lichu!

Syn.

A jak drepcze!

Ojciec.

Jak obuta!

Syn.

Co za nóżka!

Ojciec.

Jak toczona!

Syn.

Spojrz-no ojcze, jaka kibić!

Ojciec.

Żeby chociaż słówko wścibić,  
To się zaraz człek przekona.

Syn.

Pachnie zdala jak ananas.

Ojciec.

Może jaka pani wielka.

Syn.

E .. ogląda się coś na nas.

Ojciec.

Bogdajże cię!

Syn.

Co?

Ojciec.

Amelka!

Nie poznajesz?

Syn.

A niechże ją!

A ja wyznam ojcu szczerze,  
Już cieszyłem się nadzieją...

Ojciec.

To dopiero wzrosła w pierze!  
Patrzaj jaka tęża mina.

Syn (*pogardliwie*).

To nie dla nas ta zwierzyna.

Ojciec.

Tak, obrazek trochę starty.

Syn.

Chociaż niegdyś nie był brzydki.

Ojciec.

Pójdźmy lepiej gdzie na karty.

Syn.

Oj! dziś ojca zgram do nitki!



## DO AZORKA.

---

Z krótką mordką, z wklęsłym nosem,  
Jesteś gryfon czystej krwi,  
A sierść tobie długim włosem  
Nad oczami srebrem lśni.  
Pędzisz życia dni radośnie,  
Jesz za czterech, śpisz za dwóch,  
Za to tusza wciąż ci rośnie...  
Mój Azorku jesteś zuch.

Czy to w zimie, czyli w lecie,  
Nieraz ślepy zrząda trać,  
Że cię spotkam, jak w karecie  
Jedziesz, niby jaki graf;  
A z karetą gdy się minę,  
Pogardliwy zrobisz ruch  
I zaszczekasz na chudzinę...  
Mój Azorku jesteś zuch.

Gdy przez tydzień nad robotą  
Ja dni całych ślęcę sześć,

Ty się troszczysz tylko o to  
Jakie mięso będziesz jeść.  
Niech tam ludzie z pracy bledną,  
Niech się rozbijają w puch,  
Świątek, piątek, tobie jedno,  
Boś ty zawsze Azor zuch.

Ty pracować.... A to na co?  
Po co tobie kłopot ten?  
Toż najcięższą twoją pracą  
Na kolanach pani sen.  
Ona rączką ciebie pieści,  
I opędza cię od much  
W troskliwości swój niewieściój...  
Mój Azorku jesteś zuch.

Aby nad psią twoją głową  
Nie zawisła dola zła,  
Masz tabliczkę metalową,  
Co za rubla spokój da.  
Pomyśl tylko, na téj ziemi  
Kto szczęśliwszy jest z nas dwóch?  
Choć tabliczkę odstępże mi...  
Mój Azorku jesteś zuch.

---

## NIEDOŁĘGA.

---

Niechajże was święci strzegą  
Ludzie mili,  
Byście jak ja do niczego  
Kiedy byli;  
Gdzie bądź pójde, co bądź zrobię,  
Każdy gęga:  
„Daj tam pokój, jesteś sobie  
Niedołęga.”

Niedołęga... mówić łatwo,  
Głupi tłumie;  
Robić piórem albo dratwą  
Każdy umie.  
Czém bądź z pracy zysk się bierze:  
Butem, księgą,  
Furda... lepiej zostać szczerze  
Niedołęgą.

Co po myśli, kiedy ona  
Ledwie wzlata

Ciężkiem skrzydłem, i wraz kona  
 W krańcach świata?  
 Co po pracy?... chyba w grobie  
 Spokój daje;  
 Bo gdy masz jeść, zębów tobie  
 Już nie staje.

Co po ludzkiej całej owój  
 Krętaninie,  
 Z której tylko zawód nowy  
 Ciągłe płynie?  
 Człek obarcza głowę własną  
 Wciąż kłopotem,  
 W końcu jak dzień widzi jasno,  
 Że nic po tém.

Niedołęga, choć mu w głowie  
 Braknie klepki,  
 Jest to, wierzcie mi panowie,  
 Człowiek krzepki.  
 On przed siebie śmiało patrzy  
 W zgodzie z światem,  
 A jak zliczy już raz, dwa, trzy,  
 Dość mu na tém.

Niech się ziemskie tam półbogi  
 Pną w niebiosy,  
 On nie szuka sobie drogi  
 Wyżej nosa.  
 Idzie, za nic ważąc chwałę,  
 Wciąż ostatni, —

I wynosi kości całe  
Z ludzkiej matni.

Szczęścia kupić nikt nie w stanie  
I nie kupi;  
Wielkie jeszcze jest pytanie,  
Kto z nas głupi:  
Czy ten, który z ludźmi w wojnie  
Mary łapie?  
Albo-li ten, co spokojnie  
Śpi i chrapie?

Patrzcie jak się ziemskie koło  
Wciąż obraca!  
Jak marnieje niewesoło  
Ludzka praca!  
Ciężkiej doli nie upiększy  
Miecz, ni księga...  
Światem rządzi los, — największy  
Niedołęga.

---



## PRZYJACIELE.

---

Miałem ja ongi pewnego sąsiada;  
Nie tęgą wprawdzie odznaczał się głową,  
Ale był sobie pocziwiec nielada  
I widział wszystko i wszystkich różowo.  
Zresztą człek rosły, silny, krwistój cery,  
Miał sporo grosza i żelazne zdrowie,  
A w życiu sobie wyrobił przysłowie:  
„Nie ma na świecie jak przyjaciel szczery.”

Więc niezbadanych przeznaczeń wyrokiem,  
By mu dogodzić tak się los nań zaciął,  
Że gdzie się ruszył, kędy stąpił krokiem,  
Samych już tylko spotykał przyjaciół.  
Już w szkole przywykł do owój maniery,  
Koledzy wiecznie brali go na kawał  
Tak, że przez przyjaźń wciąż pałki dostawał...  
Nie ma na świecie jak przyjaciel szczery.

Wyszedłszy ze szkół i wielce rad w duszy,  
Że rolę w świecie może grać poważną,

Napotkał pannę piękną i posażną  
 I w nią się zaraz zakochał po uszy.  
 Lecz go przyjaciel od ślubu odkłania:  
 — „Daj pokój bratku, jak dwa a dwa cztery,  
 Będą kaprysy, fochy, wymagania!” —  
 Nie ma na świecie jak przyjaciel szczery.

Wprawdzie odprawił już był zaręczyny,  
 Ale mu jasno jak dzień wywiedziono,  
 Że piękna panna jest zawsze złą żoną,  
 Że posag prosto wiedzie do ruiny, —  
 Aż wreszcie zerwał; ale serce ranne  
 Długo cierpiało, i nie bez kozery...  
 Bo mu przyjaciel wziął z przed nosa pannę...  
 Nie ma na świecie jak przyjaciel szczery.

Ha trudno! szczęście nie mierzy się piędzią,  
 I jemu życia nie gładko szedł wątek.  
 Wwikłał się w proces o cały majątek,  
 A jak raz właśnie przyjaciel był sędzią;  
 Więc nie chcąc wpływać na zdanie niczyje,  
 Tak zamachlował akta i papiery,  
 Że sprawa padła na łeb i na szyję...  
 Nie ma na świecie jak przyjaciel szczery.

Tak się ów proces skończył nieszczęśliwy;  
 Ale mu został przyjaciel dobrodziej,  
 Który miał wielkie znaczenie i wpływy,  
 Więc po protekcyę do niego przychodzi.  
 Ale przyjaciel ozięble go wita,

Mówiąc: „W ten sposób nie zrobisz karyery;  
Gdzie jest interes, tam z przyjaźni kwita.”  
Nie ma na świecie jak przyjaciel szczery.

Więc się tém wszystkiém tak zamartwił srodze,  
Że zachorował nieborak obłożnie.  
Leczył go doktor przyjaciel, i w trwodze,  
By nie zaszkodzić, działał zbyt ostrożnie.  
Kiedy tak ciągle zwleka aby dalej,  
Chory tyfusu przeszedł wszystkie ery  
I biedaczysko pojechał do lali...  
Nie ma na świecie jak przyjaciel szczery.

## CAUSA RERUM.

---

Była laleczka raz z porcelany  
I miała dobór na twarzy farb,  
I kok na głowie włosiem wysłany,  
Z tyłu turniurę wygiętą w garb,  
Emaliowane oczy dokładnie  
Zdały się życiem patrzeć z za szkła;  
Na co stworzona, niechaj kto zgadnie,  
Porcelanowa laleczka ta?

A czyż to trudu wiele trza znosić,  
By złotą życia snuć sobie nić? \*  
Życ, kochać, cierpieć i po cóż? Dosyć  
Porcelanową laleczką być,  
Pogardzać wszystkim, co duszę budzi,  
Zamykać serce na trzeci spust,  
I mieć, kiedy się patrzy na ludzi,  
Wiecznie przykuty uśmiech do ust.

Mówią, że czucie czuciem się żyźni,  
Głupcy to nawet miłością zwą:

Może to prawda, ależ mężczyźni  
Jakich przymiotów w kobietach chcą?  
Już im obmierzły miłosne walki,  
Co próżny sercu zadają trud;  
Zachcieli lalek, więc mają lalki,  
Żywcem wycięte z żurnalu mód.

A jeśli kiedy z słońca promieni  
Wybłyśnie czysty wiosniany kwiat,  
Niechaj się prędko w lalkę przemieni  
I wdzieje sztucznych powłokę szat;  
Niech w sobie czucie najgłębiej chowa,  
By go światowy nie odgadł rój.....  
Była laleczka porcelanowa  
I miała piękny z gałganków strój.

---

## PRZY MACHINCE.

---

Machinko ty moja kochana,  
Kończ żywo zaczęta robotę!  
Przy tobie pracując od rana,  
Zarobię co najmniej trzy złote.  
I znów się robota zaczyna,  
Nić w igły nawlekłam już uszko...  
Oj nie bij, oj nie bij serduszko,  
Za ciebie turkocze machina.

Świat różnych ułudzeń jest pełny,  
Nie wszystkim zawistny los sprzyja;  
Tych dola jak kłębek bawełny  
Na kółko żelazne się zwija—  
Dni wiosny przechodzą im smutno,  
Zaledwie się zrodzą, wnet giną;  
I człowiek się staje machiną,  
By życia naszywać wciąż płótno.

Więc kręć się machinko! w robocie  
Ty ciężkiej nie strudzisz się przecię;

Przy twoim zbawiennym turkocie  
Zapomnę o ludziach i świecie.  
O szczęściu nie marzyć dziewczynie,  
Sercowych nie wikłać jój nici,  
Żelazne je kółko pochwyci  
I w kłębek porządnie nawinie.

Choć serce się czasem poruszy,  
Przelotna myśl zbiegnie przez głowę  
I wchodzi pragnienie do duszy,  
By wyrzeć na słońce majowe;  
Wnet spokój powróci na lice  
A twojém to dobrem nie czyjém...  
Jesteśmy machinki siostrzyce,  
Ktoś korbę zakreści, my szyjem.

---

## G Ł U P I .

---

Co wy, ludzie, tam wiecie,  
Zkąd się rozum w was bierze?  
Co ktoś myśli w sekrecie,  
Ja wyznaję to szczerze.  
Niech kto jeno zapyta,  
To odpowiem: „Panowie!  
Jestem głupi — i kwita;  
Niech mi będzie na zdrowie.”

Co to rozum i na co?  
Trzeba pracą żyć ciąglą:  
Kto jest głupi okragło,  
Nie kłopotczy się z pracą,  
Je z każdego koryta  
I „Bóg zapłać” nie powie...  
Jestem głupi— i kwita;  
Niech mi będzie na zdrowie.

Mądry ślęczy i bada,  
Zawsze na nim się skrupi,



O mnie każdy powiada:  
„Daj mu pokój, to głupi.”  
A ja sobie z kopyta  
Wszystko dobre wyłowię...  
Jestem głupi — i kwita;  
Niech mi będzie na zdrowie.

Co chcą ludzie, niech czynią,  
A to prawda i szczerą:  
Świat zamkniętą jest skrzynią,  
Co się głupcom otwiera.  
Szukaj szczęścia, gdzie świta,  
To je znajdziesz... nie w głowie.  
Jestem głupi — i kwita;  
Niech mi będzie na zdrowie.

---

## TRENY ŻAŁOBNE

Stolików od kart w Resursie Kupieckiej.

### Stolik I.

Słuchajcie srogich jęków rozpaczy,  
Otwórzcie uszy na smutny głos!  
Chyba na starość żywot tułaczy  
Każe nam srogi rozpocząć los.  
Biedne stoliki osierocone,  
W ostatniej próbie zbraknie wam sił,  
Zlewajcie łzami sukno zielone,  
Co dotąd kredy pokrywał pył!

### Chór.

W około ciemnie,  
W powietrzu mgła;  
Krew krzepnie we mnie  
I serce drga.  
Jakież niedole  
Grożą nam znów?  
Karciany stole,  
Przez Boga, mów!

## Stolik II.

Wszak to nam w mieście przyzna człek wszelki,  
 Że uzbrojeni w wytrwania hart,  
 Lat kilkadziesiąt w resursie wielkiej  
 Przesławne berło trzymamy kart.  
 Nie są to próżne nasze przechwałki,  
 Świadczy obfity karciany plon;  
 Tutaj obrały stolicę pałki,  
 I tu preferans dzierzył swój tron.

## Chór.

I któż zaprzeczy  
 Prawdzie tych słów?  
 Ale do rzeczy,  
 Mów stole, mów!

## Stolik I.

Tutaj szermierze krzepcy i dzielni  
 Z innych się wszystkich zbierali sal,  
 I pustki były zawsze w czytelnicy,  
 Osierocony był każdy bal.  
 Choć z usilnością komitet całą  
 Chciał wzbudzić przeszłość tanecznych miar,  
 Ledwie par kilka tam tańcowało,  
 A my tu setki liczyli par.

## Chór.

W zimę czy w lato,  
 Tu zabaw treść.  
 Cześćże wam za to  
 O stoły! cześć!

## Stolik II.

Chociaż mistycyzm ku swój zabawie  
 Ogólny mebli pociągał chór,  
 Choć się kręciły stoły w Warszawie,  
 My pod kartami stały jak mur.  
 Wszystkie przesławne prorocтва owe  
 Nie mogły echa rozbudzić w nas,  
 Gdy tu co rzekły nogi stołowe,  
 To tylko: „Biorę talon lub pas!”

## Chór.

Plemię dzisiejsze  
 Ogłupił Bóg;  
 Wy najmądrzejsze  
 Z stołowych nóg.

## Stolik I.

Wszystkie publiczne mary zwodnicze  
 Próżno w nas biły, jak w ścianę groch,  
 I Towarzystwo nawet Rolnicze  
 Otrząsało przy nas z nóg swoich proch.  
 Teraz już w własnym lokalu siedzi,  
 Swobodne miejsce oddawszy nam;  
 Tu nie potrzeba pustej gawiedzi,  
 Co nie odróżni królów od dam.

## Chór.

Na jedno światu,  
 Iść wprzód czy wstecz.  
 Dziesięć bez atu,  
 Ot to mi rzecz!

## Stolik II.

Zakład muzyczny chciał od nas sali,  
 By sobie fundusz zarobić tam,  
 Ale napróżno symfonie grali,  
 Nasza gra lepiej służyła nam.  
 Widząc, że zysku mają niewiele,  
 Już zaniechali daremnych prac,  
 Dziś sobie w cyrku zawodzą trele,  
 A my napowrót dzierzemy plac.

## Chór.

Co spokój zmaça  
 Niedługo trwa;  
 Wist gra milcząca,  
 A piękna gra!

## Stolik I.

Lecz na nas losy wciąż sprzysiężone,  
 Nowe zwały klęski w nasz próg:  
 Jakieś odczyty bardzo uczone  
 Wprowadził tutaj Komitet wróg.  
 Znów zawitali sławni szermierze,  
 Cierpliwość naszą biorąc na sztych,  
 Uczą nas zkađ się powietrze bierze...  
 Niechaj powietrze ogarnie ich!

## Chór.

Kto zręcznie szuka  
 Gdzie król, gdzie as,  
 Taka nauka  
 Nie pójdzie w las.

## Stolik II.

Ach! mówcie, mówcie, wskażcie nam sposób,  
By święty spokój raz chociaż mieć;  
Coraz tu więcej przywodzą osób,  
Nawet już żeńską ściągęli pleć.  
W gęste się chmury przyszłość zacienia,  
Już nas uwikłał w swe sidła czart;  
Gotowi wziąć nas na doświadczenia...  
Ratujcie biedne stoły od kart!

## Chór.

W około ciemnie,  
W powietrzu mgła,  
Krew krzepnie we mnie  
I serce drga.  
Kłęski i bole  
Opadły nas;  
Karciany stole,  
Zginiemy wraz!

---

## B A B U L A .

---

Coś na dworze wietrzno, ciemno,  
Wicher hula zdrów,  
Więc pogawędź Babciu ze mną:  
Pomnisz wieczór ów?  
Gwarno było niby w ulu  
Jak raz temu rok,  
Nowy miałam kok, babulu,  
Nowy miałam kok.

Tańczyć! tańczyć! ach milutko,  
Aż się dusza rwie!  
Przyszedł tancerz z czarną bródką  
I zaprosił mnie;  
W wir koronek, gazy, tiulu  
Wybiegłam co sił;  
On hołubce bił babulu,  
On hołubce bił.

Ja też wdzięczną minkę stroję,  
Dążąc przy nim tuż;

Wtém ktoś tracił i oboje  
Upadamy wzdłuż.  
Co to było wstydu, bólu,  
Że aż wspomnieć grzech!  
A on buchnął w śmiech, babulu,  
A on buchnął w śmiech.

O wstyd i ból jeszcze mniejsza,  
Ale gorsze to,  
Że ta młodzież terazniejsza  
Wszyscy tacy są.  
Lepszy dziki z Honolulu  
Niż ten co tu wzrosł...  
Taki to nasz los, babulu,  
Taki to nasz los.

---



## PO WIECZORZE TANECZNYM.

DYALOG.

---

Serce.

Ach! te oczy, które jasną  
Barwą niebios obraz czysty,  
Co ślad siejąc promienisty  
To zabłysną, to znów gasną!  
Wyraz twarzy ten radosny,  
Gdzie myśl czysta się weseli,  
Jakby w serce jój anieli  
Kładli całą świeżość wiosny!  
Ta wesołość dziecka pusta,  
Którój żaden śnieg nie prószy!  
Ten niewinny wyraz duszy,  
Co przez serce wbiegł na usta!  
Ach! ten rączki kształt maleńki  
I usteczka te z koralu,  
I ta nóżka, która w dali  
Wyjrzy czasem z pod sukienki!...

## Rozsądek.

Za pozwoleniem, jedno tylko słówko:  
Ile też ona może mieć gotówką?

## Serce.

Gdybym miał ją tu przy sobie,  
Gdyby ona słodka, miła,  
Swoje drobne rączki obie  
Na mą szyję zarzuciła,  
A ja głowę wsparłszy o nią,  
Gdy się dusza zleje bratnia,  
Poił się tą miłą wonią,  
Co się z jej sukien ulatnia, —  
Zapomniałbym, że istnieję,  
I w tej chwili zachwycenia  
Wszystkie zjednoczył nadzieje,  
Wszystkie połączył wspomnienia.

## Rozsądek.

Małżeństwa droga jest trudna i ślizka,  
Wielu upadło u stop tego krzyża;  
Zaś ta woń cudna to pewno paryzka,  
A wszystko drogie co tylko z Paryża.  
Człowiek to wiecznie nawyknięcia zwierzę,  
Niech go nie cieszy nowy strój co włoży,  
Kto bierze żonę, ten nie wie, co bierze:  
Teraz ci dobrze, możesz trafić gorzej.

## Serce.

Jednostajny byt dzisiejszy  
Uszlachetnisz w nowym bycie,

Bo przybierze twoje życie  
 W stokroć lepszy cel, ważniejszy!  
 Smutek ci nie zaćmi czoła,  
 Zawsze, wszędzie, jedną chwilką  
 W domu swoim masz anioła,  
 Co dla ciebie czuwa tylko!  
 Ona wszystkie duszy chęci,  
 Ona wszystkie sny promienne  
 I marzenia swe wiosenne  
 Razem z sercem tobie święci!  
 Już nie będziesz w zimne słoty,  
 Przy jesiennym smutny wietrze:  
 Ona smutek z czoła zetrze,  
 Do pracy doda ochoty;  
 Jak wonnym wiatru powiewem  
 Mróz przemieni w noc majową,  
 Rozweseli cię swym śpiewem  
 I pocieszy swą rozmową!

#### Rozsądek.

Ten połysk twarzy prędko zniknie gładki  
 I biała szata nazbyt prędko zbruknie;  
 A wiesz ty jakie małżeńskie wydatki?  
 Ile kosztują dom, sługi i suknie?  
 Wszakże modniarki tutaj nie dla kształtu;  
 A bale, meble i klejnoty!... Gwałtu!

#### Serce.

Owe wszystkie niepokoje  
 Niebo łaską zgładzi nową!

Sny się błogie ziszczą twoje,  
 Będziesz ojcem!... święte słowo!  
 Pod rodziną swoją strzechą  
 Nowa miłość się rozżarzy;  
 Jakiemż szczęściem i pociechą  
 Pierwsze dziecko ojca darzy!  
 Ty niewinne to istnienie  
 Będiesz w świata wiódł podwoje  
 I anielskie dziecka tchnienie,  
 Rozraduje serce twoje.

#### Rozsądek.

To tylko twoje kłopoty ponowi,  
 Do uciążliwej pracy cię powoła,  
 Bo trzeba jeść dać temu aniołowi  
 I trzeba tego wychować anioła.  
 Ciężki w tym świecie na pieniądze połów,  
 Drogi zarobku zewsząd utrudnione,  
 Gdy takich kilku mieć będziesz aniołów,  
 To przeklniesz siebie, i miłość, i żonę.

#### Serce.

Jedno słowo cię przekona:  
 Ja ją kocham i mnie ona.

#### Rozsądek.

Trudno, słowami zdania się nie utra,  
 Jedynie czyn nas przekonywać może;  
 Noc — to poezya... pójdźmy spać niebożę,  
 Ranek — to proza... rozmówim się jutro.

## JESTEM SOBIE PAN.

---

Kiedy na świat Boży dzionek  
W rannój świta mgle,  
Ze snu budzi mnie skowronek,  
Chociaż twardo śpię.  
Wszystko we wsi w pole rusza  
Sprawiać Boży łan;  
Hulaj dusza bez kontusza:  
Jestem sobie pan!

Z kuropatew i ciećwierzy  
Ja kwituję was,  
Gdy przedemną barszczyk świeży  
I pieczeni zraz;  
Dla lepszego animusza  
Stoi piwa dzban.  
Hulaj dusza bez kontusza:  
Jestem sobie pan!

W mym klejnocie nię ma szczerbu  
Z najdawniejszych dni;  
Lecz czy z herbem, czy bez herbu,  
Wszystko jedno mi.

Dla szlachcica, plebejusza

Jeden kres jest dan.

Hulaj dusza bez kontusza:

Jestem sobie pan!

Od przyjaciół ciżby wielkiej

Niech mię chroni Bóg;

W oczy słowa jak karmelki

A za oczy wróg.

Mam sąsiada Mateusza,

Co mi z dawna znan.

Hulaj dusza bez kontusza:

Jestem sobie pan!

Miałem żonę, dwoje dzieci,

Bóg skarb zabrał mój,

Niechaj im tam w górze świeci

Łaski Bożej zdrój!

Czas powoli krew osusza,

Choć z najcięższych ran...

Hulaj dusza bez kontusza:

Jestem sobie pan!

Tak dożyję łaski Bożej,

A gdy przyjdzie kres,

Gdy mnie niemoc w łóżko włoży,

Nie chcę ludzkich łez.

Pan Bóg przecię gniew swój skrusza

Dla Chrystusa ran.

Hulaj dusza bez kontusza:

Jestem sobie pan!

## NIE WYWOŁUJ WILKA Z LASU.

---

PRZED ŚNIADANIEM.

Alfred.

Źle, braciszku, źle na świecie!  
Ciężkie czasy!

Szymon.

Bogdajże cię!  
My to, my, na kieszeń chorzy;  
Ale u was...

Alfred.

Jeszcze gorzej.

Szymon.

Jakto?

Alfred.

Nudno, ciężko, głupio,  
Życie drogie...

Szymon.

Tanie żyto.

Masz na sprzedaż, a nie kupią.

Alfred.

A jak zdrowie?

Szymon.

Tak... niby-to

Zdrowie służy; to jedyna

Mi pociecha.

*(Spoglądając na szyld:)*

Co to? wina?

Alfred.

A tak, kupiec. Wiesz co, może  
Wstąpił sobie choć na chwilę,  
Bo to czasy, żal się Boże!

Szymon.

Żal się Boże! Ledwie tyle  
Co człek zepchnie.

Alfred.

Co się utnie

Z nudy. Chodźmy.

Szymon.

Ależ bratku,

Pewno drogo tam okrutnie,  
A na dzisiaj trzeba statku.



Alfred.

Nie bójże się, wiem co robię.  
Przetrącimy ino sobie,  
Ja do ciebie, a ty do mnie.

Szymon.

Tylko skromnie.

Alfred.

Bardzo skromnie.

Ja nie jestem przecież głupcem,  
Wiem co trzeba, znam się z kupcem,  
I na cenach mnie nie zmani,  
Taniój odda.

Szymon.

Kiedy taniój,

Chodźmy.

Alfred.

Chodźmy.

Szymon.

Lecz na krótko,  
Bo mi djablo czasu szkoda.

Alfred.

Kieliszeczek z dobrą wódką  
Zdrowia doda.

Szymon.

Tak jest, doda.

PO ŚNIADANIU.

Alfred.

No cóż?

Szymon.

A cóż, mój braciszku,  
Po ostatnim tym kieliszku  
Mdło mi jakoś.

Alfred.

I mnie leży  
Coś w żołądku.

Szymon.

Aż niemiło!  
Jakieś лихо w winie było.

Alfred.

A i zając coś nieświeży.

Szymon.

Ależ zdzierus! tfu za katy!  
Czy to warto?

Alfred.

Toż to właśnie.  
Dwie butelki trzy dukaty!

Szymon.

Niech go jasny piorun trzaśnie!

Alfred.

Oporządził nas na nice,  
A najgorszy na ostatku  
Ten likierek.

Szymon.

Wiesz co, bratku,  
Żeśmy jeszcze jakoś fryce.

Alfred.

Tak, niby to się człek kurczy...

Szymon.

A jak wyda, to nie żartem;  
Dwieście złotych poszło z czartem...

Alfred.

A w żołądku ciągle burczy.

Szymon.

Tfu! straciłem kawał czasu.

Alfred.

I pieniędzy djablo szkoda.

Szymon.

Trudno, bratku, krew nie woda!  
Trzeba na to mieć rozsądek:  
W człeku siedzi wilk-żołądek,  
Nie wywołuj wilka z lasu.

---

## W PEKINIE.

---

W Pekinie ludzi jest mrowie:  
Są różni, starce, młodzieńcy,  
I wielcy mandarynowie  
I kulisowie maleńcy,  
A i zwierzęta domowe,  
Cieleta, osły i świnie.  
Wszystko się liczy na głowę  
W Pekinie.

\* \* \*

Mówią głów tyle a tyle,  
To dochód czyni krociowy;  
Nie przypuszczają na chwilę  
Żeby był człowiek bez głowy.  
Ludzie wznoszą się jak różgi,  
A o toż idzie jedynie:  
Są głowy, mniejsza o mózgi  
W Pekinie.

\* \* \*

O wielkie miasto! azali  
Rozkosz ci z tego i chwała?  
Na ludzkich losów czyż szali  
Głowa bez mózgu coś ziała?  
Cóż ztąd, że na łeb po trochu,  
Piórko po piórku przyplynie,  
Gdy we łbie ciemno jak w lochu,  
W Pekinie?

---

## BRAK TONU W GAMMIE.

---

Przemijają długie lata,  
Przemijają krótkie dnie...  
Była pani raz bogata,  
Miała piękne córki dwie.  
Obie były mądre wielce,  
Tak paplały jakby z nut,  
Przy Francuzce i Angielce...  
Ut, re, mi, fa... la, si, ut.

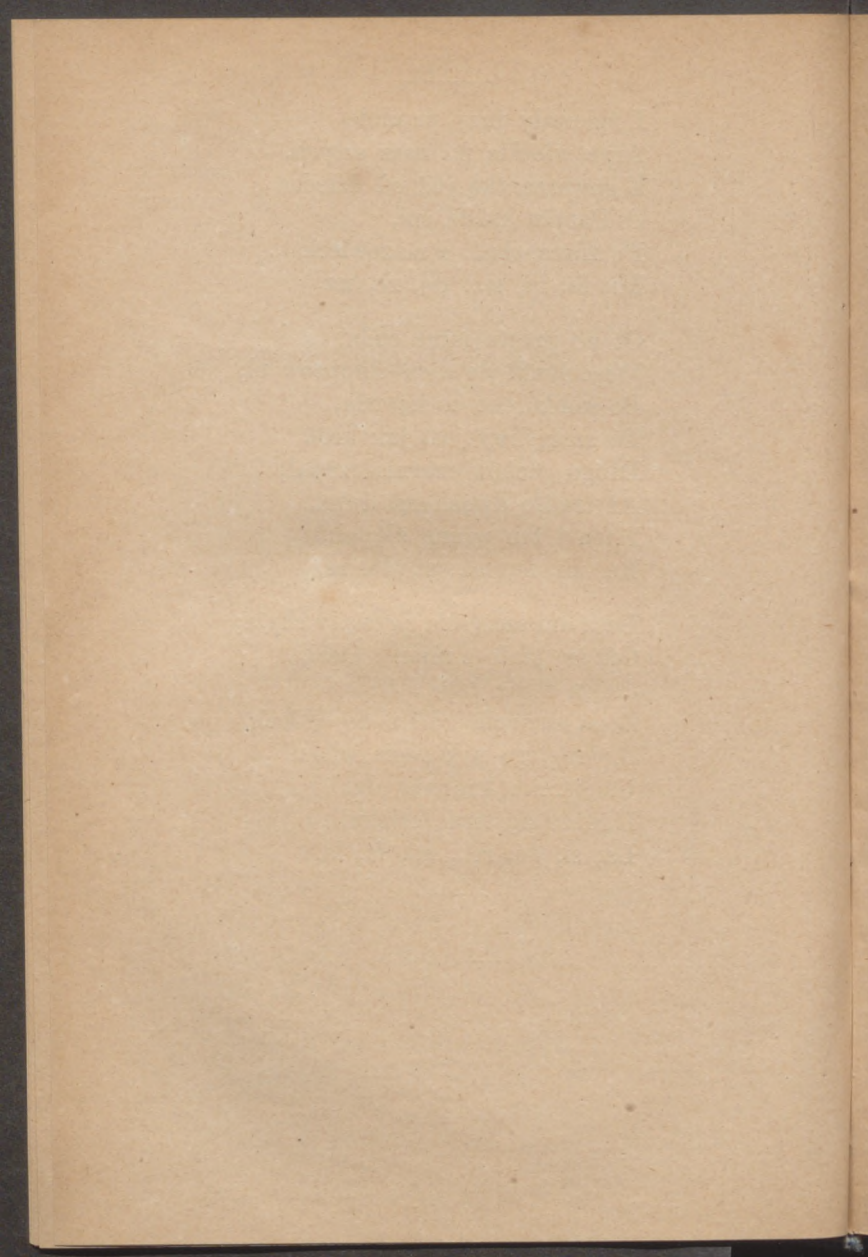
O krój mody zaczepione  
Odzywały się jak dzwon:  
I któż lepiej znał niż one  
Sukni barwę, wstążek ton?  
Gdzie kłaść jedwab' a gdzie watę,  
Gdzie być w świetle, gdzie za mgłą?  
Jak anioły... nieskrzydlate...  
Do, re, mi, fa... la, si, do.

W tańcu jakby dwie boginie  
Wielbicieli wiodły swych;

I śpiewały przy pianinie  
 Arye włoskie na nasz sztych.  
 Z guwernantką już od dziecka  
 O Paryżu każda śni,  
 Po francuzku... z mazowiecka...  
 Mi, fa, la, si... do, re, mi.

Ot po prostu istne cuda!  
 Więc lgnął do nich chłopców ul;  
 Bo konkurent co się uda,  
 To szczęśliwy jest jak król.  
 Długo gachów marniał zapał,  
 Aż trafiło dwóch na dwie...  
 I ten i ten pannę złapał...  
 Re, mi, fa, la... si, do, re.

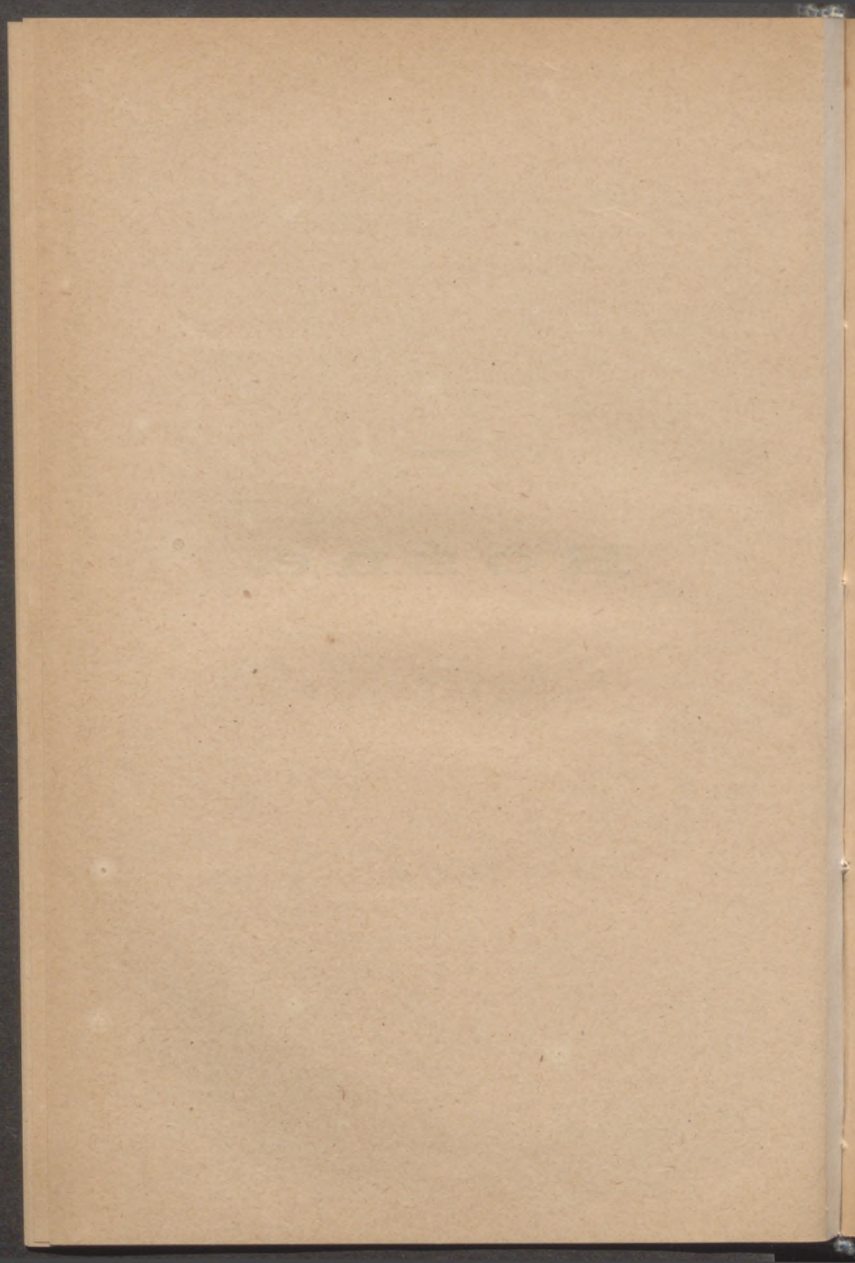
Lecz dni szczęścia przeszły chyże;  
 Cóż się stało z nimi? Och!...  
 Jeden teraz łapę liże:  
 Żona smyrgła gdzieś do Włoch.  
 A drugiego w kwiecie wieku  
 Uśmierciła kuchnia zła...  
 I żeńże się teraz człeku!...  
 La, si, do, re... mi, fa, la.





V.

**R ó ż n e.**



## PRZY KOMINKU.

Hej panienko moja! owo  
W sercu spokój, w głowie statek,  
Przeżyło się razem zdrowo  
Trzy dziesiątki z górą latek;  
Byłem tobie wiernym służką,  
Wszakże prawda, Basiu, cóż?...  
Dołóż drzewa, moja duszko,  
Bo w kominku gaśnie już.

Miły Boże! gdy człek wspomni:  
Moja Basia jak królewna,  
A i ludzie z tego drewna  
Co ja, wcale nieułamni;  
Jam ci słówka szeptał w uszko,  
Aż na licach płonął róż...  
Dołóż drzewa, moja duszko,  
Bo w kominku gaśnie już.

Miał pan Maciej dziewięć córek,  
 Na jednego huk, zaiste:  
 Ale co tam — Jezu Chryste!  
 Pokochałem cię jak Turek.  
 Obrączkowych pod poduszką  
 Było tysiąc, niezły kusz!...  
     Dołóż drzewa, moja duszko,  
     Bo w kominku gaśnie już.

Życia troski, życia znoje,  
 To co cieszy, to co boli,  
 Chwile doli i niedoli  
 Łacniej idą, gdy we dwoje;  
 A tyś była wierną družką  
 Wśród pogody chwil i burz...  
     Dołóż drzewa, moja duszko,  
     Bo w kominku gaśnie już.

Oj, Basieczko, panno miła,  
 Myśmy dzielną byli parą!  
 Tyś mi życie ukwieciła  
 Uczciwością, cześcią, wiarą;  
 Zacnie biło tve serduszko,  
 Szukać takich wszereż i wzdłuż...  
     Dołóż drzewa, moja duszko,  
     Bo w kominku gaśnie już.

Ot i przeszło, jakby chwila...  
 Toć to nasze, a nie czyje;

Szczęścia w życiu tylko tyła  
Co w spokoju człek przeżyje.  
A no, teraz czas już w łóżko,  
Boć i twardsze łoże tuż...

Spać pójdziemy, moja duszko,  
Niech w kominku zgaśnie już.

## NIEMOWLĘ.

Mój aniele jasnowłoso!  
Z ocz się twoich szczęście śmieje;  
Jako radość i nadzieję  
Dały ciebie mi Niebiosy.  
Z wiatrem igra włos twój gładki,  
Z twarzy wdzięczy się wesele,  
I uśmiechasz się do matki,  
Jasnowłoso mój aniele.

Z rąk wypadło mi wrzeciono,  
Opuściłam przędzy zwoje...  
Z twarzą szczęściem spromienioną  
Baw się, baw się, dziecię moje...  
W téj przejrzystej przędzy białej  
Złote barwy słońce stroi;  
Co jest pracą matki twojej,  
Tobie cackiem jest, mój mały.

I za niemi, co w krąg biega,  
Ciagle gonisz rączką małą....  
Co to? płaczesz? A... wiem czego,  
Cacko w górę uleciało.

Weseliłeś się, nieboże,  
I już oko łezkę roni,  
Że twa rączka nitkę goni  
I pochwyć jój nie może.

Kiedyś, kiedyś... przyjdą lata  
Płodne w szczęście albo w nędzę:  
Będziesz gonił wpośród świata  
Inną, wątlą, życia przędzę;  
Tam promiennych dni tak mało,  
A tak mnogie dni złowieszcze....  
I zapłaczesz znowu jeszcze,  
Że ci cacko uleciało.

Będziesz żalił się na losy  
I na ludzi, co nieczuli  
W niwecz szczęście ci popsuli,  
Mój aniele jasnowłosy!  
Więc póki cię losy szcędzą,  
I spoglądasz w niebo śmieie,  
Baw się, baw się złotą przędzą,  
Jasnowłosy mój aniele!

## DZIECKO I PTASZKI.

---

Oj! zimno być musi i wietrzno na dworze,  
Bo śniegu upadło niemało;  
Więc zanim to moje okienko otworzę,  
Popatrzę przez szybę ściemniałą.  
Pożółkłe roślinki tam marzną i mokną,  
W tém ciężkiém powietrzu zmrozoném,  
I zwiędłe się gronko zwiesiło na okno,  
I kwiatki zeschnięte skurczyły swe włókno,  
Bo duszno im strasznie pod szronem.

Nie wskrzeszę do życia was moją posługą,  
To mróz was zimowy zabija;  
Dla czegoż ta zima tak wlecze się długo,  
A lato tak prędko przemija?  
Wam ciepła potrzeba i światła i wiosny;  
Gdy Boże słoneczko zaświeci,  
Odżyją przywiędłe topole i sosny,  
I na was, kwiateczki, dzień przyjdzie radosny,  
Radosny dla kwiatów i dzieci.



Ot ptaszek już zleciał i rzewnie świegoce  
 I radby przytulić się przy mnie;  
 O! jakże mu ciężko dni całe i noce  
 Przepędzać na wietrze i zimnie!  
 Toż drugi i trzeci i inne za niemi  
 Zgłodniałą nadciągną wnet zgrają,  
 Przemokłe skrzydełka zwiesiły ku ziemi,  
 I biją w okienko dzióbkami zmarzłemi,  
 I jadła swym piskiem wołają.

Czekajcie, czekajcie, ptaszyny wy Boże,  
 Nie pójdzie ta prośba na marnō;  
 Ja zaraz tu dla was okienko otworzę,  
 I świeże posypię wam ziarno.  
 Mam jeszcze bułeczkę, com sobie z wieczora  
 Tam dla was schowała, ptaszyny;  
 Bo pewno wy srodze zgłodniałe od wczora,  
 I tęskno czekacie aż przyjdzie już pora  
 Tęj waszój biesiady jedynój.

Jak do mnie boleśnie zwracacie oczęta,  
 Ku oknu kierując się w biegu!  
 O! drogę tę dobrze z was każdy pamięta,  
 I trafi po wietrze i śniegu.

Lecz kiedy na nowo zawita w tę stronę  
 Wiosenka z słoneczkiem swém złotém,  
 I drzewa ku niebu wystrzelą zielone,  
 I wy też w gaiki wzleciecie kwiecione,  
 Zwlekając do zimy z powrotem.

Niewdzięczne ptaszyny, wam szczęście i życie,  
 Gdy słońce zabłyśnie łaskawsze;

Lecz choć wy daleko odemnie wzleciecie  
Ja czekać tu będę was zawsze.  
Bo wiem to, że Boża nagradza nas ręka,  
Gdy drobnym od serca świadczymy;  
Więc czekać was będę u mego okienka,  
I sypać wam będę pożywne ziarenka,  
Żebyście nie zmarły śród zimy.

---

## N A U K A.

---

No, patrzaj braciszku, literka,  
A wiesz ty jak ona się zowie?  
Braciszek po boku coś zerka,  
Nauka mu jakoś nie w głowie,  
A siedzi jak gdyby na igle:  
Oj figle, braciszku, oj figle!

A jednak nauka rzecz wielka,  
Ją zawsze mieć trzeba na pieczy,  
Z kropelki się sączy kropelka,  
I wielkich dochodzi się rzeczy;  
By znaleźć to czego się szuka,  
Koniecznie potrzebna nauka.

Ot, doktor Kornelius — spójrz przecię:  
To człowiek ogromnie uczony,  
Jak jego szanują po świecie  
I wszyscy oddają ukłony!  
A chociaż ma brzydką twarz sowią,  
Przemądrym doktorem go zowią.

Ot widzisz, to taka robota:  
On doszedł do tego z literki,

A teraz jak maku ma złota,  
I dzieciom rozdaje cukierki,  
I łańcuch na piersiach mu świeci,  
Kochają go starsi i dzieci.  
A chociaż nie szlachcic on z rodu,  
Któż z niego to teraz odgadnie?  
Ale też się uczył za młodu,  
I umiał litery dokładnie,  
I jeszcze wciąż idzie tym torem....  
Czy chcesz być, braciszku, doktorem?  
To wielka pociecha i chwała,  
Mieć wszystko co człowiek pożąda...  
Lecz choćbym do jutra gadała,  
Braciszek po boku spogląda  
I siedzi jak gdyby na igle...  
Oj figle, braciszku, oj figle!

---

## GOŚCINNOŚĆ.

Ot widzisz, mateczko, choć pokój maleńki,  
Lecz dobrze tu, ciepło, wesoło.  
Na dworze wiatr świszczę ponure piosenki,  
I chmury zaległy w około.  
Tyś cała zziębnięta, przemokła i sina,  
Znać drogę odbyłaś niemałą,  
I z zimna się trzęsie ta biedna dziecina,  
Pobladył usteczka jak zwiędła malina  
I ciałko od wiatru skostniało.

Patrz, ogień jak u nas wesoło się pali,  
I skrzy się i świszczę i pryska;  
Jakbyśmy na ciebie, mateczko, czekali,  
Jest miejsce około ogniska.

Tu zasiądź, bo od drzwi chłodnawy wiatr wieje,  
Tu zasiądź przed ogniem na ławie,  
I wszystkie nam swoje opiszesz koleje,  
I ciepłą się strawą dzieciątko rozgrzeje,  
Co sama mu zaraz przyprawię.

Wygodne tu miejsce dla ciebie wraz zrobię  
I derkę ci miękką rozłożę...  
Co?... kruczka się boisz?... on warczy tak sobie,  
Lecz biednych nie kąsa... broń Boże!  
Patrz, dziadzio tam także, choć niby się złości,  
Choć niby spogląda ukośnie,  
Lecz duszę ma pełną chrześcijańskiej miłości,  
Bo kiedy do niego zawita kto z gości,  
Z pociechy aż serce mu rośnie.

Więc śmiało, mateczko... zabawisz tu z nami  
I sobie odpoczniesz do syta,  
Nam pusto i nudno, kiedyśmy tak sami,  
A z gościem sam Bóg w dom zawita.  
Więc twoje przybycie to chwila nam błoga;  
A w podróż nim ruszysz na nowo,  
Zmówimy pospołu modlitwę do Boga,  
By dalsza pomyślnie wypadła ci droga,  
I dziecię chowało się zdrowo.

---

## DZIEWCZYNA ZRYWAJĄCA KWIATY.

Wy, dzieci światła i wiosny,  
Wy, strojne barwą i blaskiem,  
Ponad Madonny obrazkiem  
W wianek was splotę radosny.  
Pieszczoty słońca majowe,  
Zerwane moją dziś dłonią;  
Woni i wdzięku królowę  
Otoczcie wdziękiem i wonią.

Kwiatku! czyś świadom swój doli,  
Czyś na ból czuły i rany,  
Gdy z swój łodygi zerwany,  
Więdziesz i zsyhasz powoli?  
Najdroższa wiosny ozdobo,  
Czy żal ci schodzić ze świata?  
Co dzieje kwiatku się z tobą,  
Gdy życie z ciebie ulata?

Wszak wiosna także ci błoga,  
Wszak w niej twe szczęście i zdrowie,  
W niej, czując nad sobą Boga,  
Chwalisz Go w wonnej twój mowie;

I w krótkich dni twych ostatku,  
Gdy przyjdą wichry jesieni,  
Bolejesz także, o kwiatku,  
Nad stratą złotych promieni.

Więc zanim pora miłosna  
Tym dniom ustąpi boleści,  
Dopóki sprzyja ci wiosna  
I słońce z tobą się pieści,  
Zrywam cię, kwiatku nieboże...  
Zgaśnij w równianków twych kole,  
W blasku i woni... a może  
Chciałabym dzielić twą dolę.



## BAŃKI MYDLANE.

---

O cudło!... już wzlata,  
Jak słońce świetlana,  
Przejrzysta, skrzydlata,  
Z barw jasnych utkana,  
Błękitem się mieni  
Szkarłatem połyska,  
Blask tęczy z ogniska  
Lśni snopem promieni.  
Wciąż w szersze pawęże  
Ku górze się toczy,  
Nie ścigną jój oczy  
Ni ręka dosięże.  
O cofnij swe dłonie!...  
Dech wstrzymaj!... bo biada!  
W powietrzu roztonie.  
Jak gwiazda co spada,  
I zniknie jak mgnienie nie ujrzysz jój już!

Marzenia wiośniane,  
Miłości i chwało!

*Poezye i dramata.*

Wy, bańki mydlane  
Świejące wspañiało!  
Przez jasne snów bramy  
Wzlatacie... i oto  
Już chciwie chwytny  
Wasz szkarłat i złoto;  
Rojenia z za świata  
Myśl barwi wesola  
I w niebo ulata  
Na skrzydłach anioła.  
Strzeż tchnienia, strzeż dłoni...  
Bo w chwilę, bo w jedną,  
Ten blask się przysłoni  
I barwy pobledną,  
Jak listki rozprysłe z więdających już róż.

---

## PRZĘDZIWO NAJŚWIĘTSZEJ PANNY.

---

Maryo przeczysta, Święta Panienko,  
Która naszego życia włókienko  
Na Bozkie zwijasz wrzeciono!  
Miej nas w swój pieczy, Matko jedyna,  
Wyproś nam, wyproś u swego Syna,  
Doleń od troski zwoloną.

My już czei Twojej z dawna oddani,  
I nie pragniemy, o niebios Pani!  
Purpury, blasku, ni złota,  
Ani tych uciech, które świat iści,  
Ani posłania z różanych liści  
Na twardą drogę żywota.

My pragniem tylko dożyć wytrwale,  
Ku dobru wszemu, ku Bożej chwale,  
Co w sercu źródło cnot szczepi;  
Pragniem, by godłem była nam praca,  
I miłość, która życie ozłaca,  
I wiara, która je krzepi.

---

## JEZUS U CIEŚLI.

---

Zbawicielu jasny świata!  
Ty trudziłeś młode lata  
W ciężkiej pracy ziemskiej;  
I dziecinne rączki Twoje  
Polubiły krwawe znoje  
Jezu betleemski!  
Spuśćże łaskę Twą na ludzi,  
Niech ta praca, która budzi  
Źródło uciech czyste,  
Gwiazdą będzie nam przewodnią,  
Niech nie upadamy pod nią,  
Spraw o Jezu Chryste!

---

## G W I A Z D K A.

---

Bóg się rodzi,  
Gwiazda wschodzi,  
I zwiastuje błogi czas;  
Chwała Tobie,  
Jezu w żłobie,  
Boś odkupić przyszedł nas.  
Niechajże Ci za to, Chryste,  
Wszelkie ludzkie serca czyste  
Ku Twój chwale biją wraz.

Hejże z dary,  
Młody, stary,  
Niech człek wszelki śpieszy tam,  
W imię Boże,  
Jak kto może,  
Bo zaprawdę mówię wam:  
Wszelkie dary i pokłony  
Jezus w żłobie narodzony,  
Do niebieskich odda bram.

Czemuż, Panie,  
Tak na sianie  
W mizeroście chwała Twa?  
Wszystko w świecie,  
W, wyż się miecie,  
Gdzie wygodę swoją ma,  
A Ty... jasne światło ziemi  
Z małuczkiemi, z ubogiemi,  
Wszędzie kędy dola zła.

Bo Twe, Panie,  
Królowanie,  
To zniszczone wszelkie zło;  
A Twój szaty  
Skraj bogaty,  
Człowieczeństwo całe to;  
A klejnoty Twój korony,  
To ród ludzki zatracony,  
Coś odkupił Twoją krwią...

---

## G W I A Z D K A.

---

Gwiazdka wschodzi na niebiosą,  
Nędzę krzepi Boża rosa  
A roztrąca cienie blask —  
Niech i dla nas dzień ten wciela  
Słowo życia Zbawiciela,  
I okruchy Jego łask!

\*

\*

\*

Prawi ludzie Chrystusowi,  
Niechaj się wam dzisiaj wznowi  
Oczyszczenia święty chrzest;  
Niech ku dobru was obraca  
Krzepicielka ducha — praca,  
I wiara, co zdrowiem jest!

---

## TE S K N O T A.

---

Matuchno moja kochana,  
Moje ty skarby, tysiące!  
Już słońce świeci od rana,  
I kwiatki kwitną na łące!  
A i w ogródku wesoło,  
Ptaszki świegocą miluchno,  
I wszystko śmieje się wkoło,  
Moja matuchno.

\*

\*

\*

A we mnie jednak, a we mnie  
Jakiś niepokój się szerzy.  
Chcę go uciszyć daremnie,  
Zmówiłam parę pacierzy;  
Lecz myśli krążą w nieładzie,  
To cichną, to znów wybuchną,



Na sercu ciężar się kładzie,  
Moja matuchno.

\*

\*

\*

Co to jest, powiedz jedyna?  
Czy to tak idzie już z wiekiem?  
Przeciemże sobie dziewczyna  
Zdrowa, jak mówią, krew z mlekiem,  
A czuję w piersi, że oto  
Serce się pali na próchno  
Nieznana jakąś tęsknotą,  
Moja matuchno.

\*

\*

\*

Wszak to już szósta niedziela,  
Tak mi niedobrze się czyni;  
Od tego oto wesela,  
Co družkowałam Maryni...  
Oj kiedyś znów mnie powiodą  
Na ślub... lecz nie chcę być druchną,  
Wolę już być pańną młodą,  
Moja matuchno.

---

J. I. Kraszewskiemu.

---

Wiek to przełomów, w żelazo zakuty,  
Po nad przeszłością dumnie wznosi głowę;  
Łamiąc co było... gruz wtłacza do huty,  
Aby na kształty przetopić go nowe.  
Tych pragnień niczém niewstrzymana fala  
Przytłumia płomień wiekowego znicza,  
Zrywa z tradycją, posągi obala  
I wartość ludzi na giełdzie oblicza.

Gmach nowy pracy obszary zalega,  
Lecz aby wieże w górę nie wybiegły,  
Strychulec ludzki od brzegu do brzegu  
Wszystkie wydatne poobcinał cegły;  
Odkrycia mają patentowe mjano,  
Młodym orlątkom wyskubano pierze,  
Twórczość w wojskowe wyłogi przybrano  
I myśl w koszarach legła na kwaterze.

Człowiek to cyfra... trzepece się marnie,  
Zatknięty w karton, jakby ćma na igle.  
Rozum zaledwie to tylko ogarnie,  
Co zdoła wtłoczyć w doświadczenia tygłe;

Dusza się w szarą materję przybrała  
 I zapał w ciele przytłumiła młodém,  
 Poezya bowiem jest na mózgu wrzodem,  
 A miłość ślepém przyciąganiem ciała!

W tych smutnych czasach, co się głazem plemię,  
 Co zgmiotły wiarę i starły nadzieje,  
 Gdy wielkich szukać nam trzeba pod ziemią,  
 Bo schnie na ziemi wszystko i karleje,  
 Kiedy myśl w ciasnym obraca się wątku,  
 Kiedy zasludze tak trudno się ostać:  
 W tym naszym ciemnym i głuchym zakątku  
 Wyrosła jedna promieniująca postać.

Mężu! ty siłą i potęgą ducha  
 Dźwigasz gmach, który wieki osłabiły!  
 Dźwięków twój lutni pięć pokoleń słucha  
 I pięć pokoleń krzepi niemi siły.  
 A gdy zwątpienie zaciąży nad niemi,  
 Ty, starzec, zdala rodzinnéj zagrody,  
 Jako Anteusz dotknąwszy się ziemi,  
 Powstajesz rzeźki, i krzepki, i młody.

Nie dziw więc, że tu, pod domową strzechą  
 Myśli i czucia wciąż ku tobie biega;  
 Że z serc narodu wyszło jedno echo,  
 By w tobie witać patryarchę swego,  
 I że gdy rzucisz ciężkich trudów brzemię,  
 Ozwą się zgodne potomności chóry:  
 „Była zła chwila, lecz żył człowiek, który  
 „Wskazał zbłąkanym obiecaną ziemię.”

## Na śmierć Aleksandra Fredry.

---

Są ludzie jaśni światłem duchowém,  
Których nad innych ukochał Bóg,  
Bo im pozwolił czynem lub słowem  
Rozświecać ciemnię światowych dróg.  
Życie około tych gwiazd przewodnich  
Tryska na jedno słowo lub gest,  
Albowiem wszystko, co wyszło od nich,  
Krzepi się w ludziach, żyje i jest.

Na scenie była cisza grobowa,  
Gasnęło życie i martwiał ruch,  
Tyś się ukazał, o mistrzu słowa!  
Tchnąłeś — i w scenę wraz wstąpił duch.  
Naśladownictwo o licu bladém,  
Obcą nam pracą kazało żyć...  
Tyś się ukazał... a twoim śladem  
Polskiej komedyi sprzęgła się nieć.

Po nad łoż ludzkich ciemną otchłanią,  
 Po nad szeregiem bezpłodnych lat,  
 Współczując nędzom, co serca rania,  
 Wierząc, że w bolu dźwiga się świat,  
 I że gdzieś w dali świetlane zorze  
 Już odrodzenia jutrzrenką lśnią, —  
 Rzuciłeś śmiechy na cierpień morze,  
 Jako Bóg gwiazdy na nocy tło.

Tak walcząc ciągle, wytrwały w boju,  
 Krwawych szeregi przeszedłeś prób;  
 Aż zawołałeś wreszcie: „Spokoju!”  
 I przyszedł spokój, bo przyszedł grób.  
 Ale, dusz ludzkich wielki artysto,  
 Żyjesz, boś przyjął wieczności chrzest...  
 Grób, co dla innych ciemnią wieczystą,  
 Dla ciebie światłem wieczystém jest.

To, czego łaknie człowiecza dusza,  
 To, co pokrywa mityczna noc,  
 Tyś zdobył śladem Prometeusza,  
 Boś wykradł Bóztwu tworzenia moc...  
 Z pośród tych, których wawrzyn upiękniejszy,  
 Z pośród prac ziemskich i ziemskich chwał,  
 Ten był zaprawdę z ludzi największy,  
 Co swego życia najwięcej dał.

Więc cię witamy w tym twoim domu,  
 Boć to jest prawa dziedzina twa,

Bo tutaj z nami gościsz widomie,  
Bo wszędzie tutaj myśl twoja drga.  
Twojego godła wieki nie zedną,  
Próżno ponad niém przepłynie czas,  
I wiecznie z nami żyć będzie Fredro,  
Dopóki sztuka żyć będzie w nas!

---

Do \*\*\*

---

Hojnie zroszonej łąką męczeńską ziemi  
Potrzeba kwiatów z barwami jasnemi,  
Z których woń czysta w niebo promienieje,  
Roznosząc wkoło zdrowie i nadzieje.  
Szczęśni, dla których ów kwiat wdzięczny rośnie!  
Tyś nam zabłąsła w młodocianej wiosnie,  
Niech więc ci życie w pasmie nieprzebytém  
Będzie uśmiechem, światłem i błękitem.

---

Do \*\*\*

---

Pytałaś, czemu w formie odwiecznej  
Myśli się ludu cisną i gniotą?  
Czemu zamyka wiary swój złoto  
W prostych obrazkach, w piosnce serdecznój?  
Czemu w prostocie swojego ducha  
Kształtem dóczesnym uczucie plami?  
Czemu duch jego widzi zmysłami  
I serce jego zmysłami słucha?  
Pytałaś, czemu ten gmach z kryształu  
Kędy zaklęty duch gminnej pieśni,  
Pokryty pyłem odwiecznej pleśni  
Uniewidocznia się nam pomału?  
Lecz gdy poezya skrzydły białemi  
Trąci o jego twarde sklepienia,  
Pod różzczką świętą, jak w judzkiej ziemi  
Zdrój czystej wody tryśnie z kamienia.  
Słuchaj: w tych pieśniach tkwi niedościgle  
Pierwszy pierwiastek Bożkiej istoty,  
Co gdy go zamkną w oświaty tygłe  
Utraci odbłask swój szczer-złoty.



Prosty jak dyament, jak dyament czysty  
 I jak on wyrósł w mule i piasku;  
 Żadna oprawa sztuczna artysty  
 Promieniom jego nie doda blasku;

On swój wartości istnój nie zmniejszy,  
 Chociaż dotknięty ręką skalaną,  
 I tém jest czystszy, tém jest jaśniejszy,  
 Im go w mniej sztucznych ozdób przybrano.

Ale lud prosty, krzepkiego ciała,  
 Pracując myśli, działając słucha,  
 I tylko wtenczas pojmuje ducha,  
 Gdy duch przez zmysły na niego działa.

Dusza w nim mieszka tkliwa i szczerą,  
 Lecz się z powłoką wiecznie boruka,  
 A pieśń i słowo, myśl i nauka  
 Ziemskie dla niego kształty przybiera.

Więc obraz ludu pieśni i mowy,  
 Co złączy razem te wszystkie zlepki,  
 Jak on być musi ostry i zdrowy,  
 Jak on być musi jędrny i krzepki.

Toż jeśli chwili nie żal ci trudu,  
 Gdy pieśń chcesz poznać w jej szczerój nucie,  
 Posłuchaj jakie myśli są ludu,  
 A poznasz jakie ludu jest czucie.

## Do młodego malarza.

---

Bracie po sercu, coś pendzla mową  
Umiał natchnienie w kształt przybrać ciała,  
Duszo artysty, coś przypadkowo  
Na ten się prozy świat przybłąkała, —  
Od ciebie w zgodnej, serdecznej nucie  
Zapał dziś w piersi przeniknął moje;  
Więc myśli wspólne, więc wspólne czucie  
Dla ciebie dzisiaj w wyrazy stroję.

\* \* \*

Pendzel i pióro to dwa znamiona,  
Przez które sztuka najsilniej działa;  
One objęły w swoje ramiona  
Ogrom martwego ludzkości ciała;  
Przez nie promienném natchnieniem żywa  
Dusza artysty nad poziom wzłata;  
Przez nie w niestarte spaja ogniwa  
Dzieje przeszłości i przyszłość świata.

\* \* \*

Lecz gdy z swój duszy malarz wydiera  
 Rysy, co szybko na płótno biega,  
 Kiedy pod dłonią ożywczą jego  
 Myśl poetyczna ciała nabiera,  
 Kiedy posłuszny pendzel natchnieniu  
 Śmierć obrazuje lub życie krésli,  
 Mgnienie uchwycił, ale w tém mgnieniu  
 Wybłysła całość serca i myśli.

\* \* \*

Bo przez tę kartę w naturze ryta  
 Wrażenie w ludzi ciśnie się gwałtem,  
 I bije w oczy widocznym kształtem,  
 I pali serce myślą ukrytą.  
 Bo czy się ludzkich cierpień uzali,  
 Czy proroczego zaczerpnie tchnienia,  
 Musi pobladnąć lice z kamienia,  
 Musi zapłakać serce ze stali.

\* \* \*

Nie taka silna słowa potęga,  
 Co pali piersi śpiewu potrzeba;  
 Bo myśl poety, choć w niebo sięga,  
 Nie każdy za nią podaży w niebo, —  
 I choć natchniony świętym zapalem,  
 On słowo w siebie przyjmuje Boże,  
 Do marnych głosek przykuty ciałem,  
 Ducha wyrazić w ciele nie może.

\* \* \*

Dla tego płomień poezji święty,  
 Ukształtowanie wiecznie oziębi,

Duch w idealne formy ujęty  
 Rzadko przemówi do duszy głębi;  
 W niwecz złociste zczeszna marzenia,  
 Bo każdy w ludzi zwyczajnych tłumie  
 Słyszy wyrazy, rachuje brzmienia,  
 Lecz z nich wydobyć serca nie umie.

\* \* \*

Lecz gdy fantazyą malarza rzutną,  
 Pendzel wydatnie rysy utrwali,  
 Skryształizuje myśl się na płótno,  
 Bo tam jest napis: „Nie pójdiesz dalej!”  
 I jakby w jakimś czarownym kole,  
 Kiedy się całość objęła razem,  
 Z uczuciem w sercu, z myślą na czole  
 Każda już postać została głazem.

\* \* \*

Bo kiedy ufny w swęj twórczej sile,  
 Natchnienie swoje przyodział w ciało,  
 Gdy prawdy życia uchwycił chwilę,  
 W téj chwili życie już skamieniało.  
 Myśl się za jednym urwała ciągiem,  
 I jak biblijna owa niewiasta,  
 Musi spoglądać martwym posągiem  
 Na karę Bożą, na pożar miasta.

\* \* \*

A gdy odłamy myśli i wrażeń  
 Poeta z piersi wydziera swój, jej,  
 To przed nim ludzkość rozwartą stoi  
 W swęj różnobarwnęj tkance wydarzeń.

Bo mu kres tylko u tego proga,  
Gdzie myśli ludzkiej promienie bledną,  
Bo jednym ciągiem połączył w jedno  
Przeszłość i przyszłość, człeka i Boga.

\* \* \*

Tak gdy malarstwo natchnień potęgą,  
W kształt uwidocznia myśli odbicia,  
Poezya jest tą niestartą księgą,  
Gdzie wypisana jest całość życia.  
Oboje dążą do jednej mety,  
Choć się ta dążność różnie wyraża;  
Malarz marzenia wciela poety,  
Poeta wieńczy dzieło malarza.

---

PIERWSZY KWIETNIA.

---

Wy, którzy  
Spoglądacie w ziemskie życie,  
    Jak w cudo,  
I marzycie i gonicie  
    Za złudą;  
Lada drobny promyk słońca  
Dla was w barwy się uświetnia,  
I czekacie z niebios gońca...  
Niechajże wam pierwszy kwietnia  
    Nie chmurzy.

Dla ludzi,  
Kiedy śniegi roztopnieją  
    W przestrzeni,  
Wszystko jasne jest nadzieją  
    Z promieni.  
Wiosna ziemię uszlachetnia,  
W górę serca, myśli w górę!...  
Lecz napędził wichur chmurę

I śnieży... to pierwszy kwietnia  
Was ludzi.

Więc sobie,  
Gdy wam wiosna z rąk odwiecznych  
Się ściela,

Nie rachujcie dni słonecznych  
Zbyt wiele.

Wiecznie stary, wiecznie świeży  
Świat odmładnia się na chwilę...  
Dla was szczęścia tylko tyle...  
Pierwszych kwietnia ileż leży  
Już w grobie!...

---

Festina lente.

---

Gdy drżąca matka nad twoją kołyską  
Słowa modlitwy odśpiewuje święte,  
Niebo ci zdala a ziemia ci blisko,  
Festina lente.

O, szanuj młodość!... młodość to zjawisko,  
Co we mgłach tonie zaledwie poczęte;  
Mdły podróżniku przez drożynę ślizką  
Festina lente.

Nad twardą pracy pochyłony glebą  
Krzep wątle siły walką z światem zmięte,  
Odszukuj w sobie zatracone niebo,  
Festina lente.

A choć dojrzeje ziemską twoją pracą,  
Choć wkoło ciebie kłosa dzieł twych zżęte,  
Jeżeli miłość dni twoje ozłaca,  
Festina lente.

---



## ROK 1877.

Pan to wielki i groźny, bo z dziada pradziada  
Długa się za nim ojców rozpiera gromada;  
Wyryli ślad głęboki na zoranj ziemi,  
Ciężyli nad ludzkością dłońmi żelaznemi,  
I szli, kędy nieznana prowadziła droga  
W łzach pokoleń, w krwi ludów, w zaparciu się Boga.

Mąż to krzepki i dzielny, bo po za nim zdala  
Zdobyczy ludzkiej wiedzy złota płynie fala,  
Pod berłem jego przodków ludzkość idąc społem,  
Ziemię murem obwiodła, do gwiazd sięga czołem,  
I moce zawieszono nad ciemną otchłanią  
Ujarzmiła, by kornie pracowały na nią.

Prawe to Boga dziecię! po nad jego głową  
Lśni prawda spromieniona mądrością wiekową.  
Wielkie jego pradziady przez mgły tajemnicze  
Dążyły tam, gdzie Boże prześwieca oblicze,  
I z nich zapełnion słowem, co pustynie żyźni,  
Wzrósł w glebie niewolnictwa Chrystusowy bliźni.

O roku, co z nieznanéj wypływasz nam toni,  
Co dźwigasz wawrzyn chwały lub miecz groźny w dłoni!  
Jakabądź przyszłość z twego wysnuje się łona,  
Bądź lekkim dla ludzkości, co pada znużona,  
I uczyni, by przez pracę lat tylu ofiarną  
Z téj ziemi, zwilgoconéj łzami, trysło ziarno!

---

## TEŚKNOTA.

---

Szronem zimowym pokryta gleba,  
Wieje na dworze wiatr ostry.  
Dajcie mi, siostry, gwiazdeczkę z nieba,  
Gwiazdeczkę dajcie mi, siostry!  
Wszakże się znajdują tam gwiazdki jeszcze?  
Wszakże nie wszystko kir mroczy?  
Ponad łożeczkiem tu ją umieszczę  
I patrzeć będę jój w oczy.

A gdy uśpioną ziemię boleśnie  
Nocne ogarną zawieje,  
Z jasnój téj gwiazdki poczerpię we śnie  
Przyszłej pogody nadzieję.  
Potém promieniem słońca odżywię  
Osłabły blask jój co rano,  
I pielęgnować będę troskliwie  
Tę moją gwiazdkę kochaną.

Wszystko dokoła mgła kryje biała,  
Próżno ją przejrzeć się siłę...

Smutno mi, smutno! O, jabym chciała  
Odżyć do światła choć chwilę.  
Rozweselenia chciałabym łezką  
Wiosny domodlić się hasła...  
Dajcie mi, siostry, gwiazdkę niebieską,  
Żebym bez światła nie zgasła.

---

## ZAKŁĘCIE DZIEWICY

(W noc Świętego Andrzeja).

---

Snu ołów ciężą nad powieką,  
Czynności dziennych rwąc już sznur,  
A myśl pobiegła gdzieś daleko  
Za rojem marzeń, nocy cór.  
Wydzwonił północ młot Saturna,  
Otworem stoi złudzeń urna.  
Przyszłości! wzywam ciebie chmurna,  
We wróżb się dla mnie ozwij wtór.

Lecz zanim żywą weźmiesz postać,  
Zanim wysnujesz kształty z mgły,  
Z marzeniem dozwól chwilę zostać,  
Niech związę w tkanę złote sny.  
Niech ją anieli w blask ubiorą,  
Niech je źrenicą przejrzą skorą,  
Czém będzie — zgubą czy podpora?  
Co niesie — szczęście albo łą?...

Na stałość w doli i niedoli  
 Wiernój mu siły przynieś chrzest;  
 Niechaj w nim będzie wzrok sokoli,  
 Szlachetne słowo, dumny gest,  
 A krusząc piersią świata lody,  
 Niechaj nie pragnie cudzej szkody,  
 I niechaj duchem będzie młody,  
 Bo duch zgrzybiały straszny jest.

A kiedy prawdą wieków starą  
 On będzie jako z kości kość,  
 Daj mu się prawą krzepić wiarą,  
 Odczuwać sercem, duchem rość;  
 Niech go omija złość zwierzęca,  
 Niechaj w nim dusza lśni dziecięca,  
 Niech nad niemocą się nie znęca,  
 Gdy w sobie siły uzna dość.

Na przekór tym co zdrowia szczędzą,  
 By utkać złotem życia nić  
 Niechaj pogardza lichą nędzą,  
 Co szuka życia, byle żyć;  
 A gdy za godłem, które wyzna  
 W sercu mu utkwí sroga blizna,  
 Niechaj omija go zgnilizna,  
 Bo lepiej umrzeć, niżli gnić.

Ty go opromień, Matko Święta,  
 W Twojej miłości jasną tkań,

Niech dusza światłem jój przejęta  
Zapragnie wszystko święcić dlań.  
A gdy nań jasno spojrzysz z góry,  
Będą w nim czyny jako mury,  
I będzie dla mnie dębem, który  
Podtrzyma słabą... Tak się stań!

---

## Na otwarciu trzeciego teatru w Warszawie.

---

Były to czasy, kiedy wysilona,  
Po krwi strumieniach i strumieniach łez  
Ludzkość, chcąc nowe wywalczać znamiona,  
Pragnęła ujrzeć cierpień swoich kres.  
Więc jako Łazarz z grobu wywołany,  
Strząsnęła z siebie walk przeciągłych chrzest,  
I licząc bole, rozpoznając rany,  
Pytała: kiedyż błogi spokój jest?

A w tém wołaniu o natchnienie Boże,  
A w téj rozterce ubiegłych już lat,  
My ubożuchni, najubożsi może,  
Poza innymi dążyliśmy w ślad.  
I gdy społeczność troszczyła się cała,  
By się pogodnie duch rozwijał nasz,  
Ktoś wyrzekł hasło, by na świat wyjrzała  
Rozpromieniona sztuki polskiej twarz.

Dawne to czasy... sto lat już ubiegło,  
Kiedy się zjawił w owych próby dniach



Maż, który z pierwszą pośpieszywszy cegłą,  
 Wzniósł długotrwały sceny polskiej gmach,  
 A jako śród chmur, które przeszłość słońią,  
 Sam dzielny w trudzie i wytrwały był,  
 Tak gmach ów, jego podźwignięty dłonią  
 Do dziś się ostał w pełni swoich sił.

Bywało niegdyś, że w ściany złoczone,  
 W których się bogów święty skrywał ród,  
 Rzucano środkiem szeroką zasłonę,  
 Po za nią mnogi gromadził się lud,  
 A kapłan do ust złotą niosąc czaszę,  
 Samych wierzących przyzywał do prób,  
 Wołając: „Czcijcie te świętości wasze,  
 Bo w nich jest życie, po za nimi grób.”

Dzisiaj przed wami jest zasłona nowa,  
 Lecz miasto złotych świeczników i czasz.  
 Niech tam ożyje piękna nasza mowa,  
 I swada nasza, i obyczaj nasz.  
 Niech jedną spójnią razem połączone  
 Będą dusz związkim i wskazówką dróg...  
 A więc odważnie odchylcie zasłonę,  
 A dobrym celom dopomoże Bóg.

## WIEK ŻELAZNY.

---

Dziś wiek żelazny... Twardą powłoką  
Krzepić się musi ludzkość wytrwała.  
Przez kraje ziemskie wstęgą szeroką  
Żelazna kolój świat opasała;  
Na zgubę ludzką metal zawzięty  
Twarde, zabójcze kuje pociski;  
Morze żelazne prują okręty  
I ludzkość prują żelazne zyski;  
Gmachy w żelazne belki się stroją,  
Skala pod świdrem żelaznym trzaska;  
Serca się kryją żelazną zbroją  
I twarze skrywa żelazna maska.

Kiedyż obroża się ta rozluźni?  
Kiedyż martwota się ta rozbudzi?  
Kiedyż przestaniem kuć dusze w kuźni  
I żądzą walki pancerzyć ludzi?  
Nad metalową skurczony glebą  
Człek leje działa lub ryje minę...  
Dajcie nam światła choć przez szczelinę,  
Niech świat stęskniony zobaczy niebo!

---

## Ś M I E C H.

---

Śmiech to miecz ostry — którym surowo  
Karzą się ludzkie błędy i złości;  
A kędy echo jego zagości,  
Tam głupstwo staje z odkrytą głową,  
I tracąc siły w krwawej szermierce,  
Czuje jak pocisk godzi mu w serce.

Śmiech to pocięcha — gdy na bezdroże  
Rzucone losy jeżem się kładną,  
Gdy w ciężkiej walce upaść jest snadno,  
Jeszcze nie upadł, kto śmiać się może,  
Jeżeli tylko wiernie a szczerze  
Śmiech z czystych źródeł początek bierze.

Śmiech to potęga — ziemskie półbogi  
Panują ludom w promiennój zorzy,  
Gdy im się wszystko usuwa z drogi,  
Gdy świat się cały przed nimi korzy,  
Śmiech utajony wybuchnie zdradnie  
I cała wielkość ta w proch upadnie.

Śmiech to lek dzielny — gdy dola sroga  
Nad ludzką nędzą ciąży ołowiem,  
Gdy każda inna zaparta droga,  
Śmiech pozostaje, a śmiech jest zdrowiem;  
Bo jako gwiazda rzucona na tło  
Nocy — przez chwilę da ujrzeć światło.

---

## PIERWSZA ZMARSZCZKA.

O płci niewieścia, kobiety! kobiety!  
Któż z wami powie ostateczne słowo?  
Zanim raz dojdzie pożądanéj mety  
Sto razy drogę rozpocznie na nowo;  
Kto z wami myślą i uczuciem zbratan,  
Ten wam pod nogi władzy rzucił godła;  
Jeśli kobietę w raj u skusił szatan,  
Toż ona potém aniołów uwiodła.

Gdy Stwórca ziemi dał stworzeń koronę,  
Chcąc ją kobietą ozdobić jak perłą,  
Dał jéj myśl czystą, serce nieskażone,  
I piękność ciała, królowania berło.  
Lecz do niéj drzewo śmiało się jabłoni  
I wąż pokusy czekał już u drzewa...  
Szatan przemówił, i zgrzeszyła Ewa...  
O, ileż jabłek nazrywano po niéj!...

Kobieta, to jak parabola komet,  
Co niezbadaną wiecznie nam zostanie;  
Kobieta, tak jéj lękał się Mahomet,  
Że ją wykreślił z raj u w Alkoranie;

Kobieta... ale przejdę już do treści,  
 Bom, widzę, od niej za nadto oddalon,  
 A najtrudniejszy początek powieści.  
 Było to z rana po dziesiątój; salon...

Otoż nie salon, lecz buduar kobiecy,  
 Co wymyśliły nowożytne wieki,  
 By na téj w życiu odtańczonej hecy  
 Krył miłość skrzydłem tajemnej opieki.  
 Ów buduar, w którym myśmy utopili  
 Naszą odwieczną prostotę sarmacką,  
 Skarbnica gustu i wykwintu cacko,  
 Gdzie dramat cały w jednej miga chwili.

Tam tęcza światła nieśmiała i drżąca  
 Zwolna przebija szyby malowane,  
 I różnobarwnie łamiąc się potrąca  
 Jedwab' lub złoto, szkło lub porcelanę.  
 Tam dziwnym szaleńcem woń upajająca  
 Zewsząd ogarnia zmysły rozkochane;  
 Tam duch rozkoszy, krążąc nad powałą  
 Kołysze duszę... a rozbudza ciało.

Skarbnica gustu, gdzie nagromadzone  
 Myśli kobiece, co w kształty nawisły,  
 Owe salonów zabawki pieszczone,  
 Owe bogactwa i zbytku wymysły,  
 Nielad w porządku ułudny i zdradny,  
 Bo myśl w człowieku krępuje i wolę;  
 Jak w czarodziejskim zagrożony kole,  
 Próżno w niem szukasz nitki Aryadny.

A bóstwo owéj uroczej świątyni,  
 Na cześć którego te ołtarze stoją,

A piękna czarów i cudów mistrzyni,  
 Co tu ożywia wszystko myślą swoją,  
 Która przed serca twojego oczyma  
 Umiała zalśnić szczęścia przepowiednią,  
 Co cię na nitce woli swojej trzyma,  
 To jest kobieta... na kolana przed nią.

Na miękkim puchu zamorskich jedwabi,  
 Skłoniwszy głowę, pochyliwszy kibić,  
 Z tym wzrokiem, co tak czaruje i wabi,  
 Żebyś chciał serce do jój oczu przybić,  
 Jak biały posąg z pod rzeźbiarza dłuta,  
 Ona siedziała, a w ciszy uroczej,  
 Myśl błędna w głębi jój serca wysnuta  
 Wybiegła w przestrzeń i lżą skryła oczy.

Jeśli kobiety zamglona powieka,  
 Jeżeli myśl jój za marami goni,  
 O, wówczas bracie bądź pewien, że do niej  
 Szczęście nie przyszło, albo już ucieka.  
 Bo ta, której się miłość rzeczywiści,  
 Już ideału pokochać nie może,  
 A kiedy serca kwiat opada z liści,  
 Wspomnienie w marzeń wybiega bezdroże.

A była ona w téj już porze życia,  
 W której uroda, w której wdzięk kobiety  
 Do zupełnego przychodząc rozwicia,  
 Pierwszą swą świeżość już tracą niestety;  
 Gdy wszystkie siły i ciała i ducha  
 Czasby pragnęły powstrzymać najdłużej,  
 Kiedy głos jakiś wciąż szeptem do ucha:  
 „Dopóki można, życia jeszcze użyj!”

O, lat czterdzieści! to twarda opoka,  
 O którą życia rozbija się fala;  
 Gdy młode dziewczę patrzy na nią zdala  
 Słońce jest jasne a droga szeroka;  
 Lecz kiedy znika w tej duszy niewieścięj  
 Świeżość, a serce odbieżyło od nięj,  
 Jakby przy blasku piekielnęj pochodni,  
 W ogniste głoski świeci lat czterdzieści.

Wówczas się dusza do przeszłości wraca,  
 A gmachu złudzeń rysują się cegły;  
 Wszczyna się owa Syzyfowa praca,  
 Co dzień bieżący kładąc na ubiegły,  
 Każdą godzinę rozpaczliwie liczy,  
 I wszystkie siły w walce trawiąc marnie,  
 By najdrobniejszej chce bronić zdobyczy,  
 Co czas zwycięzca pod swą władzę garnie.

Snadź i jęj smutne muszą być marzenia,  
 Bo w odblask myśli, co się w sercu chowa,  
 Pierś się nieznacznie wzdeła do westchnienia,  
 I usta ciche wyszeptały słowa:

— „Czyż zaszła zmiana śród świata i ludzi?  
 Daremno szukam, rozmyślam daremno,  
 Jakoś mnie wszystko i dręczy i nudzi,  
 Mój miły Boże, cóż się dzieje ze mną?”

To mówiąc wstała, i niepewnym krokiem,  
 Przeszła po miękkim tureckim kobiercu,  
 Jak gdyby błędnym upatrując wzrokiem  
 Miejsca, gdzie lekko byłoby na sercu.  
 Chciała myśl zebrać, zbywało na sile;  
 Powiodła ręką po licu wybladłém,



Znowu stanęła, odpoczęła chwilę,  
I znów usiadła... lecz już przed zwierciadłem.

A było ono przecudnej roboty:  
Ramy ze srebra misternie rzeźbione  
I dwóch aniołków trzymało koronę,  
Pod którą błyszczał hrabiowski herb złoty.  
Wokoło niego, jak wkoło ołtarza  
Nagromadzone piękne i wabiące  
Owe przyborów kobiecych tysiące,  
W których się życie światowe wyraża.

Więc pukle włosów odchyliwszy w stronę,  
Długo wlepiła spojrzenie ciekawe  
W te rysy blade, czyste, lecz zmęczone,  
W te oczy wielkie, piękne, ale łzawe.  
I nagle jakby przed sobą ujrzała  
Straszliwą postać jakiegoś widziadła,  
Krzyknęła dziwnie... i drżąca, strętwiała,  
Twarz nachyliła jeszcze do zwierciadła.

Na gładkiem czole, ponad śnieżną skronią,  
Co pukle włosów odsłoniły płowe,  
Którą natura szczodrobliwą dłonią  
Ulała w piękne kształty marmurowe,  
Jak lekka skaza, którą wprawne oko  
W pięknym posągu ledwieby dojrzało,  
Widniała zmarszczka wryta głęboko,  
Co się w te białe korzeniła ciało.

Wódz, gdy przeciwnik podejdzie go zdradnie,  
Artysta, kiedy parter go wysyka,  
Jeździec, gdy z konia na wyścigach spadnie,  
Poeta, gdy nań sroży się krytyka,

Kochanek, kiedy straci już nadzieję,  
 Wszystkie męczarnie i wszystkie boleści  
 Nie wyrównają rozpaczy niewieści,  
 Gdy młodość znika, a piękność więdnije.

Wtedy jój wszystkie złudy i marzenia  
 Zimny wiatr prawdy zwieje do otchłani;  
 Życie, co dotąd rajem było dla niój,  
 Odtąd w bezdenne piekło się zamienia.  
 Wszystko co w świecie czciła i kochała  
 Biedne to serce udęcza i płoszy,  
 I cała próżnia światowych rozkoszy  
 I cała marność królowania ciała.

A więc się dziwić nie można, że ona  
 Pod tym ciężarem uchyliła głowę,  
 Że utraciła wzrok, czucie i mowę,  
 Jakby w kamienną bryłę zeskalona.  
 Zmartwiało ciało, lecz w żyjącej duszy  
 Dwie myśli tkwiły w różnobarwnych szatach:  
 Raz owa przeszłość, co śniła na kwiatach,  
 To znów ta przyszłość, co śniegami prószy.

Ale o dziwo! choć zmysły zmartwiały,  
 Oczyma ducha widzi w osłupieniu,  
 Jak za zwierciadłem, powoli, w półcieniu  
 Obłok się lekki unosi i biały.  
 I mgliste w okrąg obsłony roztoczy,  
 Preży się, rośnie, bije o sklepienia,  
 W żywotne kształty zlewa się z przezroczy  
 I dźwięczy szmerem, który w śpiew się zmienia.

## Śpiew.

Śród światła i blasku,  
 Jak w morzu żdźbła piasku  
 Rodzina tak nasza skrzydlata;  
 W nas życie się wciela  
 Młodości wesela  
 I wszystkich jaśniających barw świata.  
 My ziemskim tchniem duchem,  
 Bo wiecznym łańcuchem  
 Związani ku matce, ku ziemi;  
 Wir zabaw światowych z nicości nas budzi,  
 My żyjem dla ludzi i myślím przez ludzi  
 I czujem zmysłami ludzkiemi.

Kobięte z dziecięcia  
 Przyjąwszy w objęcia,  
 W światowe prowadzim ją progi,  
 Dopóki w nięj gości  
 Blask pierwszój młodości,  
 My życia torujem jęj drogi.  
 Dodajem jęj skrzydła,  
 By w ziemskie mamidła  
 Miłosnym wybiegła zapalem,  
 W marzeniach ją błogich kołyszem wspaniało,  
 Tchnąc żądze na myśli a rozkosz na ciało,  
 Panujem nad myślą i ciałem.

My wijem koronę, do którój wplecione  
 Miłości, uśmiechy, wejrzenia,  
 Uciechy godowe,

I słówka miodowe,  
 I serca i zmysłów zachcenia.  
 Tak rój nasz skrzydlaty,  
 Szybując nad kwiaty,  
 Piosenką brzmi ciągle biesiadną;  
 Lecz smutek nas mrozi a starość odstrasza,  
 Znikamy, gdy piękność przyćmiwa się wasza,  
 Jak liście gdy z drzewa opadną.

Głos (*ze zwierciadła*).

Ja jestem prawdą.... a były chwile....  
 Wszakże pamiętasz.... to nie tak dawno, —  
 Gdy, uśmiechając się do mnie mile,  
 Włos płowy ręką treflaś wprawną.  
 W oczekiwaniu, lgnąc duszą całą,  
 Czas wyzywałaś, żeby biegł króciój....  
 O! tyś się wówczas mnie nie lękała!...  
 Przeszło to, przeszło....

Głos (*z figurki porcelanowej, wyobrażającej  
 Minerwę*).

I już nie wróci.

Głos (*ze zwierciadła*).

Ja jestem prawdą. W nocy czy we dnie  
 Usługa moja była gorliwa;  
 Już świeżość lica twojego blednie  
 I blask twych oczu już się przyćmiéwa.  
 Więc kiedy możesz, korzystaj ze mnie,

Dopóki pora, póki ci służyć,  
Bo wkrótce wzywać będziesz daremnie:  
Młodość trwa krótko...

Głos (z flakonika).

Ja ją przedłużę.

Głosy (ze szkatulek srebrnych z różnemi przy-  
borami, do toalety damskiej potrzebnemi).

Głos I-szy.

Ja wracam świeżość.

Głos II-gi.

Ja gładzę lica.

Głos III-ci.

Ja umiem zmarszczki ścierać ze skroni.

Głos IV-ty.

Przezemnie twarz się rumieńcem płoni  
I żywym blaskiem iskrzy źrenica.

Głos (ze zwierciadła).

Nie ludź się, nie ludź próżną nadzieją:  
Sztuka nie zdoła sprostać naturze;  
Wszakże królowe kwiatów są róże,  
Lecz któż je wskrzesi, kiedy zwiędnieją?

Więc próżne trudy, daremna praca,  
Już nie odżywisz wdzięków na nowo,  
Piękność uchodzi.

Głosy (*ze szkatulek*).

Przez nas powraca.

Głos (*z pudełka z drogiemi kamieniami*).

I znowu będziesz wdzięków królową.

Głos (*ze zwierciadła*).

Ja jestem prawdą. Z tych chwil, co biega,  
Każda unosi część twoich marzeń;  
Któż wskrzesi bicie serca twojego?  
Świeżość twych myśli? rzewność twych wrażeń?  
Choćbyś zdołała w ciele niemłodém  
Wskrzesić gasnącą wdzięków urodę,  
To serce skrzepnie starości lodem  
I zamrze.

Głos (*z pięknie oprawnych dzieł Jerzego Sand'a*).

Serce wiecznie jest młode.

Głos (*ze szkatułki z koronkami*).

Bo cóż to młodość? dziewczęciem bożém,  
Tyś przez nią z czasu przebiegła stratą...  
Dziś doświadczenie przychodzi za to:  
Zrobisz, co zechcesz.

Głos (*z woreczka z pieniędzmi*).

A my pomożem.

Głos (*ze zwierciadła*).

A więc chcesz w walce żyć nieustawniej,  
Z duszą znudzoną i sercem suchém,  
Przystrajając strzępy świeżości dawniej?  
Dawnych się uczuć żywić okruczem?  
Jakaż to droga smutna i twarda,  
A po niej otchłań łez i boleści!...

Głos (*z szeszląga aksamitem obitego*).

Kwiat życia kobiet to lat czterdzieści,  
Czytaj Balzaka, czytaj Bernarda.

Głos (*ze sztychu Ninon de Lenclos wiszącego  
na ścianie*).

Rozkoszy miłość nie pojmie płocha,  
Ogień namiętny trwoniąc bezpłodnie;  
Kiedy krew z wiekiem w żyłach ochłodnie,  
Lepiej się żyje, silniej się kocha.

Śpiew.

Korzystaj i użyj,  
Dopóki czas służy  
I skrzydła mu kępaj motyle;  
We wdzięki bogata  
Żyj przez nie dla świata,

Nim serce twe złożysz w mogile.  
 Niech w nocną cię ciszę  
 Złudzenie kołysze,  
 A we dnie uciecha niech budzi;  
 I biegnąc po kwiatach wesoła, swobodna,  
 Miód życia rozkoszy wysączaj aż do dna,  
 To świata zadanie i ludzi.

I długo tak długo  
 My naszą posługą  
 W czarowne otoczmy cię koło,  
 I żądze rozniecimy,  
 I myśli rozświecimy,  
 I blaskiem ubarwimy ci czoło.  
 Techną błogie marzenie,  
 Odżywym promienie  
 Nad tobą jasności wiosennéj;  
 Rwąc szczęście po drodze stopami lekkimi,  
 Jak gwiazda co spada przelecisz po ziemi,  
 Ślad siejąc za sobą promienny.

Głos (z zegaru brązowego z wyobrażeniem  
 czasu wspartego na kompasie).

O nie wierz zgubnym pokusom czarta!  
 O nie lgnij sercem do ziemskich kras!  
 Czarna przed tobą przepaść otwarta,  
 Cofnij się, cofnij dopóki czas.  
 Odwiecznym prawem przeznaczeń płyną  
 Chwile pogody i gromy burz;  
 Ale z dniem każdym, z każdą godziną  
 Życie twe w przeszłość zapada już.



Niknie twa młodość wdziękiem bogata,  
 Jak wędnie w jesień zielony smug,  
 Chceszże dla płochych marności świata  
 Zrywać to prawo co wskazał Bóg?  
 Chceszże zużyciem, duszą zmartwiałą  
 Przeciągać chwile szalonych prób,  
 I zmarłe serce i skrzepłe ciało  
 Oblekać fałszem jak wapnem grób?

Te mary, które pokusą zdradną  
 Łudziły serce w młodości snach,  
 Jedna po drugiej z ciebie opadną,  
 Jak cegły kiedy upada gmach.  
 Żadna ich wstrzymać nie zdoła siła  
 I żadna sztuka nie sprostą im;  
 Próżno je sercem będziesz goniła,  
 One się w mglisty rozwieją dym.

Wówczas jak lampa, co zwolna kona,  
 Ostatek twoich utracisz sił,  
 Złodowaciała, osamotnioną,  
 Ciałem i duszą upadniesz w pył.  
 A gdy wyrzutów sumienia roje  
 Spychać cię będą w rozpaczę próg,  
 Któż biedne serce pocieszy twoje?  
 Kto wesprze twoją samotność?...

Głos (z krzyża hebanowego wiszącego na ścianie).

Bóg!...

\*

\*

\*

I znikły owe promieniące twarze,  
Co duchowemi świeciły widziadły;  
Światło zagasło, białe mgły opadły,  
I cisza była... Tykło w buduarze  
Obsłonki okna lekko się rozwiodyły,  
I promień słońca spojrzeniem wesołym  
Padł na kobietę, co z schyloném czołem  
Przed krzyżem w Niebo zasyłała modły.

Koniec tomu pierwszego.

## TREŚĆ TOMU I-go.

### OPOWIADANIA.

#### I. Niegdyś.

	<i>Str.</i>
Psyche . . . . .	5
Koń Trojański . . . . .	11
Córka Faraona. Pieśń egipska . . . . .	18
Jawnogrzesznica . . . . .	20
Timur Leng . . . . .	24
Z Mossulu do Bir . . . . .	30
Testament psa, Powieść turecka . . . . .	34

#### II. Wczoraj.

Jako hetman Rewera był człowiekiem z wielkim sensem w głowie i zdrowe dawał nauki. Gawęda z XVII wieku. . . . .	41
Jako deresz pana Piotra z Kordaszyc przemienił się w brata Jakóba, i co się potem wydarzyło. . . . .	53
Jako pan Piotr odsadził od panny Francuza, a sam jój nie dostał. . . . .	65
Jako pan Maciej z Ozorkowa utracił pół ucha na jarmarku w Łęcznej . . . . .	72
Jako żyd Boruch handlarz skórek zajęczych, dostał basarunek od Sasów i basarunek od Leszczyńskich, i jaki z tego wyprowadził sens moralny. Historia trefna a prawdziwa wiele . . . . .	76
Kwita z byka za indyka. Gawęda z XVIII wieku. . . . .	84

Korrespondencya Michała Koziroga łowczego Sieradzkiego, z panną Urszulą Dowmundówną chorążanką Rzeczycką przebywającą na rezydencyi u Stolnikowstwa Owruckich.	96
W jaki się sposób odbyła pierwsza miłość moja do panny Ja- gnieszki. Opowiadanie towarzysza kawaleryi narodowej	104
Historya o diable, jako schudł przy babie . . . . .	111

## III. Dziś.

Na ulicy. Obrazek sceniczny . . . . .	125
Jedna z wielu . . . . .	135
Chłopiec z bruku . . . . .	144
Dwie nędzy . . . . .	150
Wyprzedaż. Treść z francuskiego . . . . .	156
Aphrodite Urania. (Wenus Milońska) . . . . .	164
Za psa. . . . .	168
Drabina. Myśl wzięta z angielskiego . . . . .	175

## IV. Satyry.

Rodzina Pulcinella . . . . .	181
Darmozjad . . . . .	184
Nerwy . . . . .	187
Arlekin . . . . .	190
Pulcinello . . . . .	192
Sztuki . . . . .	194
Romeo . . . . .	196
Bielany . . . . .	199
Święcone . . . . .	201
Niżej czuba . . . . .	204
Niesprawiedliwość i złość ludzka. . . . .	206
Treny . . . . .	208
Malarz. Elegia . . . . .	210
Jakie drzewo, taki klin, Jaki ojciec taki syn. . . . .	214
Do Azorka . . . . .	220
Niedołęga. . . . .	222
Przyjaciele . . . . .	225
Causa rerum . . . . .	228

	<i>Str.</i>
Przy machinece . . . . .	230
Głupi . . . . .	232
Treny żałobne stolików od kart w Resursie kupieckiej . . .	234
Babula . . . . .	239
Po wieczorze tanecznym. Dyalog . . . . .	241
Jestem sobie pan . . . . .	245
Nie wywołuj wilka z lasu . . . . .	247
W Pekinie . . . . .	252
Brak tonu w gaminie. . . . .	254

## V. Różne.

Przy kominku. . . . .	259
Niemowlę . . . . .	262
Dziecko i ptaszki. . . . .	264
Nauka . . . . .	267
Gościnność. . . . .	269
Dziewczyna zrywająca kwiaty . . . . .	271
Bańki mydlane . . . . .	273
Przędziwo Najświętszej Panny . . . . .	275
Jezus u cieśli . . . . .	276
Gwiazdka . . . . .	277
Gwiazdka . . . . .	279
Tęsknota . . . . .	280
J. I. Kraszewskiemu. . . . .	282
Na śmierć Alexandra Fredry. . . . .	284
Do *** . . . . .	287
Do *** . . . . .	288
Do młodego malarza. . . . .	290
Pierwszy kwietnia. . . . .	294
Festina lente. . . . .	296
Rok 1877 . . . . .	297
Tęsknota . . . . .	299
Zakłęcie dziewczycy. (W noc Świętego Andrzeja) . . . . .	301
Na otwarciu trzeciego teatru w Warszawie . . . . .	304
Wiek żelazny. . . . .	306
Śmiech . . . . .	307
Pierwsza zmarszczka . . . . .	309



K. 747/56